

NAJTAJNIEJSZA

BRON

WYWIADU

SEBASTIAN
RYBARCZYK

FRONDA

NAJTAJNIEJSZA
BRONŃ
WYWIADU

**SEBASTIAN
RYBARCZYK**

FRONDA

Spis treści

Podziękowania

Wykaz skrótów

Słowo wstępne

Rozdział I. Śmiertelny trójkąt Bystrolotowa

Rozdział II. Przynęta na Kima

Rozdział III. W świecie dewiantów

Rozdział IV. Ernest i Martha

Rozdział V. Taka zwykła sekretarka

Rozdział VI. Kochanka nielegalów

Rozdział VII. Otruć Fidela

Rozdział VIII. Szpiegowskie „żony”

Rozdział IX. Profumo znaczy szpieg

Rozdział X. Moskiewskie jaskółki

Rozdział XI. Mordercza kochanka Czerwonego Księcia

Rozdział XII. Miłość do kałusza

Rozdział XIII. Atomowa Dziewczyna

Rozdział XIV. Miłość z Kanady

Rozdział XV. Wszystkie buty Rosario

Sugerowane lektury

*Dedykacja
Błażewi Moderowi*

Podziękowania

Jak każda książka, ta również nie ukazałaby się bez osób, które udzieliły wsparcia autorowi. Na pierwszym miejscu chciałbym podziękować Michałowi Jeżewskiemu – prezesowi wydawnictwa Fronda, i Maciejowi Marchewiczowi – redaktorowi, który zawsze pilnował moich terminów i równie często poprawiał mój humor. W ogóle podziękowania należą się całemu zespołowi wydawnictwa pracującemu nad sukcesem tej książki.

Oddzielne wielkie podziękowania składam wszystkim Paniom bibliotekarkom z Miejskiej Biblioteki Publicznej Łódź-Górna, filia nr 8, przy ul. Cieszkowskiego 11a, które w te niezwykle upalne dni lata 2015 roku pozwoliły mi tworzyć w chłodzie bibliotecznym, dostarczając potrzebnych publikacji. To właśnie tam powstało najwięcej rozdziałów tej książki.

Elżbiecie Zdradzie, Kubie Kalińskiemu i Peterowi H. M. Cooperowi pragnę podziękować za „reset”, który zrobili mi w Hrabstwie Suffolk na półmetku pisania „Najtajniejszej broni wywiadu”, i że dzięki nim mogłem stąpać po kamieniach Trinity College, po których chodzili najwięksi zdrajcy Korony Brytyjskiej, oraz przeżyć intelektualny i mentalny wstrząs podczas koncertu boysbandu One Direction.

Nie mógłbym zapomnieć o doktorze medycyny Wojciechu Łaszkiwiczu, moim starym kumplu, który poprawiał mi nastrój i reperował wygląd.

Pragnę podziękować Sylwii Gajdzie i Karolinie, mojej córce, za wszechstronną pomoc, jakiej udzieliły mi podczas pisania tej książki. Pytania Karoliny w stylu: „Tato, kiedy w końcu skończysz ją pisać, a pisząc, staraj się nie być banalny”, działały na mnie niczym kubeł lodowatej wody.

Michał Modrzewski, mój warszawski przyjaciel popychał i motywował mnie do pracy. Zawsze uczynny i pomocny. Dziękuję za wspólnie przegadane wieczory i noce. Podobnie było z Ewą Skrzyńską i Sylwkiem Marcysiakiem, nawet nie wiecie, jak ważne są dla mnie cotygodniowe spotkania z Wami.

Specjalne podziękowania należą się prof. Sławomirowi Cenckiewiczowi. Jest dla mnie wzorem rzetelności naukowej, wielkim historykiem, który nie tylko moje pisarstwo, ale też mnie samego stara się uczynić lepszym.

Z różnym skutkiem, przyznam szczerze.

Książkę dedykuję Błażewi Moderowi, mojemu przyjacielowi, z którym znamy się już od dwunastu lat. Dobro, które przez te lata spotkało mnie z jego strony, jest nie do wypowiedzenia, a tym bardziej nie do opisania. Mam nadzieję, że Błażej zawsze pozostanie sobą.

Sebastian Rybarczyk

Wykaz skrótów

BND	Federalna Służba Wywiadowcza RFN
CIA	Centralna Agencja Wywiadowcza
FBI	Federalne Biuro Śledcze
KGB	Komitet Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS
LFWP	Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny
MI-5	zwana również Security Service, brytyjska Służba Bezpieczeństwa, zajmująca się kontrwywiadem i walką z terroryzmem
MI-6	zwana również SIS – Secret Intelligence Service – brytyjska służba wywiadowcza
MOSSAD	Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych Izraela
NKWD	Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRS
GPU/OGPU	Państwowy Zarząd Polityczny, Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny ZSRS
OSS	Biuro Służb Strategicznych – agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych działająca w latach 1942-1946.
OWP	Organizacja Wyzwolenia Palestyny
SOE	Kierownictwo Operacji Specjalnych – brytyjska tajna agencja rządowa, której zadaniem było m.in. prowadzenie dywersji
X2 OSS	sekcja kontrwywiadu Biura Służb Strategicznych
STASI	Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD

Słowo wstępne

To nie jest książka o seksskandalach szpiegowskich, a właściwie nie tylko o nich. Flirt, romans, wreszcie miłość wpływają w takim samym stopniu na normalnych ludzi, jak na szpiegów czy agentów wywiadu. Bardzo wiele historii i ludzkich dramatów mogłoby potoczyć się inaczej, gdyby nie zaingerowała w nie burza namiętności. Jest takie powiedzenie w służbach specjalnych, że jeżeli makler giełdowy z miłości popełni błąd, to ludzie tracą pieniądze. Jeżeli z tych samych powodów błąd popełni szpieg, ludzie tracą życie.

W historii tajnych służb interesowały mnie zawsze relacje międzyludzkie. Wzajemne zależności, powiązania, uczucia, a także to, jak i czy w ogóle wpływają na nasz ostateczny ogląd sprawy, oraz to, czy pewne historie mogłyby potoczyć się inaczej. Coraz częściej historycy zadają sobie takie pytania i próbują na nie odpowiedzieć. Będzie to zdarzać się częściej, gdyż wiele historii zostało już dogłębnie opisanych, zostaną tylko do napisania prace przyczynkarskie. Dlatego nowe biografie ludzi sławnych i wielkich muszą zostać rozbudowane o te psychologiczne aspekty ich życia, które nadal owiane są tajemnicą. Dobrym przykładem jest biografia Adolfa Hitlera, Stalina – także. Powstały oddzielne książki opisujące jego rodzinę, pierwsze lata życia czy okres wiedeński. Inne skupiają się na waleczności przywódcy podczas I wojny światowej. W przypadku jego „niedoścignionego mistrza” w zbrodni Józefa Stalina także, ale zdecydowanie rzadziej biografowie koncentrują się na innych niż tylko polityczno-militarnych decyzjach. W historii pisanej służb specjalnych zaobserwować można wyraźne opóźnienie relacji w stosunku do rzeczywistych wydarzeń. Wynika ono głównie z faktu, że historia wywiadu czy kontrwywiadu jest w znacznej części tajna. Wiele książek napisanych dwadzieścia, dziesięć czy nawet kilka lat temu bardzo się zdezaktualizowało. Nadal ogromna partia dokumentów jest tajna, nawet tych sprzed sześćdziesięciu lat, a biografii najlepszych i najważniejszych szpiegów jest jak na lekarstwo. Dotyczy to zwłaszcza oficerów służb Związku Sowieckiego, chociaż trzeba przyznać, że nowe pozycje o Dmitriju Bystrolotowie, Pawle Fitinie czy Arturze Artuzowie, nie

mówiąc o Pawle Sudopłatowie, próbują wypełnić tę lukę. Jednak jest jeszcze wiele do zrobienia.

Polem słabo zbadanym, a równie często w ogóle pomijanym, są związki uczuciowe pomiędzy ludźmi tak lub inaczej związanymi ze służbami specjalnymi. Czy Kim Philby zostałby agentem sowieckim, jednym z najgroźniejszych w całej historii, gdyby na drodze swojego życia nie spotkał Litzi? Czy ta pierwsza miłość, podszyta dążeniem atrakcyjnej kobiety, aby ze swojego kochanka uczynić szpiega, miała faktyczny wpływ na wybór życiowy Kima? Wydaje się, że Philby gotowy był do prowadzenia podwójnego życia na wiele lat wcześniej, niż nawiązał kontakty z NKWD. Litzi tylko skróciła i uprościła mu drogę.

Jednak w historii Guya Burgessa i Anthony'ego Blunta nie jest to już takie jasne. Blunt nie był komunistą, stał się nim dopiero za sprawą kochanka i przyjaciela. „Narodził się” wówczas nowy szpieg i skuteczny werbownik młodych talentów.

Inny przykład stanowi postać Elizabeth Bentley. Z powodu przedwczesnej śmierci kochanka i braku zainteresowania oficerów prowadzących kobieta zdecydowała się pójść do FBI i złożyć zeznania, które rozbiły sowieckie siatki szpiegowskie w Ameryce. Czy oficer prowadzący jej sprawę nie powinien wówczas wykazać więcej empatii i taktu wobec swojej podopiecznej? Być może wtedy nie wyrządziłaby ona tak wielu szkód?

Na te i podobne pytania staram się odpowiedzieć w tej książce. Jest ona historią szpiegów, szpiegostwa i ich czasami bardzo intymnych relacji. Złożona jest z piętnastu rozdziałów poświęconych zarówno tym bardzo znanym aferom szpiegowskim, jak i tym znanym zdecydowanie mniej. Choć każdy rozdział można czytać oddzielnie i w dowolnej kolejności, autor sugeruje Czytelnikowi, aby zachować ciągłość w zagłębianiu się w ich treść. Bardzo wiele ciekawych zdarzeń wynika jedno z drugich i mają one swoje konsekwencje. Dlatego w celu lepszego zrozumienia warto czytać książkę od deski do deski.

W publikacji zostały pominięte przypisy, gdyż w założeniu ma ona być popularnonaukowa, skierowana do szerokiego grona Czytelników, a nie wyłącznie do specjalistów. Dlatego na końcu zamieszczono listę polecanych lektur, stworzoną wyłącznie na podstawie polskich, a tym samym dość łatwo dostępnych książek.

Za wszystkie błędy metodologiczne i faktograficzne odpowiada wyłącznie

autor, który jednocześnie zaprasza Czytelników do kontaktu i wyrażania opinii na swoim mikroblogu: <https://www.facebook.com/Sebastian-Rybarczyk-mikroblog>.

ROZDZIAŁ I

Śmiertelny trójkąt Bystrolotowa

Życie wywiadowcze naszego bohatera zamknięte w kłamrach lat 20. i 30. XX wieku było niebywale ciekawe, ale jednocześnie tragiczne. Historia ta działa się w czasach, kiedy nie podlegaliśmy tak powszechnej inwigilacji. Nie było wszechobecnych kamer, identyfikacji papilarnej, elektronicznych kont i telefonii komórkowej. Praca sowieckich tajnych agentów była wtedy zdecydowanie ułatwiona. Przemierzali pod fikcyjnymi życiorysami całą Europę, pracując dla dobra komunistycznej ojczyzny. Pośród nich znalazł się jeden z najzdolniejszych i najprzystojniejszych szpiegów Stalina.

Nielegalni

Nim jednak przejdziemy do opisywania losów naszego bohatera, zatrzymajmy się na chwilę przy tak zwanych nielegalach. Ponieważ w tej książce będziemy spotykać się jeszcze z nimi kilkakrotnie, warto, aby Czytelnik zaznajomił się z historią i metodami pracy agentury nielegalnej.

Praktycznie od początku istnienia państwo sowieckie organizowało swoją politykę zagraniczną dwutorowo. Pierwszym elementem była oficjalna dyplomacja prowadzona przez Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych (LKSZ), który nabierał znaczenia wraz z postępem w uznawaniu istnienia ZSRS i podpisywania kolejnych umów handlowych. Drugi element pozostawał tajny, a prowadzony był przez struktury III Międzynarodówki, powszechnie znanej jako Komintern, oraz sowieckie służby specjalne cywilne i wojskowe. Obie te struktury opierały się na sieci tajnych agentów, a z czasem wzajemnie się przenikały. Nie było rzadkością, że agenci Kominternu stawiali się agentami służb. Sprzyjał temu fakt, że w międzynarodówce komunistycznej działało bardzo wiele osób posiadających paszporty państw obcych, co zdecydowanie ułatwiało pracę wywiadowczą. Pośród nich sporo było Polaków, Węgrów, Niemców,

Austriaków, Francuzów czy Amerykanów. Swoją działalność w Kominternie zaczynały takie gwiazdy sowieckiego wywiadu jak Brytyjczycy Kim Philby i Guy Burgess, Niemcy jak Richard Sorge czy Austriacy Teodore Maly czy Artur Koestler. Miało to szczególne znaczenie dla pracy wywiadowczej, gdyż – oprócz posiadania legalnych paszportów – znali języki obce, sytuację społeczną swoich państw, łatwiej i bez podejrzeń mogli przemieszczać się po Europie.

Pomimo że Komintern i służby prowadziły działalność tajną, ich cele taktyczne – a strategicznym było ogólnoswiatowe zwycięstwo rewolucji i proletariatu – zasadniczo się różniły. Agenci Kominternu dążyli przede wszystkim do podburzania robotników i wywoływania lokalnych strajków, manifestacji, przewrotów zbrojnych. Praca służb z kolei ukierunkowana była przede wszystkim na zdobywanie informacji potrzebnych państwu sowieckiemu.

Władcy Kremla szybko zauważyli, że zagraniczny paszport otwiera zupełnie nowe możliwości. Łatwiej było przekraczać granicę, szmuglować kosztowności i gotówkę, pozyskiwać informacje czy po prostu wtopić się w otoczenie. Jednak ten „legalny” system umiejscawiania agentów zaczął chwiać się po wydarzeniach rewolucyjnych lat 1919–1921, które miały miejsce w Europie. Większość siatek została zdekonspirowana lub sama była zmuszona się ujawnić, aby brać udział w wywoływanych strajkach i zamieszkach. Wtedy to wywiad sowiecki wpadł na prosty, ale skuteczny sposób lokowania swojej agentury.

Do tej pory główny ciężar działalności szpiegowskiej jakiegokolwiek państwa był oparty przede wszystkim na szpiegostwie realizowanym z pozycji ambasady, konsulatu, przedstawicielstwa handlowego czy też agencji prasowej.

Miał on swoje ograniczenia, wśród których podstawowym było dość szybkie zidentyfikowanie dyplomaty jako oficera służb specjalnych przez kontrwywiad państwa gospodarza. Nastęczało to mnóstwa problemów. Objęci inwigilacją oficerowie musieli wkładać dużo wysiłku w zgubienie obserwacji, przyjmować skrajne środki ostrożności, często zmieniać wygląd i odzienie. Nigdy nie było gwarancji, czy te sztuczki nie zawiodą i oficer prowadzący wraz ze swoim agentem nie dostaną się w ręce przeciwnika, co dla dyplomaty kończyło się wydaleniem z kraju, a dla szpiega na ogół śmiercią.

A gdyby tak – pomyśleli kierujący sowieckim wywiadem – umieścić we wrogim kraju agenta lub oficera pod całkowicie fałszywą tożsamością? Osoba, która mogła, choć nie musiała być Rosjaninem. Nie byłaby kojarzona z organizacjami rewolucyjnymi, posiadałaby fałszywy paszport/paszporty i wtopiłaby się całkowicie w inwigilowane społeczeństwo. Ludzi ci mieli w założeniu prowadzić normalne życie i podjąć pracę, która umożliwiałaby im częste podróże, w tym zagraniczne do krajów ościennych.

Komitet Centralny zaakceptował taki model działania i machina ruszyła.

Poszukiwano ludzi wszelkiej narodowości, zagorzałych komunistów, znających języki obce. Po dość krótkim czasie wyselekcjonowano odpowiednią grupę, przeszkolono w technikach wywiadowczych i skierowano do większości państw europejskich, a z czasem i na inne kontynenty. Pracowali na ogół – choć nie zawsze – pod fałszywymi nazwiskami i byli biznesmenami, naukowcami, dziennikarzami.

Ich głównym zadaniem było koordynowanie prac sowieckich siatek szpiegowskich. Mieli zadaniować agentów i odbierać od nich informacje.

Sprawować nadzór nad ich pracą, ale też życiem codziennym, monitorując, czy dana osoba nie przechodzi na przykład kryzysu, który mógłby zakończyć się dekonspiracją. Dla swoich agentów byli nie tylko oficerami prowadzącymi, ale również przyjaciółmi, powiernikami osobistych tajemnic, „ojcami”, na których ramieniu można było wypłakać swoje żale.

Dla kontrwywiadu przeciwnika przez wiele lat pozostawali niedostrzegalni.

Traktowani jak obywatele nie podlegali zwiększonej inwigilacji, a spotkania, nawet z zagrożonymi werbunkiem obywatelami danego państwa, nie były już tak niebezpieczne – wszak każdy ma prawo do utrzymywania relacji towarzyskich z kim chce.

Praca nielegalistów trwała niekiedy całe dziesięciolecia. Z czasem system ewoluował. W miejsce zdekonspirowanych lub straconych w ramach terroru w ZSRS z końca lat 30. ubiegłego stulecia pojawiali się nowi, w późniejszym okresie trenowani w specjalnych szkołach KGB. Ich zadaniem było możliwie wszechstronne przygotowanie się do działań poza granicami kraju. Uczono w nich nie tylko języków, ale również sposobu życia, tak różnego od tego z krajów komunistycznych. Absolwenci tej szkoły, już pod nową tożsamością, przenikali na Zachód i wtapiali się bez trudu w nowe społeczeństwo. O skali zjawiska niech zaświadczy to, że ostatnia afera

szpiegowska z nielegalami w roli głównej miała miejsce kilka lat temu!

Tworzenie nielegała

W kwietniu 1925 roku Dmitrij Bystrolotow udał się do Moskwy na I Kongres Studentów Proletariackich, kolejnej przybudówki Kominternu. Była to oficjalna legenda, która miała przykryć jego kontakt z INO, wyspecjalizowaną strukturą w ramach OGPU odpowiedzialną za wywiad. W konspiracyjnym mieszkaniu spotkał się z Arturem Artuzowem, legendą sowieckich służb specjalnych, straconą w ramach wielkiej stalinowskiej czystki. Sam Bystrolotow wspomina to spotkanie w następujący sposób:

Zaprowadzono mnie do małego pokoju, gdzie na sofie leżał całkowicie ubrany mężczyzna w średnim wieku, zaspany i zmęczony, a obok niego, okrakiem na krześle, siedział inny, trochę młodszy; miał ciemne włosy i zmrużone oczy. (...)

Zaproponowali, abym usiadł na drugim krześle. Nie wiedziałem, kim są ci ludzie ani czego ode mnie chcą. Czułem jednak, że to wielcy szefowie i od tego spotkania zależy całe moje życie. Twarz towarzysza Gorba (drugi z uczestników spotkania – przyp. aut.) zdradzała złą wolę i wrogość. Zerknął na mnie, a potem odwrócił posepnie wzrok. Artuzow jednak przyjrzał się mojej postaci i mojemu garniturovi z nieklamany z zainteresowaniem i życzliwym uśmiechem. „No cóż, poznajmy się.

Opowiedz mi wszystko o sobie. Nie przeciągaj tego ponad miarę, ale też nie spiesz się zbyt. Chciałbym poznać twój życiorys”.

Tak zaczęła się prawdziwa kariera Bystrolotowa jako szpiega-nielegała. Miał po temu idealne warunki. Mówił kilkoma językami i był nad wyraz przystojnym mężczyzną, dla wielu z jego epoki przypominającym gwiazdy ówczesnego kina.

Posiadał, wyuczone jeszcze w dzieciństwie, nienaganne maniery oraz coś, co dawało gwarancję bezpieczeństwa – nie był jeszcze do końca rozpoznany przez kontrwywiad przeciwnika. Mógł się wtopić w dowolne społeczeństwo, pod dowolną tożsamością. Poznał już ciemne strony życia, więc mógł być równie dobrze robotnikiem, urzędnikiem lub też hrabią. Wykorzystał te możliwości dla dobra komunizmu i państwa sowieckiego, przemierzając Europę od Austrii aż po Londyn.

Werbował i prowadził pracowników zakładów samochodowych czeskiej

Skody, wysokich rangą urzędników ministerstw spraw zagranicznych w Londynie i Berlinie. Za swoją służbę otrzymał pistolet ze specjalnie wygrawerowaną inskrypcją „Za nieugiętą walkę z kontrrewolucją. Od prezydium OGPU”, a w późniejszych latach jego portret zawisł w specjalnej izbie pamięci w Jasieniewie, siedzibie sowieckiego, a obecnie rosyjskiego wywiadu.

Podczas swojej kilkunastoletniej kariery wcielał się w postacie handlarza, biznesmena, lorda, księcia itp. Jedną z największych spraw, z jaką miał do czynienia, było prowadzenie „Arno” – wysokiego urzędnika brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, z dostępem do tajnych kodów dyplomatycznych. Ernest Oldham i jego żona Lucy ulegli urokowi „węgierskiego szlachcica” i oboje dostarczali potrzebnych informacji. Ich współpraca z Bystrolotowem była na tyle owocna, że korespondencja dyplomatyczna Wielkiej Brytanii nie miała przed władzami w Moskwie praktycznie żadnych tajemnic.

Niestety, Oldham był nałogowym alkoholikiem, przeciążonym stresem i poczuciem winy. Wpadał w coraz większe tarapaty grożące dekonspiracją całej operacji. Pomimo wielu starań Dmitrija, w tym umieszczeniu agenta w klinice odwykowej, poprawa następowała tylko na krótki czas. Ostatecznie Oldham popełnił samobójstwo, a Bystrolotow jeszcze jakiś czas utrzymywał intymne kontakty z jego żoną.

Zresztą swój urok osobisty wykorzystywał wielokrotnie wcześniej i później, choć jego kontakty z kobietami trudno byłoby uznać za satysfakcjonujące.

Isolde

Historia miłości Bystrolotowa do Isolde Cameron sięga 1922 roku, czyli czasów jeszcze sprzed jego zaangażowania się w pracę sowieckiego wywiadu.

Dmitrij był wtedy bardzo biednym studentem-emigrantem mieszkającym w Pradze.

Często głodował, chodził w zniszczonych, pocerowanych ubraniach, a tytoń zdobywał ze skrawków niedopałków znajdujących w parkach lub przy dworcu kolejowym. Dorabiał podówczas jako nauczyciel języka angielskiego u bogatych czeskich biznesmenów. Oprócz zapłaty mógł

czasami liczyć na talerz ciepłej zupy lub knedliki w sosie wołowym.

U jednego ze swoich pracodawców spotkał młodą pannę Cameron, angielską guwernantkę. To była miłość od pierwszego wejrzenia, ale tylko dla Dmitrija.

Isolde uważała go za obszarpańca i włóczęgę. Wielokrotnie dawała mu odczuć swoją wyższość i nie okazywała szacunku. Dmitrij w tej sytuacji nie zdecydował się na odkrycie swoich uczuć. Musiał poczekać jeszcze kilka lat.

Gdy wstąpił w szeregi wywiadu sowieckiego, a kariera w misji handlowej nabrała rozpędu, zmieniło się także jego życie. Zaczął się wytwornie ubierać i jadać w najlepszych restauracjach. Taka zmiana losu skłoniła go do ponownego nawiązania kontaktu z jego pierwszą, nieodwzajemnioną miłością. Dowiedział się, gdzie aktualnie mieszka, i całymi dniami stał i przyglądał się jej wchodzącej i wychodzącej ze swojego mieszkania. Brakowało mu odwagi, aby podejść i porozmawiać. Taka sytuacja trwała kilka dni, aż zebrał w sobie siły. Za pierwszym razem tylko minął się z nią na ulicy i lekko ukłonił, ale panna nawet tego nie zauważyła. Dnia następnego postanowił podejść i ponownie się przedstawić, ale odpowiedź Isolde była krótka i cierpka: „Nie znam pana i znać nie chcę!”.

Dmitrij był załamany. Zaczął śledzić swoją wybrankę i zdobywać na jej temat coraz więcej informacji. Szczęście, jeżeli w ogóle o czymś takim możemy mówić, wkrótce mu dopisało. Okazało się, że jego ukochana jest utajnioną pedofilką, molestującą nieletnie córki swoich pracodawców. Bystrolotow postanowił to wykorzystać za pomocą szantażu. Zebrał się na odwagę i zadzwonił do Isolde, wprost sugerując, że jeżeli się z nim nie spotka, o wszystkim poinformuje kogo trzeba.

Na tak postawione warunki Cameron uległa i umówili się w jednej z praskich restauracji. Z początku nie rozpoznała w tym przystojnym, dobrze ubranym i modnie uczesany męczyźnie tego, jak go nazywała poprzednio, włóczęgi. Zaczęła mu wymyślać od kanalii i szantażystów, lecz Dmitrij szybko ją przekonał, że jest tu tylko po to, by jej pomóc. Rozumie jej skłonności, to wszak teraz taka nowatorska moda. Isolde lekko się uspokoiła. Gdy sączyli powoli koniak, stała się rzecz, która miała wpływ na późniejsze wydarzenia i tragiczne wybory Bystrolotowa.

Isolde poczęstowała Dmitrija papierosem ze złotej papierośnicy. Znajdowała się na niej wygrawerowana inskrypcja „Kocham jedynie Ciebie, a moje inne miłości są niczym”. Zaniepokojony zapytał, czy w jej życiu jest

inny mężczyzna?

Odparła, że nie, ale jest osoba tak czuła, tak delikatna i tak kochana, że nadaje sens jej życiu. Dmitrij spytał, czy mógłby ją poznać, na co Isolde odpowiedziała, że tak, ale tylko wtedy, kiedy spotka osobę z papierośnicą o identycznej inskrypcji. Nie zamierzała mu ułatwiać życia.

Z tego „ponownego” pierwszego spotkania był jednak zadowolony. Użył wielu fachowych metod rodem z arsenału szpiegowskiego, by uzyskać zainteresowanie swojej ukochanej. Udało mu się to tylko częściowo. Dość często bywali w restauracjach i kawiarniach, spacerowali po złotej Pradze, ale jego miłość nie mogła zrobić następnego kroku. Do czasu jednak, jak się wydawało temu amantowi, kiedy jego wybranka silniej się z nim zwiąże i poczuje potrzebę silnego męskiego ramienia. Taka okazja nadeszła niebawem.

Nie wyglądała jednak tak jak sobie zakochany mężczyzna wyobrażał. Pijana Isolde zaprosiła go do mieszkania, ale oprócz delikatnych pieszczot nie doszło do niczego poważnego. Dmitrij, również „zmęczony”, usnął obok niej. Poranek był jak z koszmaru. Otwierając oczy, zobaczył swoją ukochaną siedzącą na łóżku z miną, która zmrozić mogła nawet wulkan. Zrobiła mu karczemną awanturę, której głównym motywem było to, jakoby ją wykorzystał seksualnie. Dmitrij był skonfundowany. Nic nie pamiętał i nie mógł wiedzieć, że Isolde podobnie „odpłynęła”. Sądził, jak się okazało błędnie, że zaproszenie do jej mieszkania równa się początkowi gorącego romansu. Nic bardziej mylnego. Poszukał bielizny i innych części garderoby. Ubrał się i w milczeniu wyszedł. Był zdruzgotany.

Cierpiała jego duma i męskie ego. Nie sądził, że kiedykolwiek ujrzy ją raz jeszcze.

Mylił się, chociaż ich spotkania miały już inny charakter.

Jolanta

Cierpienie po utracie Isolde mogłoby trwać latami – Bystrolotow był romantykiem, o typowej, notorycznie cierpiącej rosyjskiej duszy – gdyby pewnego 1 maja nie wybrał się na komunistyczny wiec. Był 1927 rok. Tego dnia jego życie uległo całkowitej zmianie. Miało od teraz połączyć cierpienie ze szczęściem, miłość ze śmiercią, oddanie ze zdradą.

Obiektem jego westchnień została Maria Milena Jolanta Selmatova,

dwudziestokilkulatka pochodząca ze znanej komunistycznej rodziny. Spotkał ją, gdy rozdawała ulotki, stojąc na jakichś pudłach przypominających podium. Była kompletnie inna od tych wszystkich ludzi, którzy ją otaczali. Nie chodziło tylko o modne i doskonale wystudiowane ubranie, lecz także wyraz twarzy, tak inny od na ogół tępych komunistów ją otaczających. Szczególną uwagę zwracały jej wielkie oczy, według Dmitrija „zimne, o barwie lodu i puste”. Zakochał się od pierwszego wejrzenia i bardzo szybko uzyskał informacje, kim była ta dziewczyna, która tak oryginalna, musiała być powszechnie znana w tym środowisku. Zdobył jej telefon i jeszcze tego samego dnia zadzwonił.

Nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem, że po pełnym buńczucznych hasań wiecu komuniści postanowili świętować w mniej oficjalnych warunkach.

Wieczorem odbywał się bal, a zaintrygowana nagłym telefonem Jolanta zaproponowała, aby tam właśnie się spotkali.

Bystrolotow przyszedł chwilę później, stanął w rogu sali i obserwował swoją wybrankę. Wydawała mu się piękniejsza niż przedtem, choć teraz jeszcze bardziej wyróżniała się pośród świętujących. Miała długą suknię z odsłoniętymi plecami.

Dmitrij zapamiętał, że „przypominała amerykańskiego wampa pozującego do kamery: wyrafinowanego... ekscytującego..., uosabiała ideał czasów powszechnej deprawacji”. Bardzo szybko nawiązali kontakt. Wydawało się, że dziewczyna znakomicie bawi się w jego towarzystwie, lecz jej oczy cały czas pozostały niewzruszone, zimne. Dmitrij zaproponował, aby poszli gdzie indziej, może do restauracji nieopodal. Jolanta zgodziła się. Przesiedzieli tam kilka godzin, paląc papierosy i pijąc, a Dmitrij do każdego kieliszka jej wina wrzucał płatek róży. Nic bardziej romantycznego nie można było zrobić. Następnie spacerowali po starej Pradze, wspominając znajomych, zwierzając się sobie oraz zwyczajnie plotkując.

Jolanta przyznała mu się, że kilka lat wcześniej zdiagnozowano u niej gruźlicę i teraz wiedząc, że jej dni są już policzone, zobojętniała na wszystko. Serce Dmitrija pękło. Już wiedział, że chce tę kruchą, chorą istotę objąć ramionami i zapewnić bezpieczeństwo. Świat wokół nich przestał istnieć.

To, co wydarzyło się później, znamy z pamiętników Bystrolotowa. Poszli do jej mieszkania.

Dmitrij chciał się wykazać znajomością klasyki marksizmu-leninizmu.

Jednak jego popisy uśpiły Jolantę. Chcąc być gentlemanem, nie obudził jej. Położył się obok i tak usnęli. Podobnie jak z Isolde, przebudzenie było bardzo zaskakujące. Jolanta stwierdziła, że jej nowy przyjaciel jest najpewniej impotentem i musi udać się do lekarza. Ściągnęła koszulkę, obnażając małe piersi i mówiąc wprost do nich:

– A wy, małe biedaczki, jesteście żywe, czy ten idiota zamroził was na śmierć?

– Dziwka? – zapytał siebie w duchu Bystrolotow.

Małżeństwo nielegalów

Następnego dnia się pobrali. Ślub został udzielony przez pracownika sowieckiej misji gospodarczej. Bystrolotow nie mógł postąpić głupiej. Był jednak młody. Nie sprawdził swojej przyszłej drugiej połowy, wystarczyło mu, że jest oddaną komunistką. Jolanta skrywała jednak przed nim kilka sekretów. Pierwszym była rodzina. Ojciec, członek komitetu centralnego komunistycznej partii Czechosłowacji, był nałogowym alkoholikiem, podobnie jak dwóch braci Jolanty.

Matka chorowała na przewlekłą gruźlicę połączoną z symptomami chorób psychicznych. Młodsza siostra, według Emila Draitsera, biografą Bystrolotowa:

(...) posuwała radykalizm ideologii komunistycznej do skrajności. Ponieważ ideologia ta nawoływała do pogardy wobec burżuazyjnej przyzwoitości i własności, Bożena całkowicie lekceważyła swój wygląd (...), czesała włosy tylko palcami i nosiła „przedpotopowe” czarne pończochy wyjęte ze śmietnika. Piersi ścisnęła bandażami, by broń Boże nie wyglądać jak burżujka czy w ogóle jak dziewczyna.

Drugim sekretem, który zaciążył na ich związku w sposób o wiele bardziej dramatyczny, był związek Jolanty z... Isolde. Tak, obie panie się znały, a co więcej – pozostawały w intymnych związkach. O ich relacji Dmitrij przekonał się już chwilę po ślubie, gdy Jolanta poczęstowała go papierosem, z takiej samej papierośnicy, jaką widział u Isolde. Inskrypcja nie pozostawiała wątpliwości. Ta opisywana przez poprzednią dziewczynę wielka miłość dotyczyła Jolanty. Tak wstrząsnęło to młodym szpiegiem, że nie spędził ze swoją nowo poślubioną żoną nocy, lecz poszedł do kobiety, którą miał uwieść i wykraść jej tajne dokumenty.

Była to pracownica francuskiej ambasady w Pradze Marie-Aliane Aucouturier.

Początek był trudny, a następne tygodnie i lata jeszcze gorsze. Najpierw Bystrolotow miał nadzieję, że sytuacja jakoś się ułoży. W końcu przecież mnie wybrała – myślał. Tak było tylko w pierwszych miesiącach małżeństwa. Po bardzo krótkim czasie Jolanta wpadła w apatię i ponownie „pograżała się w smutku”.

Najwyraźniej dziedziczne choroby psychiczne ponownie dawały o sobie znać.

Bystrolotow dużo pracował. Zwerbował Francuzkę, pracował w Anglii, wykrał kody dyplomatyczne Włoch. Był gwiazdą wywiadu, nieprzeciętnie błyskotliwym agentem, członkiem rozbudowanej europejskiej siatki nielegalistów.

Jolanta w tym czasie zniknęła na całe dni. Nie pomagała hospitalizacja w szpitalu dla nerwowo chorych. Po powrocie było jeszcze gorzej. Swoimi szpiegowskimi sposobami Dmitrij dowiedział się, że Jolanta często uczestniczy w lesbijskich orgiach w mieszkaniu jednej z przyjaciółek. W tych ekscesach miała brać udział również Isolde. Rozwiązaniem najprostszym był rozwód. Dmitrij nie mógł się jednak na to zdecydować. Był nadal szaleńczo zakochany. Wybrał inną drogę. Zwierzył się Jolancie ze swoich prawdziwych działań i zaproponował jej, aby u jego boku prowadziła podobne życie. Zaakceptowała to z euforią. Przygody, niebezpieczeństwo, sekrety – tak kojarzyła tę pracę. W wywiadzie sowieckim uzyskała pseudonim „Milena”. Szefostwo OGPU popierało tego rodzaju związki.

Małżeństwa były bardziej wiarygodne i nie wzbudzały takich podejrzeń, jak samotni mężczyźni próbujący wykraść tajemnice. Jedyńm warunkiem jaki Bystrolotow postawił Jolancie, było wyrzucenie papierośnicy do Wełtawy. Miało to przypieczętować jej nowe życie. Dzięki temu kobieta miała zapomnieć o przeszłości i zacząć z optymizmem patrzeć w przyszłość. Jolanta nie była gotowa na taki czyn, jednak papierośnicę, obiekt kultu, wręcz przedmiot mistyczny, oddała Dmitrijowi z prośbą, aby sam to uczynił. Od teraz miało być już tylko lepiej.

W miarę stabilna sytuacja trwała do początku stycznia 1930 roku, kiedy to Dmitrij otrzymał propozycję nie do odrzucenia. Miał zejść do podziemia i jako typowy agent nielegalny prowadzić teraz życie w Niemczech. Mężczyzna miał jednak inne plany. Chciał wrócić do Rosji sowieckiej,

zacząć studiować malarstwo, zostać pisarzem. Tego chciała też Jolanta. Jednak, jak to mówią, służba nie drużba i w ciągu kilku dni, wbrew oporom żony, Bystrolotow spakowany wyjechał do Berlina. Miał tam przygotować im nowe gniazdko. W ten sposób zniknął pracownik misji gospodarczej Bystrolotow, a pojawił się „Andriej”, przemianowany później na „Hansa”.

Życie agentów bywa jednak bardzo niebezpieczne. Jako pierwsza przekonała się o tym Jolanta. Kilka miesięcy po tym, jak Dmitrij urządził się w Berlinie, otrzymała do wykonania misję wywiadowczą. Miała pojechać na Węgry, a następnie, używając sfałszowanego paszportu, przemycić tajne dokumenty do Wiednia. Niestety, wpadła na granicy, a sąd austriacki skazał ją na pięć lat więzienia. Był to olbrzymi cios dla Bystrolotowa, zwłaszcza że w pierwszym okresie odsiadki nie mógł się z nią kontaktować ani widywać. Była pod szczególną obserwacją i takie odwiedziny stanowiły ryzyko dekonspiracji.

Do pierwszego spotkania doszło kilkanaście miesięcy później i nie przebiegło tak, jak by to sobie wyobrażał. Dmitrij był przekonany, że Jolanta wie, dlaczego nie mógł jej wcześniej odwiedzić, ale gdy już dotarł na salę widzeń więzienia wojskowego, zastał tam Isolde. Wtedy podjął ostateczną decyzję – jego rywalka musi zniknąć raz na zawsze.

Alfons swojej żony

Po kilkunastu miesiącach Jolanta była wolna. Opuściła więzienie z uwagi na krytyczny stan zdrowia. Miała zaawansowaną gruźlicę, praktycznie umierała.

Dmitrij zawiózł ją do Berlina, gdzie przeszła kilka skomplikowanych zabiegów. Jej zdrowie powoli się poprawiało. Drugim etapem kuracji miał być wyjazd do uzdrowiska. Wybrano Davos, gdzie Jolanta nadal miała wykonywać zadania szpiegowskie, przede wszystkim obsługiwać innych członków siatki nielegalistów.

Tam, z dala od Bystrolotowa, powoli wracała do zdrowia. Pomagała jej w tym Isolde.

Tego dla Dmitrija było już za wiele. Przy pewnej okazji zaproponował przyjaciółce żony, że musi z nią koniecznie porozmawiać na osobności. Wyjaśnił, że Jolancie grozi wielkie niebezpieczeństwo i być może to właśnie Isolde będzie mogła jej pomóc. Umówili się u podnóża jednej z gór w Alpach. Bystrolotow zabójstwo zaplanował już wcześniej. Podczas spaceru

wybrał miejsce na krawędzi urwiska. Podczas rozmowy planował zepchnąć kochankę żony w przepaść. Szanse przeżycia miałyby znikome.

Jak planował, do spotkania doszło, lecz nie potoczyło się tak, jak to sobie wyobrażał. Na temat tego, co się wydarzyło, funkcjonuje kilka opisów. Najbardziej wiarygodny wydaje się jednak ten, w którym po przybyciu na miejsce morderstwa to Isolde zepchnęła niczego niespodziewającego się Dmitrija z urwiska. Przed niechybną śmiercią uratować miał go plecak i kurtka, którą zahaczył o pień wystającego drzewa. Bystrulotow przeżył, a chęć zemsty wzrosła w nim niepomniernie. Zszedł z góry w poszukiwaniu zamachowczynie. Odnalazł ją w jednym z pensjonatów i wszedł przez otwarte okno, gdy spała. W swoich wspomnieniach twierdził, że chciał jej poderżnąć gardło, ale ona już nie żyła.

Najprawdopodobniej jednak otruł ją i nie chciał się do tego przyznać wprost. Isolde zostawiła swojej ukochanej list pożegnalny pisany własną ręką:

Porzucam Cię na zawsze: jesteś zbyt słaba na brzemień mojej miłości, ja zaś jestem zbyt silna, by kochać bezcieleśnie i duchowo. Zawsze chciałam, by moja miłość była śmiałym wyzwaniem, rozkoszą działania i walki, upojeniem dążenia ku Nieosiągalnemu, zwycięskim skokiem w Otchłań. Lecz szaleństwo burzy jest niemożliwe bez połamanych konarów i zgniecionych kwiatów (...). Z dumą dodaję sobie trucizny do wina i wznoszę ten kielich wysoko niczym pochodnię: niechaj po raz ostatni rozpali, przekaże i sławi moją miłość do Ciebie i mnie samą.

Zabójstwo Isolde było tylko pierwszą niegodziwością, jaką musiał zrobić Jolancie. Jego szefowie zażądali, aby jego żona bardziej zaangażowała się w werbunek oficera francuskiego wywiadu, którego znamy pod pseudonimem „Vivaldi”. Rozkaz nie pozostawiał złudzeń; Jolanta miała nie tylko stać się kochanką pułkownika, ale także jego żoną. Rozmowę miał przeprowadzić Dmitrij.

Jak się Czytelnicy domyślają, nie należała ona do najłatwiejszych.

Bystrulotow zaczął z wysokiego C, mówiąc o ojczyźnie, przywiązaniu do ideologii, o trudnościach i wyrzeczeniach w pracy dla wywiadu. Następnie przeszedł do szczegółów. Efekt był łatwy do przewidzenia – Jolanta zgodziła się, ale ich małżeństwo uznała za zakończone. Nie mogła pogodzić się z tym, że człowiek, który cały czas deklarował, że ją kocha, teraz chce z niej zrobić dziwkę.

Stary pułkownik był oczarowany młodą arystokratką, którą Jolanta przed nim grała. Stracił dla niej całkowicie rozum. Kiedy została jego żoną, natychmiast wykradła klucze do sejfu i nocami uchylała okno, by Dmitrij mógł wkradać się i fotografować dokumenty. Pewnej nocy pułkownik nakrył ich oboje w trakcie szpiegowskiej pracy. Zrozumiał wówczas, że jest skończony, a jego małżeństwo było fikcją. Następnie przeszedł do drugiego pokoju i strzelił sobie w głowę. Kilka miesięcy potem Jolanta zerwała z pracą w wywiadzie i pojechała do Moskwy.

Bystrołotow podjął taką samą decyzję, ale musiał czekać jeszcze kilka miesięcy.

Wydawało się także, że ich małżeństwo jest skończone.

Śmierć i Syberia

Powrót do kraju był dla Dmitrija, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej dla Jolanty, szokiem. Brud, głód, wszechobecna tajna policja, kolejki do sklepów – ogólna beznadzieja. Musieli zamieszkać w mieszkaniu jego matki, ale ich relacje nigdy nie powróciły do takich jak sprzed „małżeństwa” z „Vivaldim”. Bystrołotow otrzymał pracę za biurkiem w NKWD i napisał pierwsze rozdziały podręcznika do szpiegostwa. Był wysoko ceniony przez swoich przełożonych. Zdarzało się, że odbywał jeszcze misje zagraniczne. W niektórych pomagała mu Jolanta.

Był już rok 1936 i wielkimi krokami zbliżała się wielka czystka, fala represji, mająca objąć najważniejszych ludzi w kraju. Nie pominięto też wywiadu.

Z zagranicy wzywano największych i najlepszych oficerów wywiadu, poddawano torturom, kapturowe sądy wydawały wyroki śmierci, które wykonywano tego samego dnia. Wszyscy przyjaciele Bystrołotowa tracili w ten sposób życie. On sam miał jak na razie więcej szczęścia. Skierowany został na boczny tor, do jednej z instytucji zajmujących się handlem zagranicznym. Został tam tłumaczem. W tym okresie posługiwał się płynnie już dwudziestoma językami! Być może na tym stanowisku udałoby mu się przetrwać, gdyby nie wywołana przez niego samego tragiczna lawina zdarzeń.

Zaniepokojony tym, że nadal nie dostał potwierdzenia swojego patentu oficerskiego w NKWD, zadzwonił na Łubiankę. Telefon odebrał sam Paweł

Sudopłatow, przekonany do tej pory, że Bystrolotow został rozstrzelany już dawno.

Poinformował przełożonych i kilka dni później kilku smutnych panów aresztowało Dmitrija. Spotkało go to, co większość jego kolegów. Śledztwo i tortury. Miał połamane zębra, a uraz głowy powodował przejściowe zaniki pamięci. Nie skazano go jednak na śmierć. Być może dlatego, że w śledztwie długo opierał się przyznaniu się do zdrady kraju. Ostatecznie skazany został na długoletnie zesłanie do obozu pracy. To też wyrok śmierci, tyle tylko, że odwleczony w czasie.

Jakie było jego zaskoczenie, gdy odpracowując swoje winy wobec komunistycznej ojczyzny, zaczął otrzymywać od Jolanty paczki z żywnością, ubraniami, a nawet sowieckim perfumami, charakteryzującymi się tym, że zwabiają swym zapachem nawet okoliczne niedźwiedzice. Nie miał świadomości, że Jolanta żyje w skrajnym ubóstwie, a paczki są wysyłane z największym poświęceniem. Jego żona okazała się kobietą zdolną do współczucia i rozróżniania, czym jest, a czym nie jest, sprawiedliwość.

W 1940 roku udało jej się zdobyć pozwolenie na odwiedzenie Dmitrija na Syberii. Przebyła tysiące kilometrów. Bystrolotow był w szoku. W swoich pamiętnikach pisał:

Miała zapadnięte policzki, nos wystający jak u trupa, wielkie oczy świeciły niespokojnie. Gorączkowa czerwień policzków zamieniła się w szkarłat, a rozczochrane włosy sterczały na wszystkie strony. Była to brzydka głowa umierającej kobiety... Nienaturalnie długa szyja i patykowate ręce wystawały ze znoszonej kurtki. Przez chwilę, gdy rozłożyła ramiona, by mnie objąć, ujrzałem stracha na wróble, ale budzącego grozę, bo żywego, pomalowanego na różne kolory i uśmiechniętego. (...) Strach na wróble oznajmił: „no cóż, znowu jesteśmy razem... jak kiedyś... w Paryżu i Pradze, mój drogi”.

Miesiąc później Jolanta już nie żyła. Bystrolotow opuścił obóz pracy dopiero po śmierci Stalina w latach 50. ubiegłego stulecia. Został zrehabilitowany i powrócił do pracy w KGB. Zmarł w 1975 roku jako bohater Związku Sowieckiego.

Dla miłości zwerbował żonę na szpiega, potrafił oddać ją innemu mężczyźnie. Dla ukochanej był w stanie nawet zabić. Ona została z nim do końca.

Dmitrij i Jolanta, historia pięknej i strasznej miłości.

ROZDZIAŁ II

Przynęta na Kima

Kim Philby został uznany za największego szpiega wszech czasów. On i jego czterech kolegów stworzyli najskuteczniejszą siatkę sowieckiego wywiadu na Wyspach Brytyjskich. Jednak mało kto wie, że za zwerbowaniem Kima dla sprawy międzynarodowego komunizmu stoi kobieta, która była pierwszą z jego czterech żon. Została zapomniana, a sam Kim nie poświęcił jej w swoich wspomnieniach nawet linijki tekstu.

Komunista arystokrata

Pochodził z arystokratycznej rodziny brytyjskiej. Jego strój, akcent, sposób wysławiania się przypisane były właśnie do tej klasy społecznej. Kim Philby urodził się 1 stycznia 1912 r. w mieście Ambala w Indiach, gdzie jego ojciec Harry St. John Bridger Philby pełnił funkcję wicegubernatora. Gdyby nie przejście Kima do wywiadu sowieckiego i oszałamiająca kariera, jaką zrobił w brytyjskich służbach specjalnych, zapewne to jego ojciec byłby najbardziej znaną postacią z tej rodziny.

Harry, władający ośmioma językami, w tym perskim, pasztuńskim i beludzi, był światowej sławy arabistą, podróżnikiem i odkrywcą. W czasie I wojny światowej był osobą bardziej znaną i wpływową niż legendarny dziś Thomas Edward Lawrence, znany jako Lawrence z Arabii. W tym czasie ojciec Kima zaangażował się w wywołanie panarabskiego powstania przeciw Turkom.

Z czasem stał się przyjacielem, doradcą i powiernikiem tajemnic króla Arabii Saudyjskiej Ibn Sauda. Przeszedł na islam, ożenił się powtórnie z arabską niewolnicą i spłodził dwóch synów, braci przyrodnich swojego pierworodnego syna Kima.

Harold Adrian Russel Philby, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko i imiona, przydomek Kim zdobył dzięki zamięłowaniu swojego ojca do

książki Rudyarda Kiplinga „Kim”. Młody Harold rzadko spotykał się z podróżującym ojcem i wychowywany był głównie przez matkę i ciotki. Podobnie jak dziadek i ojciec, ukończył szkołę średnią w Westminster, a następnie rozpoczął studia na uniwersytecie Cambridge. Początkowo wybrał historię, lecz szybko przeniósł się na ekonomię, gdyż uważał, że będzie bardziej przydatna w praktycznym rozwiązywaniu problemów światowych.

Z tego punktu widzenia miało to głęboki sens, gdyż w owym czasie Philby, podobnie jak wielu jego kolegów, był zagorzałym lewicowcem i członkiem Socjalistycznego Towarzystwa Uniwersytetu Cambridge. Pod wpływem jednego z wykładowców, zadeklarowanego komunisty i najpewniej agenta sowieckiego wywiadu Maurice’a Dobba, zdecydował się na podróż do Austrii, by szlifować swój niemiecki. Dobb polecił go swoim paryskim oraz wiedeńskim towarzyszą i Kim – uzbrojony w takie poparcie – mógł ruszyć w podróż, która zmieniła jego życie.

Plaster miodu

Philby w Wiedniu pojawił się pod koniec 1933 roku. Adres, który otrzymał jako miejsce kontaktowe i jego przyszłą kwaterę, znajdował się w robotniczej dzielnicy Latschkagasse 9 i należał do Izraela Kohlmana, polskiego Żyda, który jeszcze przed wojną osiadł w Wiedniu. Izrael był zagorzałym komunistą. Do tej pory nie udało się rozwikłać, czym zajmował się na co dzień. Według różnych źródeł był niskim rangą urzędnikiem państwowym, księgowym lub też prowadził antykwariat. Żona zajmowała się domem, a czasem podejmowała dorywczą pracę jako krawcowa. Rodzinie nie wiodło się źle jak na tamte czasy, a wolne chwile przeznaczali na walkę o zwycięstwo światowego proletariatu.

Małżeństwo Kohlmanów miało jedną córkę, podówczas dwudziestotrzyletnią Alice, zdrobniale nazywaną Litzi. Podobnie jak rodzice, była zaangażowaną komunistką, działaczką Kominternu i osobą kontaktową dla wywiadu sowieckiego.

Stanowiła coś, co w terminologii sowieckiej nazywano „pułapką z miodem” lub „plastrem miodu”, to znaczy dziewczyną, której uroda i wdzięk zjednywały nowych sympatyków. Komuniści dobrze rozumieli, że większe sukcesy w przekonywaniu do idei będą miały młode, atrakcyjne

dziewczyny niż prymitywni proletariusze z wielkich zakładów pracy.

Znający ją współcześni jej świadkowie określali Litzi jako „nieco pulchną, o długich nogach, ubraną w tyrolską spódnicę i skarpetki”, inni dodawali, że była „osóbką pełną seksu”. Jurij Modin, oficer prowadzący agentów sowieckich w Londynie, opisał ją jako „niewysoką, ale zabójczo piękną”. To tylko jedna strona medalu. Dora, matka Philby’ego nie przepadała za Alice. Nazywała ją „twardą, arogancką i władczą”, mawiała też, że „złapała” Kima w swoje sidła.

O wykształceniu Litzi oraz tym, czym zajmowała się zawodowo, nie możemy nic powiedzieć. Wiadomo, że sercem, ciałem i duszą poświęcona była idei rewolucji światowej. Utrzymywała kontakty nie tylko z robotnikami i działaczami Kominternu, ale też z agentami sowieckiego wywiadu, w tym i z Austriakiem Arnoldem Deutschem, jednym z wielkich sowieckich nielegalów, osobą, która bezpośrednio zwerbowała Philby’ego do pracy w sowieckim wywiadzie.

Nie muszę chyba dodawać, że młodszy od kobiety o dwa lata Philby zwariował na jej punkcie. Młoda Litzi była już w tym czasie rozwódką, gdyż w wieku 18 lat wyszła za mąż, a następnie się rozwiodła ze skrajnie lewicowym działaczem syjonistycznym Karlem Friedmanem. Nosiła też jego nazwisko. Dla Kima była osobą, która nie tylko utwierdziła go w słuszności lewicowych poglądów i uczyniła komunistą, ale była także jego pierwszą dziewczyną w sensie erotycznym. Nie to, żeby Philby nie miał doświadczeń na tym polu, miał – tyle, że z kolegami ze studiów. Kontakt z Litzi był jego pierwszym doświadczeniem seksualnym z kobietą. Stała się jego kochanką, mentorką, która zwerbowała go do pracy na rzecz komunizmu, a stąd droga to podziemnego świata szpiegów była już prosta.

Dla idei ponieść śmierć

Jak to się stało, że tylu młodych ludzi poświęciło się dla najbardziej krwawej i zbrodniczej dyktatury w historii świata, że dwudziestolatkowie angażowali się tak mocno, że gotowi byli zdradzić nie tylko swoich rodziców i klasę społeczną, z której pochodzili, ale także swój kraj?

Zwycięska rewolucja bolszewicka z 1917 roku całkowicie zmieniła obraz polityczny Europy. Pograżona w kryzysie wywołanym I wojną światową powoli wstawała z kolan, odbudowując swoją gospodarkę. Wstrząsą

społeczne, próby kolejnych rewolucji, kryzys końca lat 20. XX wieku nie napawały optymistycznie mieszkańców kontynentu. A tu, w Europie Wschodniej, istniał kraj, który jak się wydawało – głównie dzięki skutecznej propagandzie – potrafił nie tylko wyjść z mroków zacofania, ale rozwijał się gospodarczo, gdy reszta świata pogrążała się w stagnacji. Był to kraj, który oferował powszechną sprawiedliwość i szczęście.

Artur Koestler, wybitny pisarz i kolega Litzi i Kima z tego okresu, w swoich szczerych i uczciwych wspomnieniach pisał:

W latach trzydziestych przyjęcie komunistycznej wiary nie było modą ani aberracją, ale szczerym i spontanicznym objawem optymizmu zrodzonego z rozpacz: chybioną rewolucją ducha, nieudanym renesansem, fałszywym początkiem historii. Wciąż uważam, że przyjęcie nowej religii było szlachetną pomyłką.

W 1919 roku Lenin powołuje III Międzynarodówkę, zwaną potocznie Kominternem. Cel tej organizacji jest jasny. Poprzez rzesze oddanych komunizmowi działaczy z całego świata siac zamęt, podburzać ludność, prowadzić sabotaż i dywersję, na tyle skutecznie, by doprowadzać do wybuchów rewolucji w poszczególnych krajach. Z początku rachityczna struktura staje się z czasem jednym z głównych rozgrywających w Europie. Komintern wspierają największe sławy pióra, pędzla i dłuta. Może liczyć na tysiące fanatyków, którzy uzbrojeni w paszporty swoich krajów występują nie jako agenci Rosji sowieckiej, a siewcy idei. To bardzo ułatwia im pracę. Są świetnie zorganizowani, dobrze opłacani i podporządkowani zasadom centralizmu demokratycznego, to jest centrali w Moskwie, bo tam jest ich realne przywództwo i tam mieści się ich pierwsza ojczyzna.

Tacy ludzie jak Dobb, wykładowca Kima, czy cała rodzina Kohlmanów, to typowi przedstawiciele Kominternu. Każdy na swoim odcinku realizuje wytyczone zadania. Bardzo trudno jest z nimi walczyć.

Jest rok 1933, kiedy Kim przyjeżdża do Austrii. Od kilku miesięcy w sąsiednich Niemczech rządzi Adolf Hitler. Wiedeń też nie jest już tym, co niegdyś, kosmopolitycznym, otwartym miastem sztuki, filozofii i muzyki. Co bardziej zapobiegliwi uciekają. Partia nazistowska i komunistyczna zostają rozwiązane i uznane za nielegalne. Przechodzą do podziemia. Wielu działaczy Kominternu jest tam zresztą już od lat, jak Litzi, która co prawda znana jest policji jako jego aktywistka, jednak na co dzień konspiruje, będąc łączniczką i kurierem pomiędzy poszczególnymi kołami partii

komunistycznej.

Na ogólną sytuację polityczną nakłada się dodatkowo głęboki kryzys gospodarczy. Miliony ludzi są bez pracy, a przyszłość jawi się jeszcze gorzej.

Tymczasem w ZSRS gospodarka kwitnie. Centralne planowanie wydaje się przynosić efekty. Powstają wielkie inwestycje, co z tego, że rękoma więźniów – o tym Zachód nie chce wiedzieć. Istotne jest to, że Sowiety się rozwijają.

Cytowany tu już Koestler pisze o tym tak:

Kiedy mówię, że zakochałem się w pierwszej pięciolatce, nie przesadzam.

W dwudziestym piątym roku życia ciągle jeszcze uważałem szczęście za problem inżynierii społecznej. Rosja podjęła największy z inżynierskich eksperymentów w historii – i to w czasie, kiedy pozostałe pięć szóstych świata widomie uległo rozpadowi. Teoria marksistowska i radziecka praktyka były godne podziwu i ostatecznym spełnieniem dziewiętnastowiecznego ideału Postępu, któremu hołdowałem. Największa elektrownia wodna świata musiała bezspornie przynieść największe szczęście największej ilości ludzi (...)

Komunistyczne love story

W tym czasie Litzi i Kim są zafascynowani komunizmem i sobą nawzajem.

Często wyjeżdżają na wieś, spacerują po wiedeńskich parkach, korzystają z atrakcji wesołego miasteczka, które znane jest z wielkiego koła. Wokół buzują nie tylko hormony kochanków, ale też wydarzenia polityczne. Coraz częściej zdarzają się walki komunistów ze skrajną prawicą i nazistami. W 1934 roku dochodzi do bratobójczych walk w robotniczych przedmieściach Wiednia. Ginią setki ludzi, a komuniści powoli spychani są do defensywy.

Kim, który do tej pory pracował jako księgowy dla Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR), staje się bardziej zaangażowanym działaczem. Pełni rolę kuriera międzynarodowego – brytyjski paszport znacznie to ułatwia – organizuje podziemne siatki komunistyczne. Nieodłącznie towarzyszy mu przy tym Litzi, która ma dodatkowe zadania jako łączniczka. Jej nerwy znajdują się na skraju wytrzymałości. Ścigana jest nie tylko przez konkurencję polityczną, ale też policję - poinformowaną dokładnie o jej zakazanej działalności.

Litzi i Kim muszą się ukrywać w mieszkaniach przyjaciół, często tych z kolonii angielskiej w Wiedniu.

W mieszkaniu Kohlmanów stale przeprowadzane są rewizje, a dom znajduje się pod obserwacją tajniaków. Takie życie jeszcze bardziej zbliża do siebie kochanków. Konspirują, działają, uprawiają seks. Kim jest w swoim żywiole, kocha, jest kochany i działa. To jest to, czego brakowało mu w Anglii na uniwersytecie. Tam były tylko dyskusje, deklaracje, pisanie listów otwartych.

Tu w Wiedniu jest walka, ta prawdziwa, pisana przez wielkie W.

Alice, ta „pułapka z miodem”, która miała za zadanie usidlić takiego trutnia jak Kim, wydaje się nie tylko fanatyczną, zdolną do wszystkiego działaczką, ale też dziewczyną, która w szczerzy sposób pokochała tego angielskiego arystokratę.

Uwiódł ją swoim wdziękiem, wyglądem, seksapilem. To się nazywa połączyć przyjemne z pożytecznym.

Sytuacja jest bardzo dynamiczna, tak w związku obojga kochanków, jak i w polityce. Litzi grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Jeżeli nie zginie z rąk nazistowskiego zamachowca na ulicy i zostanie złapana, czeka ją długoletnie więzienie. Kim podejmuje błyskawiczną decyzję i oświadcza się dziewczynie.

Zostaje przyjęty, a oprócz prawnego sformalizowania ich związku Alice otrzymuje brytyjski paszport, który chroni ją przed aresztowaniem. Młodzi nie ukrywają swojego szczęścia i związku. Ślub i wesele są pełne rozmachu i należą do najbardziej komentowanych i znanych wydarzeń towarzyskich tego czasu.

Pobierają się w lutym 1934 roku, to jest po niespełna czterech miesiącach od przyjazdu Philby'ego do Wiednia. W ceremonii i kolacji uczestniczą minister Hugh Gaitskell, przywódca Partii Pracy, Theodor „Teddy” Kollek, przyszły burmistrz Jerozolimy, i wielu towarzyszy partyjnych. Anglicy są jednak zszokowani. Dla osób spoza rewolucyjnego półświatka Alice to mała, komunistyczna dziwka.

Dowiaduje się o tym także przerażona decyzją syna matka Harolda Adriana. Ojciec wpada w szal. Jego pierworodny ożenił się nie tylko z komunistką, ale zaangażowaną działaczką syjonistyczną, a on jest ultraproarabski i na myśl o niepodległym państwie żydowskim dostaje nerwowych skurczów.

Młoda para pozostawała jeszcze przez kilka miesięcy w rozpalonym politycznie mieście.

Kim zaangażował się w pomoc prześladowanym towarzyszom. Ułatwiał im przekraczanie granicy, nadal pracował jako kurier.

Podczas walk w robotniczych dzielnicach, gdy zginęło ponad tysiąc pięćset osób, a pięć tysięcy było rannych, stał na czele bojówki im. Kirowa. Ale pętla zaciskała się wokół niego coraz bardziej. Teraz już nie dzielnice, ale poszczególne ulice były pod kontrolą komunistów. Poruszanie się po mieście stało się szalenie niebezpieczne i utrudnione. Można było w każdej chwili „nadziać” się na patrol nazistów lub policji.

Litzi przeszła kolejne, tym razem bardzo poważne, załamanie nerwowe. Jej rodzina znajdowała się *de facto* w areszcie domowym i nie mogła utrzymywać z nią kontaktu. Najbliższą osobą stał się w tym czasie Kim, zastępując wszystkich najbliższych, i to on podjął decyzję o wspólnym wyjeździe z Austrii. Tak naprawdę nie mieli czego już tam szukać. Komuniści byli rozbici, a o powrocie do normalnego życia nie mogło być mowy. Kim zakupił motocykl i w pierwszych dniach maja, z Alice na tylnym siodełku, wyruszyli w długą podróż do Anglii.

Do szpiegostwa przez Paryż

Motocykl nie jest najwygodniejszym środkiem transportu, zwłaszcza dla pasażera. Dlatego rodzina Philbych zrobiła sobie dwutygodniowy postój w Paryżu.

Kim „uzbrojony” w listy polecające do francuskich towarzyszy został przyjęty z otwartymi rękoma. Zamieszkali w małym mieszkanku na lewym brzegu Sekwany, w mekce pisarzy i intelektualistów.

Paryż tego okresu to europejskie centrum działalności Kominternu.

Po dojściu Hitlera do władzy, półtora roku wcześniej, do Francji zjechała większość liczących się działaczy komunistycznych. Pośród nich wiodącą rolę odgrywał Willi Münzenberg, komunistyczny sybaryta i hedonista, uchodzący za najlepszego propagandzistę „sprawy”. Urodził się w Erfurcie w 1889 roku. Zanim został radykalnym socjalistą, praktykował jako fryzjer męski i szewc. W wieku dwudziestu lat wyemigrował do Szwajcarii, gdzie poznał Lenina. Od tej pory był wiernym wykonawcą, a przede wszystkim kreatorem bolszewickich działań międzynarodowych. Jeszcze w weimarskich

Niemcech utworzył drugi co do wielkości koncern medialny, w skład którego wchodziły gazety, tygodniki, produkcja filmowa, a nawet fabryki papierosów. Pojawiając się w 1933 roku w Paryżu, dysponował potężnym majątkiem, który zamierzał wydać na walkę z faszyzmem i krzewienie komunistycznych idei.

Potężnie zbudowany, niski, barczysty, krępy, o ramionach, których szerokość kazała wierzyć, że zderzenie z nim przypominałoby zderzenie z walcem drogowym. Rysy jego twarzy charakteryzowały się surowością drzeworytu. Mimo że daleki był od pretensjonalności czy arogancji, jego osoba wzbudzała taki respekt, że wielu widziało, jak socjalistyczni ministrowie, nieustępliwi bankierzy i austriaccy książęta zachowują się w jego obecności niczym sztubacy.

Objął on opieką młodą parę, przedstawiając ich elicie komunistycznej miasta. A było z kim rozmawiać. Do członków partii i zagorzałych działaczy, oprócz wymienionego już tutaj Artura Koestlera, należeli literaccy nobliści Romain Rolland i André Gide, pisarze i poeci Henri Barbusse, André Malraux, Louis Aragon czy malarz Pablo Picasso. Dla Kima i Litzi było wstrząsem, że tylu znanych i sławnych ludzi jest ich towarzyszami, że przyjmowani są ciepło, bez zbędnego dystansu. Stolica Francji bardzo różniła się pod tym względem od Wiednia czy Londynu. W Paryżu komuniści to śmietanka elit intelektualnych tego kraju, mieszkająca w pewnej zamkniętej i szczelnej enklawie. Jean Guéhenno, prokomunistyczny pisarz i krytyk literacki, tak opisywał ten świat:

Cała (Republika Literacka) mieści się w kilku paryskich domach, paru ciasnych redakcyjnych czy wydawniczych biurach, paru salonach, kilku kawiarniach, pracowniach, paru mansardach. Niełatwo się tam dostać. Prawdziwa dyskusja toczy się między kilkoma zaledwie dziesiątkami pisarzy, którzy się wzajemnie uznali, i nikim więcej.

Pobyt w Paryżu staje się potwierdzeniem właściwie obranej drogi. Młodzi w dzień spacerują objęci po mieście, by wieczorami dyskutować w mieszkaniach intelektualistów, a nocą przesiadywać w uroczych paryskich knajpkach, nad ranem zaś kochać się i ponownie rozpocząć swój codzienny rytuał. Planują pozostać tu na dłużej, ale proza życia sprowadza ich na ziemię. W szybkim tempie kończą im się pieniądze przywiezione jeszcze z Austrii, w większości pochodzące z prezentów weselnych. Ojciec Kima odmawia jakiegokolwiek pomocy, dopóki zadaje się on „z tą dziewczyną”,

a Alice nie może liczyć na pomoc rodziny. Praca u Münzenberga nie wchodzi w grę. On poszukuje innych ludzi.

Litzi – młoda rewolucjonistka – nie pasuje do tego środowiska. Nie jest wykształcona, nikogo tutaj nie przekona swoimi wdziękami, a poza tym – zmieniły się metody działania. Celem komunistów stało się pozyskanie elit, a nie odstraszenie ich radykalną, rewolucyjną retoryką. Za rok powstanie Front Ludowy, koalicja lewicowych partii z komunistami i radykałów trzeba „ciąć po skrzydłach”.

Kim też nie ma co robić. Sowieccy werbownicy wyznaczyli mu nowe zadania. Czas wracać do Anglii. Z wielkim żalem i bólem serca młoda para pakuje swoje rzeczy i wyrusza w dalszą podróż, zostawiając za sobą miasto zakochanych.

Już nigdy nie będą tak szczęśliwi, jak byli właśnie tutaj. Szczęśliwi swoją miłością, w gronie bliskich ideowo im przyjaciół.

Młodzi, zdolni, przyszłościowi

Jadąc w kierunku kanału La Manche, Kim nie mógł wiedzieć, że odpowiada on nowej doktrynie wywiadowczej przygotowanej przez specjalistów z NKWD. W tym czasie, już od ponad dekady, na czele sowieckich służb specjalnych stali wyjątkowo zdolni, planujący przyszłość ludzie. Należały do nich takie osoby, jak Artur Artuzow z wywiadu NKWD czy Jan Berzin, szef GRU. To oni zaplanowali i przeprowadzili najbardziej precyzyjne, długofalowe i misterne akcje wywiadu sowieckiego. Zawsze stawiali na młodych, zdolnych agentów. Obaj też odnieśli ogromne sukcesy w zainstalowaniu nielegalnej agentury w państwach zachodnich i USA.

W latach 30. XX wieku wywiad sowiecki zauważył, że pod dominacją idei komunistycznych znalazło się bardzo wielu wpływowych ludzi, w tym młodych rozpoczynających swoją karierę życiową. Postanowili postawić właśnie na nich.

Koncepcja była prosta i zarazem genialna. Wytypować zadeklarowanych, wiernych komunistów, zwerbować do pracy w wywiadzie, a następnie skierować do instytucji rządowych ich państw. Pomagać cały czas w karierze, także poprzez agentów już umiejscowionych w instytucjach na różnych stanowiskach. Taki agent nie musiał być od razu czynny i zdobywać nie wiadomo jakich informacji. Miał piąć się po szczeblach kariery tak, by

dotrzeć do interesującego wywiad sowiecki miejsca w hierarchii państwowej. Ludzie ci mieli za zadanie zostać parlamentarzystami, pracownikami ministerstw, głównie spraw zagranicznych, służb specjalnych, dziennikarzami.

Kim wydawał się idealny do roli takiego agenta. Pochodził z wielkiej, starej, szanowanej rodziny. Był znakomicie wykształcony i ustosunkowany. Nie aspirował do elity, on był elitą. Młody wiekiem, mógł starać się o posadę rządową i miał wielkie szanse, aby ją uzyskać, jednak na drodze stała mu pewna przeszkoda. Był rozpoznany jako komunista już w Cambridge, co potwierdził podczas pobytu w Austrii. Jeszcze przed austriacką eskapadą złożył podanie o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Instytucja ta poprosiła o opinie na temat męczyzny jego dwóch wykładowców, kolegów ojca Kima. Znając poglądy młodego Philby'ego, nie zdecydowali się go poprzeć, co praktycznie zamykało mu drogę do pracy na posadzie rządowej. Wywiad sowiecki znalazł jednak rozwiązanie, ale o tym za chwilę.

Werbunek

Po przyjeździe do Londynu Kim z Alice zamieszkali najpierw w skromnym mieszkanku. Philby chciał przywyknąć do sposobu życia biednych robotników, miał to być wyraz solidarności z przodującą klasą. „Nora” – tak wstrząśnięci znajomi określali mieszkanie Litzi i Kima – pozbawiona była jakichkolwiek wygód, w tym ogrzewania, łazienki i toalety, która znajdowała się w podwórzu.

Kim podjął ostateczną decyzję, że wstąpi do brytyjskiej partii komunistycznej.

W tym celu udał się do jej lokalu, skąd został pogoniony jako prowokator. Jego maniery i język rodem z pałacu Buckingham wprawiły towarzyszy w osłupienie.

Litzi też najwyraźniej uznała, że nie jest to właściwa droga dla jej męża. Nie po to przygotowywała go tak długo, aby teraz został szeregowym członkiem partii.

Otrzymał inne zadania. Jak napisał Jurij Modin, zajmujący się agentami z Cambridge:

Ani ich poglądy polityczne (Litzi i Kima – przyp. aut.), ani zaangażowanie w komunizm nie stanowiły w tym przypadku (werbunku – przyp. aut.)

czynnika decydującego. Byli po prostu zakochaną młodą parą, którą łączył wstręt do faszyzmu. Od 1934 do 1940 roku współpraca z radzieckimi tajnymi służbami stanowiła ostatnią rzecz, jaka mogła im przyjść do głowy. W tym czasie ich młodość, odwaga, inteligencja i energia były w pełni zaangażowane w walkę z faszyzmem w Niemczech, Włoszech, Anglii i wszędzie tam, gdzie ta hydra podnosiła głowę.

Ten opis jednak wydaje się dość mocno naciągany. Być może miłość do kobiety i komunizmu nie stanowiła największego imperatywu do wstąpienia do sowieckiego wywiadu, ale była częścią większej skomplikowanej gry. Jeszcze w Wiedniu Litzi popychała Kima w objęcia NKWD. Przychodziła z nim na spotkania i osobiście poznała z Teodorem Malym, węgierskim byłym księdzem, mieszkańcem Wiednia i jednym z sowieckich nielegalów. Kim był podobno urzeczony Malym i z rozdziawionymi ustami słuchał jego wykładów. Ten nielegal był weteranem wojny domowej i od wielu lat pracował dla wywiadu. Swoją działalność prowadził z Wiednia, skąd, podobnie jak małżeństwo Philbych, musiał uciekać w początkach 1934 roku. Nie powinno nas zdziwić, że osiadł w Anglii i stał się drugim w kolejności agentem prowadzącym Kima.

Pierwszym był Arnold Deutsch, Austriak, który również wcześniej utrzymywał kontakty z Alice. Była to szalenie interesująca postać. W Wiedniu pracował jako psycholog i terapeuta-seksuolog. Był wyznawcą koncepcji psychologicznej stworzonej przez innego Austriaka Wilhelma Reicha, która głosiła, że należy wprowadzić terapię seksualną robotników, gdyż zubożone i nieszczęśliwe życie erotyczne sprowadza lud pracujący na drogę faszyzmu.

W swoim kraju Reich ogłoszony został „prorokiem nowego orgazmu” i stworzył ruch pod nazwą „sekspol”.

Deutsch również wyemigrował do Anglii, podając jako powód prześladowania polityczne. Los, a właściwie Litzi, postanowiła związać ich ze sobą. Żeby jednak nie wzbudzać podejrzeń męża, werbunek miał nastąpić okrężną drogą. Stało się to przez przyjaciółkę i byłą kochankę Litzi, Edith Susczycki, bardziej znaną pod nazwiskiem swojego męża Tudor Hart. Starsza o dwa lata od Alice, była również członkiem partii komunistycznej i przynajmniej od 1929 roku związana z wywiadem sowieckim. To właśnie ona miała poznać Kima z Deutschem, a ten – przeprowadzić werbunek.

Późniejsza akcja potoczyła się jak w filmie szpiegowskim. Panowie

spotykali się w parku, rozmawiając na tematy polityczne i społeczne. Kim sądził, przynajmniej na początku, że Arnold to członek zakonspirowanej organizacji wewnątrz Kominternu. Deutsch nie wyprowadzał go z błędu, nie chcąc płoszyć potencjalnego szpiega. Pożyczał mu drobne sumy, gdyż Philby z żoną nadal pozostawali bez stałej pracy. Alice cały czas była na bieżąco informowana przez Kima o rozwoju sytuacji i delikatnie popychała go w stronę zdrady ojczyzny. Sam Philby wydawał się być wniebowzięty. Już nie tylko przebywał z kobietą, którą kochał, ale również mógł przysłużyć się sprawie na tajnym froncie walki.

Początek końca

Czy Alice przeczuwała, że początek pracy jej męża dla sowieckiego wywiadu jest także początkiem, tyle że końca ich małżeństwa? Pewnie zdawała sobie z tego sprawę, była gotowa, podobnie jak Kim, do największych poświęceń dla sprawy, w tym i ich miłości.

Pierwszym zadaniem, jakie Philby otrzymał od sowieckiego wywiadu, było zwerbowanie podobnych mu młodych ludzi – wysoko urodzonych, ideowych komunistów. W tym celu nawiązał ponownie kontakt ze swoim byłym kochankiem Guyem Burgessem, podobnie jak on fanatycznym komunistą, który stał się obok Kima kluczową osobą w siatce szpiegowskiej, ale także w przyszłości przyczyną jej wpadki.

NKWD nie było jednak do końca zadowolone. Chcieli oni, aby Philby rozpoczął karierę rządową, a na drodze stała jego komunistyczna przeszłość. To musiało się zmienić. Trzeba było przewrócić świat wokół Kima o 180 stopni.

Łatwo jest to powiedzieć, ale jak zorganizować. Zaczęto od ponownego wprowadzenia go do naturalnego środowiska. Młodzi zamieszkali u jego matki, próbując wieść normalne życie swojej klasy. Koktajle, bankiety, wyścigi konne i niezobowiązujące ploteczki u ciotek i babć. Dora była przeszczęśliwa. Pomimo wcześniejszych zastrzeżeń, serdecznie polubiła synową, nie wiedząc, że jej dni u boku Kima są już policzone.

Philby zatrudnił się w liberalnym tygodniku „Review of Reviews” oraz zaczął zrazu delikatnie, a następnie coraz bardziej zdecydowanie odcinać się od przeszłości. Znane są jego tyrady z tego okresu, potępiające komunizm, wytykające jego błędy i oszukańczy charakter. Dzięki pomocy ojca zdobył

bliskie kontakty w środowisku nazistowskich dyplomatów w Londynie. W tym czasie, jak pisze jego biograf, to, co mówił i jak się zachowywał, potrafiło przekonać St. Johna, że syn powrócił na właściwą drogę.

Operacja „zmiany poglądów” zakończyła się pełnym sukcesem. Kim zaprzyjaźnił się serdecznie z Joachimem von Ribbentropem, niemieckim ambasadorem, późniejszym ministrem spraw zagranicznych III Rzeszy, który rekomendował go do pracy u samego Josepha Goebbelsa, ministra propagandy. Nic z tego co prawda nie wyszło, pomimo że panowie spotkali się i polubili, ale taka rekomendacja była istotna dla Kima, który jako korespondent wybierał się na wojnę domową w Hiszpanii.

Po zmianie poglądów przyszedł czas na zmianę żony. Litzi stała się obciążeniem i było jasne dla wszystkich, że z partnerką o takiej przeszłości Kim nie może nawet marzyć o karierze urzędnika państwowego. Po długich i czasami gorączkowych rozmowach małżeństwo ustaliło, że ogłosią separację. Na tym etapie był to jeszcze najpewniej wybieg taktyczny. Kim, pracując jako dziennikarz przy sztabie generała Franco, wielokrotnie wykorzystywał Alice jako kurierkę dostarczającą zaszyfrowane wiadomości do sowieckiej rezydentury w Lizbonie.

Wokół Kima zaczęło się jednak robić pusto. Kontakty z żoną nabrały charakteru incydentalnego. Po powrocie do Anglii praktycznie już się nie spotykali.

Deutsch i Maly zostali wezwani do Moskwy, los pierwszego z nich jest nieznany do dzisiaj, a drugi został rozstrzelany w ramach wielkiej czystki. To samo spotkałoby gen. Aleksandra Orłowa, hiszpański kontakt Philby'ego z KGB

i Münzenberga, gdyby nie zdecydowali się na odmowę przyjazdu. Orłow uciekł do USA, a Münzenberg został zabity przez stalinowskich siepaczy w 1940 roku.

W tym samym roku Artur Koestler wydał swoją demaskatorską powieść *Ciemność w południe* i ostatecznie zerwał z komunizmem. Kim, do końca pozostał wierny idei, podobnie jak Alice. Rozwiedli się dopiero po wojnie, kiedy Philby był już w długoletnim związku z inną kobietą. Litzi jeszcze kilkakrotnie dawała znać o sobie, gdy Kim musiał ukrywać swoją przeszłość. Philby bagatelizował swoją pierwszą miłość. Jurija Modina, który z ramienia KGB nadzorował pisane przez niego wspomnienia, zawsze dziwiło, że tak rzadko i bez entuzjazmu o niej mówił.

Być może nie chciał odkrywać swoich prawdziwych uczuć. W życiu miał jeszcze trzy żony i niezliczoną liczbę kochanek. Wszystkie kochały go bardzo, czuła, wręcz matczyną miłością. Kim zmarł w 1988 roku w Moskwie, Litzi trzy lata później w Berlinie Wschodnim. Oboje – do końca wierni swoim młodzieńczym ideałom.

ROZDZIAŁ III

W świecie dewiantów

Tego lata słońce prażyło niemiłosiernie. Nad zasypywanym grobem stali wyłącznie mężczyźni. Dziwny był to widok. Pośród żałobników było kilku oficerów i agentów KGB oraz oficjalny kochanek zmarłego i kilku mniej oficjalnych. Żegnano legendę sowieckiego wywiadu. Człowieka z wyższych sfer brytyjskich, absolwenta elitarnych szkół, nałogowego alkoholika i pederastę.

Jednego z największych zdrajców w historii swojego kraju.

Cała ta historia zaczyna się w Cambridge, a dokładnie w Trinity College, jednym z najstarszych uniwersytetów na świecie. Szkołę tę utworzył w 1546 r.

Henryk VIII – ten sam, który z uwielbieniem kierował swoje żony pod topór kata.

Król powołał go na bazie dwóch już istniejących kolegiów: Michaelhouse założonego przez Herveya de Stanton w 1324 roku i King's Hall założonego przez Edwarda II w 1317 roku.

Przez setki lat uczelnia dorobiła się światowej sławy. Lista laureatów Nagrody Nobla z tej uczelni przewyższa wszystkich razem wziętych noblistów z całej Francji. 37 nagród zostało rozdysponowanych głównie pomiędzy absolwentów bądź wykładowców z dziedziny nauk ścisłych. Jak na tak stosunkowo mały uniwersytet – sześciuset studentów – jest to wynik zaiste oszałamiający. Nic dziwnego, że studenci i absolwenci Trinity nie tylko czują się, ale są w istocie elitą elit.

Do najbardziej znanych osób wywodzących się z tej uczelni należą takie tuzy ludzkiej myśli jak chociażby Izaak Newton, Niels Bohr, Lord Byron, Ludwig Wittgenstein czy Bertrand Russell. Dyplomami ukończenia studiów mogło się poszczycić aż sześciu premierów rządu Jej Królewskiej Mości, kilku królów i książąt brytyjskich i niezliczona liczba mniejszej i większej szlachty.

Na prawo od głównego wejścia do college'u znajduje się uniwersytecka

kaplica, co prawda nie tak okazała jak ta leżąca kilkaset metrów dalej w King's College, ale równie imponująca. I to nie swoją wielkością czy zbiorami dzieł sztuki, a pewną kamienną tablicą. Wisi ona po prawej stronie drzwi frontowych, a towarzyszą jej rzeźby najbardziej znanych ludzi Trinity. Na samej tablicy wykuto kilkaset nazwisk alumnów i wykładowców, tych wszystkich, którzy swoją pracą, odkryciami czy geniuszem zbudowali przez wieki legendę tej szkoły. Nie ma tam jednak tych, którzy w kulturze popularnej stali się synonimem całego Cambridge.

Bo z Trinity nie są najbardziej kojarzeni ani genialny Newton, uduchowiony Byron czy zagubiony książę Karol, lecz grupka młodych ludzi, którzy postanowili zdradzić swój kraj w imię idei proletariackiej rewolucji. Z czasem nazwano ich „Piątką z Cambridge”, a byli to Kim Philby, Guy Burgess, Anthony Blunt, Donald Maclean i John Cairncross.

Pijak

Guy Burgess objawił się w Cambridge w 1930 roku. Słowo „objawił” jest tu jak najbardziej na miejscu. Jako student pierwszego roku bardzo szybko zdobył nie tylko nowych przyjaciół, ale też dużą popularność. Było to dość niezwykle wydarzenie jak dla nowicjusza. Pomogła mu w tym na pewno znakomita aparycja.

Przystojny blondyn, dobrze umięśniony, o błyskotliwym umyśle. Oficer prowadzący z KGB scharakteryzował go jako nadzwyczaj kulturalnego człowieka, o umyśle na tyle subtelnym, by pojąć najtrudniejsze koncepcje. Poglądy miał oryginalne i interesujące. Był błyskotliwym mówcą, czującym się jak ryba w wodzie w wyższych sferach. Jego inteligencja fascynowała wszystkich. Był w tym czasie najbłyskotliwszym studentem w Cambridge. A przy tym miał naturę despoty, do mistrzostwa doprowadził umiejętność wykorzystywania innych ludzi do własnych celów i absolutnego dominowania nad nimi.

Brytyjska pisarka i działaczka feministyczna Rebecca West, obracająca się w środowisku młodych intelektualistów tak charakteryzowała Guya Burgessa: *Rzuciło się w oczy, że należy on do świata uprzywilejowanych, którym z racji urodzenia należy się bogactwo i szacunek. Było rzeczą*

oczywistą, że w swoim czasie budził się w bardzo dziwnych miejscach. Miał mnóstwo przyjaciół. Należeli do nich także najmniej sympatyczni mężczyźni i kobiety z Anglii, którzy dziś żyją.

Rodzina Guya wywodziła się z francuskich Hugenotów, zbiegłych do Anglii w wyniku prześladowań religijnych. Zmienili nazwisko z Bourgeois na bardziej angielsko brzmiące Burgess i w XIX wieku byli właścicielami kilku dobrze prosperujących banków w hrabstwie Kent. Ojciec naszego bohatera, Malcolm Kingsford de Moncy Burgess i kilku innych członków jego rodziny przez dziesiątki lat związanych było z brytyjską marynarką wojenną. Dla Guya również wyznaczono podobną drogę kariery i skierowano go do szkoły morskiej w Dartmouth. Nie zagrzał tu jednak długo miejsca. Dlaczego musiał ją opuścić, nie jest do dzisiaj jasne. Być może przeszkadzał mu zbyt wybujały – jak na ucznia szkoły wojskowej – indywidualizm, lecz równie prawdopodobne jest, że ujawniły się w nim już skłonności homoseksualne. Rodzina pogodziła się z tym, że młody Guy marynarzem nie zostanie, i skierowali go jak większość chłopców z tego typu rodzin do męskiego gimnazjum w Eton, skąd wyniósł eklektyczną wiedzę, umiejętność debatowania i utwierdzenie w wyborach seksualnych.

W Trinity zaczął studiować historię, choć to stwierdzenie jest bardzo na wyrost. Większość czasu spędzał na popijawach w gronie nieodłącznych przyjaciół, a braki w wiedzy nadrabiał intelektem, przebojowością i krasomówstwem. Ponieważ był powszechnie lubiany zarówno wśród nauczycieli, jak i studentów, nie mógł narzekać na brak pokus fizycznych. Bardzo szybko skłonności młodego Burgessa stały się tajemnicą poliszyneła. Nie spotkały go jednak z tego powodu żadne nieprzyjemności, co jest o tyle dziwne, że pederastia była w tym czasie w Anglii ścigana prawnie, a za jej uprawianie groziły kary więzienia. Jednak w liberalno-lewicowym Cambridge mało kto się tym przejmował. Znaczna część młodych studentów, mimo że nie była homoseksualna, miała za sobą przygody z innymi mężczyznami. Guy nie był tu wyjątkiem. Kim Philby czy Donald Maclean pomimo posiadania stałych związków małżeńskich z kobietami również nie stronili od męskiej „przyjaźni”.

Pod koniec pierwszego roku zaczęła się fascynacja Burgessa lewicowymi koncepcjami markszystowskimi. Wpływ na to miało kilka przyczyn. Po pierwsze, światowa moda na lewicowość, bardzo popularna wśród studentów, nie tylko brytyjskich uniwersytetów. Koszmar I wojny światowej

nadal pozostawał w pamięci, a za jej wybuch obwiniano kapitalizm, dążenia burżuazji i wielkich przedsiębiorców. Dawało się wyczuć niesprawiedliwość społeczną, a odpowiedzią na nią miałyby być powszechna rewolucja proletariacka i reklamowane sukcesy państwa sowieckiego, a zwłaszcza pierwsza stalinowska pięciolatka.

Młodym zaangażowanym politycznie mężczyznom marksizm wydawał się nie tylko zbawienny, ale odpowiadał na wszystkie pytania i rozwiewał wątpliwości.

Stał się czymś w rodzaju biblii, o poglądach opartych nie na rozumie, lecz czystej wierze, chociaż mający dla swoich wyznawców znamiona wiedzy naukowej.

Po drugie, początek lat 30. XX wieku to nieprzerwany marsz do władzy partii nazistowskiej w Niemczech i obawy o wywołanie kolejnego światowego konfliktu. Przy bezczynności mocarstw zachodnich, ich tolerancyjnym podejściu do zagrożenia, ZSRS jawił się jako jedyna, skuteczna tama mogąca powstrzymać nadchodzącą apokalipsę.

Po trzecie, Burgess bardzo szybko dołączył do stowarzyszenia socjalizujących studentów z Cambridge, następnie do Stowarzyszenia Apostołów, elitarniej organizacji łączącej rewolucyjność poglądów z radością doznań homoseksualnych. To właśnie tam poznał Maurice'a Dobba, wykładowcę ekonomii i najbardziej znanego profesora, członka Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Przez niego to właśnie Guy poznał młodszego o rok Kima Philby'ego, który miał go za kilka lat zwerbować do pracy dla sowieckiego wywiadu.

W okresie studiów Burgess nie był tylko gorącym propagatorem komunizmu na spotkaniach, odczytach czy seminariach. Jego energia kierowała go na „odcinek” walki bezpośredniej. W 1932 roku był współorganizatorem strajku, mającego na celu zmuszenie władz uczelni do wynagradzania swoich pracowników podczas przerwy wakacyjnej. Protest zakończył się zwycięstwem protestujących.

Po tym sukcesie działalność Guya nie ograniczyła się tylko do murów uniwersyteckich. Z coraz większą energią angażował się w pomoc strajkującym w różnych częściach Anglii, a że przy okazji często znajdował opłacanych kochanków wśród kierowców ciężarówek czy młodych robotników, to był dodatkowy bonus do działalności rewolucyjnej. Nie pozostało to jednak bez wpływu na wyniki w szkole. W 1933 roku w wyniku

działalności politycznej i przewlekłej choroby w ogóle nie podszedł do egzaminów semestralnych. Coraz większe spustoszenie w jego organizmie zaczynał siać alkohol. Praktycznie od początku studiów nie znał umiaru w picu i homoseksualnych balangach. Zdarzało się, że na wykłady przychodził kompletnie pijany, a podczas debat miał trudności z wyrażeniem własnego zdania. Jeden z jego przyjaciół zauważył w swoim dzienniku: *Co za smutny, smutny widok to ciągle picie! A był to chłopak o najbardziej błyskotliwym i bystrym umyśle, jakiego znałem.* Ten nałóg za kilkanaście lat miał go doprowadzić do katastrofy i ostatecznie śmierci.

Esteta

Wygląpom Burgessa w pubie już od pewnego czasu przyglądał się młody doktorant, kulturalny i wychowany, cztery lata starszy Anthony Blunt. Był całkowitym przeciwieństwem Guya. Równie wysoki, jednak nie sprawiał wrażenia przystojnego. Pochylona sylwetka, zwieńczona dużą głową, która z biegiem lat coraz bardziej upodobniała się do końskiego łba. Podobnie jak jego młodszy kolega, był pederastą, ale bardzo dbającym o dyskrecję, co stanowiło całkowite przeciwieństwo jego późniejszego kochanka. Guy fascynował go nie tylko swym seksapilem, ale również inteligencją i wiedzą, a były to cechy, które Anthony potrafił docenić.

Był synem pastora, proboszcza kaplicy ambasady brytyjskiej we Francji.

Dzięki temu francuski stał się dla Anthony'ego drugim językiem ojczystym. Co ważne, był trzecim kuzynem lady Elżbiety Bowes-Lyon, znanej później jako królowa matka. Takie koneksje otwierały drzwi na wszystkie najważniejsze salony, nie tylko Anglii, ale całej Europy. Anthony nie musiał jednak korzystać z rodzinnych koneksji. Od młodości zakochany w europejskim malarstwie, z biegiem lat stał się największym specjalistą w tej dziedzinie, a uwieńczeniem jego kariery zawodowej było kustoszowanie królewskim zbiorom malarskim.

Nim jednak to nastąpiło, Anthony, podówczas doktorant w Trinity, postanowił zaprzyjaźnić się z Burgessem. Najlepszym sposobem było zaproszenie go do Stowarzyszenia Apostołów. Guy chętnie przystał na tę propozycję i zgodnie z oczekiwaniami Anthony'ego zostali kochankami.

Przyjęcie Burgessa do Apostołów było dla niego niebywałym awansem towarzyskim. Stowarzyszenie powstało w 1820 roku i grupowało tylko

dwunastu studentów, którzy oceniali się jako najbardziej światłe umysły swojego pokolenia.

Założycielem stowarzyszenia był George Tomlinson, pierwszy biskup Gibraltaru, a pośród Apostołów były takie osoby jak Frank Ramsey, Ludwig Wittgenstein, Bertrand Russell, John Maynard Keynes czy James Mirrlees. W latach 30. XX

wieku Apostołowie stali się prawdziwą „wylęgarnią” sowieckiego szpiegostwa.

Oprócz Burgessa, Blunta oraz związanych z Apostołami Philby’ego czy Macleana o związki z NKWD podejrzewani byli m.in. amerykański pisarz Michael Straight, spadkobierca fortuny finansowej Victor Rothschild i filozof Ludwig Wittgenstein, w przeszłości będący szarą eminencją całej „piątki z Cambridge”.

Blunt chyba jednak nie w ten sposób wyobrażał sobie romans z Burgessem.

Sam był według różnych świadków szaleńczo zakochany. Ubóstwiał swojego młodszego kolegę, jego dowcip, inteligencję, oczytanie. Dla Guya związek ten był podobny do innych przelotnych, jakich w tamtym czasie miał mnóstwo.

W odróżnieniu od Anthony’ego nie zamierzał się wiązać na stałe, a co gorsza, przez niego ich miłość przestała być tajemnicą. Blunt chciał bardzo dbać o dyskrecję. Obawiał się nie tylko rygorystycznego prawa – wymiar sprawiedliwości mógł go osadzić w więzieniu lub uczynić farmakologicznie rośliną – ale również reakcji swojej rodziny. Jak na razie nie miał środków własnych, a badania nad doktoratem wymagały kosztownych wyjazdów zagranicznych.

Guy wydawał się tego nie dostrzegać. Pociągał go wysublimowany Anthony, nie na tyle jednak, by poświęcić mu życie. W okresie, gdy obaj zamieszkali razem w Cambridge, często Guy wymykał się wieczorami na spotkania z nowymi lub starymi kolegami, co bardzo bolało Anthony’ego. Miłość jest jednak ślepa i Blunt tkwił w niej niczym w bagnie, z którego nie można się wydostać.

Marksizm ponad wszystko

W swoich wspomnieniach, spisanych kilkadziesiąt lat po omawianych tu

wydarzeniach, Jurij Modin, jeden z oficerów prowadzących „piątkę z Cambridge”, pisząc o Burgessie zastanawiał się nad następującą kwestią: *Kiedy patrzę na jego życie, trudno mi zrozumieć, dlaczego ten niezwykle uzdolniony student wyrzekł się kariery wyższego urzędnika państwowego, światowca i dyplomaty, by przejść na naszą stronę i podjąć się tego, było nie było, dość niebezpiecznego i niewdzięcznego wyzwania, za które jedyną nagrodą miało być to, że przysłuży się sprawie światowej rewolucji.*

W 1933 roku Burgess nie był jeszcze sowieckim agentem, ale doskonale rozumiał, że „sprawa” potrzebuje możliwie najbardziej wpływowych i doświadczonych protektorów. Za cel werbunku do swojej marksistowskiej i antyfaszystowskiej grupy wybrał na początek Blunta. Problem polegał na tym, że Anthony żył w zupełnie innym świecie, poza polityką. Był skoncentrowany na studiowaniu malarstwa i rzeźby. Bardziej interesowały go delikatne światłocienie niż brutalność czerwieni. Burgess zadawał sobie z tego sprawę, ale nie rezygnował.

Odbył dziesiątki rozmów z kochankiem, które nie przyniosły jednak pozytywnych rezultatów. Anthony powoli skłaniał się do marksizmu, w wielu sprawach przyznawał rację swojemu rozmówcy, ale nadal według kryteriów partyjnych pozostawał niepewny ideologicznie. Guy krzyczał do przyjaciela – jak możesz być taki protestancki, taki nieczuły, taki ślepy!? Anthony tylko wzruszał ramionami i powracał do przerwanej lektury.

Nacisk Burgessa jednak się wzmacniał i w końcu przyniósł rezultaty. W 1933

roku obaj spędzali wakacje we Rzymie, gdzie Blunt studiował włoskie malarstwo.

Najpewniej dla świętego spokoju i miłości do Guya zadeklarował się ostatecznie jako marksista. Podobno miało go przekonać stwierdzenie Guya, że „sztuka w społeczeństwach burżuazyjnych jest skazana na zagładę” i „(...) tylko mecenat państwa totalitarnego zapewnia rozwój wszystkich dziedzin sztuki”, jednak tak karkołomna teza raczej nie przekonałaby tak wybitnego znawcy tematu. Realizm socjalistyczny w sztuce zabijał w niej wszystko, co najpiękniejsze, a wydumane, często prymitywne obrazy były zaprzeczeniem piękna samego w sobie.

Blunt nie był jedynym, który dał się uwieść. W kilka tygodni później Burgess uczynił z Donalda Macleana swojego kochanka oraz kolejną osobę zwerbowaną do grupy antyfaszystowskiej. Na przełom trzeba było jednak

począć do następnego roku. To właśnie wtedy, z pełnej przygód podróży do Austrii i Francji powrócił Kim Philby. Był już po rozmowach z nielegalnymi oficerami wywiadu sowieckiego i zgłosił swój akces do pracy w tajemniczej i tajnej komórce mającej za cel zwalczanie Hitlera i partii nazistowskiej, a zwłaszcza jej wpływów w Zjednoczonym Królestwie. Jednym z pierwszych zadań, jakie otrzymał, było wytypowanie kandydatów do zwerbowania, o podobnych do niego poglądach i pochodzących z tej samej warstwy społecznej. Wybór był nader prosty.

W tamtych czasach w Cambridge roilo się od różnej maści marksistów i antyfaszystów. Pośród nich był i Burgess, kolega ze studiów Kima.

Przekonanie Guya do bezpośredniej współpracy z Sowietami nie nastroczało wielu problemów. Szybko zgodził się na spotkanie z Arnoldem Deutschem, legendarnym nielegalnym sowieckiego wywiadu. Od kilku lat był już gotowy na podjęcie tego typu współpracy. Brakowało mu jednak odpowiednich znajomości i kontaktów. Teraz drogę otworzył mu Philby.

Problem polegał na tym, że Guy w swoim środowisku był powszechnie znany jako sympatyk komunizmu. Co mógłby zdziałać z taką opinią? Drogi kariery urzędniczej byłyby dla niego zamknięte. Gorzko przekonał się o tym sam Kim Philby, gdy próbował aplikować do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Pomimo że nie był nigdy tak ostentacyjnie zaangażowany jak Burgess, musiał cichcem podanie wycofać, by nie doszło do jeszcze większej kompromitacji.

Otrzeźwieniem dla Burgessa miała się stać , zaplanowana przez NKWD, podróż do ZSRS. Wziął w niej udział również Blunt, który zarówno w swoich sympatiach politycznych, jak i związkach homoseksualnych, był zdecydowanie bardziej skryty niż cała reszta.

Wyjazd miał dla obu kilka doniosłych konsekwencji. Po pierwsze, uznali, i to szczerze, że ZSRS nie jest krajem dla nich, co nie przeszkodziło im w dalszym jego wspieraniu. Po drugie, Burgess, dzięki zadzierzgniętym znajomościom, zwłaszcza z Nikołajem Bucharinem, utwierdził się w swoich skrajnie lewicowych poglądach. Po trzecie, doszło do zapoznania Blunta i Deutscha, w wyniku którego ten pierwszy przyjął rolę łowcy talentów. Miał ją wykonywać pod płaszczykiem działań Kominternu, ale jasne było, że wykonuje ją dla innej, bardziej złowroziej instytucji. Po czwarte wreszcie, obaj z Bluntem po powrocie do Anglii zaczęli wszem i wobec wygłaszać

niepochlebne dla Sowietów opinie i tym samym „oczyszczać” się w środowisku. W istocie otumanienie totalitarną, zbrodniczą ideologią pozostało niezachwiane do końca ich dni.

Raz tylko sytuacja mogła się wymknąć spod kontroli. Stało się to po ogłoszeniu paktu Ribbentrop-Mołotow i wywołało wielkie zaskoczenie w całym ruchu komunistycznym. Od teraz śmiertelny wróg, do walki z którym poświęcali swoje życie, okazał się być sojusznikiem. Jak miało się okazać, tylko nieliczna część komunistów przejrzała na oczy i zerwała z dawnymi kolegami. Nasza czwórka też była w szoku. Blunt i Burgess przerwali swoje romantyczne wakacje we Francji, by spotkać się z pozostałą dwójką i omówić zaistniałą sytuację.

Dialektyka marksistowska i mądrość etapu jednak przeważały. Po mało burzliwej dyskusji doszli do wniosku, że właściwie nic się nie zmieniło i pakt jest jedynie krokiem wstecz na drodze do zwycięstwa proletariackiej rewolucji.

Nadpobudliwy szpieg

Wciągając kogoś takiego jak Burgess do działań wywiadowczych, Sowietci wiele ryzykowali. Przemądrzały indywidualista raczej słabo mieści się w schemacie typowego szpiega. Jednak pokusa dotarcia poprzez jego kontakty do najwyższych czynników państwowych spychała na dalszy plan obawy o poczytalność mężczyzny. Dość szybko Guy udowodnił, że jest dobrym współpracownikiem. Zaraz po opuszczeniu uniwersytetu został zatrudniony u lady Rothschild. Jej rodzina była znana z szerokich koneksji, w tym i pośród ludzi ze służb specjalnych. Tam Burgess poznał m.in: Stewarta Menziesa – szefa MI-6, Dicka White’a – przyszłego szefa kontrwywiadu MI-5, Roberta Vansittarta, podsekretarza stanu w Foreign and Commonwealth Office, odpowiedzialnego za nadzór nad wywiadem, czy Josepha Balla – szefa wewnętrznej komórki wywiadowczej partii konserwatywnej.

W 1935 roku podział zadań wykonywanych przez szpiegów z Cambridge był już przydzielony. Blunt miał pozostać na uniwersytecie i łowić nowe talenty.

Donald Maclean musiał ukończyć studia i starać się zatrudnić w instytucji rządowej. Te same zadania mieli już Philby i Burgess, najpierw jednak trzeba

było zrzucić odium sympatii komunistycznych. Kim poszedł drogą dziennikarstwa i opowiedział się po stronie gen. Franco podczas hiszpańskiej wojny domowej. To otworzyło mu drzwi do dalszej, rządowej już kariery. Burgess obrał podobną drogę, „przeskakując” z sympatyka komunizmu na zwolennika nazizmu.

W szybkim czasie został asystentem posła Partii Konserwatywnej Johna Macnamary, znanego z profaszystowskich poglądów i uczestnictwa w Stowarzyszeniu Przyjaźni Angielsko-Niemieckiej.

Panowie przypadli sobie do gustu, zwłaszcza że obaj byli czynnymi pederastami szukającymi nowych ekstremalnych doznań. Macnamara, mający znakomite kontakty w III Rzeszy, korzystał często z uroków młodych chłopców z Hitlerjugend. Po „zabawach” w Berlinie i Monachium często przenosili się do Paryża, gdzie Edouard Pfeiffer, również homoseksualista, a jednocześnie najbliższy współpracownik i asystent ministra spraw zagranicznych Edouarda Daladiera, organizował w swoim apartamencie małe orgie. Powtarzającym się motywem było wiązanie młodego chłopca do stołu plecami do góry, a wokół niego tańczyli Burgess i przyjaciele, chłostając go pejczem.

Zachowanie Guya nie uszło uwadze Blunta. Był szczerze zaniepokojony działaniami swojego niedawnego kochanka i postanowił interweniować. Porzucił posadę w Cambridge i przeniósł się do londyńskiego mieszkania Burgessa. Miało to w jego zamierzeniu stonować charakter Guya i rozciągnąć nad nim większą kontrolę. Zamierzenie udało się tylko częściowo.

Kim był w tym czasie tak naprawdę Guy Burgess? Cytowana już w tym rozdziale Rebecca West dała jego pogłębiony literacko opis z tego okresu: *Niekiedy w ochronce dla dzieci... widuje się małego chłopca, który zawsze przyciąga uwagę odwiedzających. Zamyślona ponura twarz dziecka rozjaśnia się tak ujmującym uśmiechem, jego reakcje w stosunku do obcych są tak błyskawiczne i żywe, tak sympatycznie zmienia to. Gość myśli: ten cudowny, mały chłopiec z pewnością jest wspaniałym dzieckiem. O tak! Niestety, zdarza się jednak, że gdziekolwiek ten aniołek się pojawi, wybucha pożar. Dokładna obserwacja dowodzi, że jedyną zabawką, jaka mu sprawia przyjemność, jest pudełko zapalek; domy, stodoły i stogi siana stają w płomieniach. Taka właśnie cecha wyróżniała Burgessa: szeroki uśmiech podpalacza, ukrywający wewnętrzną radość, jaką czerpie z oszustwa i zniszczenia.*

Trzeba przyznać, że powyższy opis jest dość makabryczny i przywodzi na myśl słodkiego chłopczyka z horroru „Omen”. Nie ma powodu, aby nie wierzyć Rebecce West, jednej z nielicznych osób niebędących pod hipnotycznym wpływem Burgessa. Ten opisany przez nią uśmiech otwierał mu jednak kolejne drzwi. Przez prawie dwa lata prowadził w BBC własny program radiowy, by nareszcie w początkach 1938 roku otrzymać zaproszenie do elitarnego klubu, jakim są służby specjalne. Na razie na okres próbny, ale drzwi do szafki z „łakociami” stawały coraz bardziej otworem.

Po niecałym roku był już pełnoprawnym funkcjonariuszem z przydziałem do sekcji „D”, zajmującej się dezinformacją długofalową. Pierwszym zadaniem miało być stworzenie antyfaszystowskiej rozgłośni radiowej nadającej z kilku krajów. Wywiązał się z tego bez zarzutu.

Wojna jednak zbliżała się wielkimi krokami, podobnie jak kryzys w związku Blunta i Burgessa. Nie mogąc znieść hulaszczego życia swojego przyjaciela, Anthony, wywołując szok u większości swoich znajomych, wstąpił do armii.

Skierowano go do Belgii, daleko od domu i od cierpień związanych z Guyem.

Służba frontowa podczas „dziwnej wojny” nie przyniosła mu ukojenia. Nudził się jak mops, nie miał zbyt wiele do roboty i chociaż był zatrudniony w kontrwywiadzie, nie mógł wspomagać Rosjan, gdyż do jego obowiązków należało przede wszystkim szwendanie się po barach i nasłuchiwanie rozmów żołnierzy, rzadziej zaś przesłuchiwanie podejrzanych typów próbujących przekroczyć granice.

Ale od czego ma się przyjaciół? Kilka rzewnych listów wystarczyło, aby Rothschild i Burgess, dzięki swoim wpływom spowodowali, że Anthony ponownie znalazł się na Wyspach i tu pełnił już do końca wojny swoją służbę kontrwywiadowcy. Wprowadził się oczywiście do Guya, co powodowało liczne plotki i dodatkowo działało frustrująco na oficerów wywiadu sowieckiego, przerażonych takim brakiem ostrożności, jak wspólne mieszkanie ich dwóch kluczowych szpiegów. Żadne prośby ani groźby nie przynosiły jednak rezultatu.

Panowie postanowili być sobie, przynajmniej w tym względzie, wierni.

Być może przyczyną ich wspólnego pomieszkiwania był znaczny spadek psychicznej formy Burgessa. Jego kariera w służbach została przystopowana.

Kilkakrotnie odmówił udziału w inwigilacji członków partii

komunistycznej, a próba wysłania go do Moskwy – gdzie notabene byłby całkowicie zbędny dla NKWD – skończyła się ostrym sprzeciwem ambasadora Wielkiej Brytanii w Sowietach. Nie bardzo wiedząc, co z nim dalej robić, odsunięto go więc na boczny tor do szkoły dywersantów w Brickendonbury, gdzie szybko znalazł się również i Philby. Pod koniec 1940 roku brytyjski wywiad przechodził reorganizację, w ramach której wydzielono nową strukturę – Kierownictwo Operacji Specjalnych, znaną powszechnie pod nazwą SOE. Philby dostał angaż, Burgess nie. Plotkowano, że to z powodu jego homoseksualizmu. Rośli i wysportowani komandosi cieszyli się dużym zainteresowaniem Guya, ale słabość do nich przekreśliła jednak ostatecznie jego nadzieje na awans w tajnych służbach.

Burgess powrócił więc do dziennikarstwa na antenie BBC. Jego prosowieizm dał o sobie znać zaraz po ataku Hitlera na ZSRS. Emitował wówczas audycje przedstawiające w jak najkorzystniejszym świetle nowego sojusznika i zwalczał wszelkie antysowieckie nastroje, panujące zwłaszcza wśród członków emigracyjnych rządów urzędujących na terenie Londynu. W swoich działaniach nie był osamotniony. Wspomagało go jeszcze kilku innych agentów NKWD i ogólna, przychylna Stalinowi, atmosfera polityczna.

Dziennikarstwo daje dostęp do wielu ludzi, informacji, plotek czy komentarzy, ale nie może równać się z dostępem, jaki mają służby specjalne.

W czasie wojny Kim robił oszałamiającą karierę w wydziale iberyjskim MI-6, by w 1944 roku stanąć na czele sekcji antysowieckiej wywiadu. Anthony'emu też nie wiodło się źle. Zrekrutowano go do MI-5 i stał się jednym z najbliższych współpracowników Guya Liddela, zastępcy szefa tej służby.

Szczęście do Burgessa miało się uśmiechnąć dopiero po wojnie. Maclean obejmował placówkę w Waszyngtonie i NKWD nie posiadało już w MSZ tak wiarygodnego źródła. Zadanie przejęcia tego odcinka otrzymał właśnie Burgess.

Ponownie dzięki kontaktom towarzyskim i byłym kochankom dostał pracę w biurze prasowym. Nie miał tam dostępu do informacji tajnych o istotnym znaczeniu dla jego pracy szpiegowskiej. Jednak już rok po zatrudnieniu został prywatnym sekretarzem Hectora McNaila, pierwszego wiceministra spraw zagranicznych. Teraz przez jego biurko przewijały się dziesiątki dokumentów, z których najciekawsze lądowały równie szybko w Moskwie,

co w Londynie. Guy osiągnął szczyt swoich możliwości.

Równia pochyła

Sukcesy szpiegowskie nie wpływały jednak na szczęście w życiu osobistym.

Związek z Anthonym praktycznie wygasł. Została tylko fascynacja intelektualna i miłość do komunizmu. Lata konspiracji, podwójnego życia odcisnęły swoje piętno. Dla człowieka, który lubił sobie wypić, stres pogłębiał tę potrzebę. Już nie pederastia zwracała uwagę otoczenia, lecz notoryczne opilstwo. Nowy oficer prowadzący „piątkę z Cambridge” wspominał Burgessa z tego okresu:

Należał do tego rodzaju ludzi, którzy wyróżniali się w każdym właściwie środowisku, co w naszym fachu nie stanowi zbyt pożądaney cechy. Jego buty budziły we mnie prawdziwą fascynację: nigdy wcześniej (ani później) nie wiedziałem tak lśniącego obuwia. Jego koszule zawsze były śnieżnobiałe. Ale im lepiej go poznawałem, tym częściej zauważałem, że miewa poplamione spodnie oraz marynarkę i że nigdy ich nie prasuje. Ubierał się dość ekstrawagancko, co ściągало na niego uwagę przypadkowych przechodniów, a czasem policji. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego nosząc ubrania od najbardziej renomowanego londyńskiego krawca, z bliska wyglądał jak ostatni włóczęga.

Czy nie jest to przypadkiem opis alkoholika i pijaka, który za wszelką cenę próbuje ukryć swój nałóg i minimalnie zapobiec – w pełni świadomy swoich działań – rozpoznaniu jego prawdziwego stanu? A ten się pogarszał z miesiąca na miesiąc.

Zatapianie się w morzu alkoholu miało też i inne konsekwencje. Jego marksistowski fanatyzm powoli przechodził również w mesjanizm. Modin charakteryzował to tak:

(...) traktował siebie jako doskonałego szpiega. (...) Wierzył, że jest przeznaczony do większych i szlachetniejszych celów. Nie pracował dla Związku Radzieckiego, widział siebie na czele światowej rewolucji.

Burgess, pomimo że dostarczał góry najwartościowszych dokumentów, przestawał czuć, że jego działania mają realny wpływ na bieg wydarzeń. Rewolucja proletariacka zdawała się mu bardziej odległa niż w latach 30. XX wieku. We Francji i Włoszech partie komunistyczne zostały spacyfikowane. Rozpadł się sojusz Stalina i przywódcy jugosłowiańskich komunistów – Tity.

Partyzantka w Grecji zmuszona została do defensywy. Procesy pokazowe w nowych krajach komunistycznych stawiały pod wielkim znakiem zapytania stalinowską praworządność. A w samej Anglii - rządząca Partia Pracy skutecznie wytrącała oręż radykalnym lewicowcom. Tak, Burgess mógł czuć się wyalienowany.

Problemy Guya zaczęły ciążyć też sowieckim wywiadowcom. „Burgess zaczął sprawiać poważne kłopoty” – konkludował Modin. W pamiętnikach zapisał to tak: „Ciągle żyliśmy w strachu, że któregoś dnia wyzna po pijaku wszystkie nasze sekrety jakiemuś przypadkowemu człowiekowi”. W sukurs przyszedł Blunt.

Oficerowie NKWD unikali bezpośrednich spotkań z Burgessem. Teraz kontakty i dokumenty miały przepływać przez odpowiedzialnego Anthony’ego. To on je odbierał i przekazywał dalej, do Sowietów. Spotkania z Guyem stały się zbyt niebezpieczne.

Pijaństwo i frustracja przełożyły się u niego na zwiększoną agresję. Celem byli wszyscy ci, którzy w jego opinii wspierali Stany Zjednoczone. Pewnego razu tak pobił urzędnika MSZ, że ten wylądował z połamaną szczęką w szpitalu.

McNeil zatuszował całą sprawę, ale było jasne, że dni Guya są policzone. Nie pomagało mu, że do podobnych sytuacji dochodziło w Tajlandii – dokąd wybrał się na seks wycieczkę – i na Gibraltarze. W obu tych miejscach ruszył z pięściami na oficerów brytyjskiego wywiadu.

W tarapaty popadł też Maclean. Po serii alkoholowych libacji i – jak to ujęto w dokumentach – „niepohamowanej rozwiązłości” musiał opuścić Kair i powrócić do kraju. Udało mu się jednak przekonać przełożonych, że jego „wyskoki” były spowodowane przemęczeniem. Poza tym, zdiagnozowano u niego poważną depresję. Po półrocznej terapii był na tyle zdrowy, że powołano go na szefa wydziału amerykańskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Jednak Rosjanie postanowili dać mu odpocząć od pracy wywiadowczej. Zaczął również stanowić zagrożenie dla operacji. Jeszcze niekiedy, na własną rękę podsyłał jakieś dokumenty, ale powoli zaczął być „wyciszany” jako agent.

W tym czasie Maclean ponownie bardzo się zbliżył z Burgessem. Spędzali sporo czasu na rozmowach politycznych, odwiedzali Blunta i planowali kolejne działania szpiegowskie. Dzień sądu nadchodził jednak nieubłaganie. Maclean na poważnie zaangażował się w ratowanie kariery Guya

i doprowadził do wysłania go jako dyplomaty do ambasady Zjednoczonego Królestwa w Waszyngtonie. To, co miało pomóc Burgessowi, przypieczętowało jego los. Jechał do państwa, w którym od kilku lat był już Philby, będący łącznikiem MI-6 z nowo powstałą CIA. Ponadto Stany Zjednoczone były krajem, którego Guy nienawidził szczególnie. Przy jego temperamencie nie trzeba było być wróżką, aby przewidzieć kłopoty. I tak też się stało. Burgess, który zamieszkał u Kima, wdawał się w bijatyki, obrażał oficerów CIA i ich żony, często był zatrzymywany za prowadzenie pod wpływem alkoholu.

Chronił go jednak immunitet i ustosunkowani przyjaciele w ministerstwie, więc wszystko długo uchodziło mu na sucho.

Czarne chmury pojawiły się najpierw nad Macleanem. Już od końca lat 40.

XX wieku Amerykanie zaczęli powoli, acz systematycznie, rozszyfrowywać korespondencję sowiecką, która przychodziła z i do ambasady ZSRS

w Waszyngtonie. Stało się to możliwe dzięki niebywałemu zbiegowi okoliczności.

Ponieważ do szyfrowania były wykorzystywane jednorazowe klucze z ciągiem liczb, ich deszyfracja była praktycznie niemożliwa. Jednak w latach wojny, kiedy istniały utrudnienia w dostarczaniu poczty dyplomatycznej, w tym i szyfrów, skorzystano kilka razy z tej samej serii cyfr. To wystarczyło kryptologom do rozpoczęcia prac. Były one ściśle tajne i ograniczone do bardzo wąskiej liczby osób. W tej grupie był też i Philby, który poznawał depeche dzięki uprzejmości jednego z oficerów wywiadu. W jednej z nich pojawił się kryptonim „Homer”, który należał do Macleana. Stawało się jasne, że kryptolodzy prędzej czy później zorientują się, kto stoi za tym pseudonimem, zwłaszcza że w rozszyfrowanych materiałach znajdowały się informacje biograficzne o Donaldzie.

Sporym problemem było jednak samo poinformowanie zainteresowanego, że służby są na najlepszej drodze do jego dekonspiracji. Telefon czy list nie wchodził w rachubę. Maclean mógł być już obserwowany, a nawet jeżeli nie, to służby w toku śledztwa zorientowałyby się, że ktoś z Waszyngtonu go ostrzegł. W grę wchodził tylko Guy, który i tak był pośrednikiem w łączności pomiędzy Kimem a wywiadem sowieckim. Philby i Burgess ułożyli sprytny plan. Guy miał tak narozrabiać, aby wydalono go z ambasady. Dla niego była to pestka. Jadąc samochodem kilkakrotnie przekroczył prędkość, był

kompletnie pijany oraz wdał się w przepychanki z policją. Dla ambasady było tego za dużo i w ciągu kilku dni spakowany ruszył w drogę powrotną. Jego cel był jeden: miał tylko ostrzec Macleana. Ostrzec i nic więcej.

Śmierć z tęsknoty

Dlaczego Burgess zdecydował się uciec razem z Macleanem? Wszak po powrocie z Rosji Sowieckiej w 1934 roku szczerze wyznał: „to, co tam zobaczyłem, dalekie było od moich wyobrażeń”. Do ucieczki raczej nie namawiali go sowieccy oficerowie prowadzący. Istniało zbyt duże ryzyko powiązane z Kimem Philbym i pobytem obydwu w Stanach Zjednoczonych. Philby w tym czasie stał u progu olbrzymiego awansu. Na poważnie rozpatrywano jego nominację przynajmniej na zastępcę szefa wywiadu. Bardziej prawdopodobne jest, że Burgess powziął decyzję o emigracji do ZSRS pod wpływem chwili lub alkoholowego upojenia. Mógł mieć dość tych lat ciągłej konspiracji i podwójnego życia.

Po przyjeździe do Londynu poinformował Blunta o sytuacji, a ten skontaktował się z Modinem. Rosjanie zaczęli przygotowywać szybką ścieżkę ewakuacji. Ich szpiedzy musieli zostawić wszystko, co mieli, Maclean dodatkowo rodzinę. Obiecano mu, że najszybciej, jak będzie to możliwe, żona i dziecko dołączą do niego. 25 maja 1951 r. obaj szpiedzy nie niepokojeni przez nikogo przepłynęli kanał La Manche. Nim zamieszkali ostatecznie w Moskwie, przez pewien czas przebywali w Kujbyszewie. KGB obawiało się, że mogą zostać rozpoznani na ulicy i uprowadzeni z powrotem do Londynu.

O tym, że Burgess i Maclean zaginęli, zorientowano się dopiero kilka dni później i powiązano ze sobą fakty. Kontrwywiad brytyjski, jak przystało na prawdziwych gentlemanów, poprosił Blunta o klucze do mieszkania Guya, aby zrobić tam przeszukanie. Blunt zwlekał, co było podyktowane tym, że klucze oddał Rosjanom, którzy w profesjonalny sposób „wyczyścili”

mieszkanie z kompromitujących materiałów, których znaleźli niemało. Nawet w tak krytycznej sytuacji Anthony pozostał wierny kochankowi, próbując do końca walczyć w jego sprawie.

Gdy ucieczka wyszła na jaw, kariera Philby'ego była skończona. Odwołany z Waszyngtonu, wrócił do Londynu i został wydalony ze służby. Nie posiadano jednak twardych dowodów jego zdrady. Zwolniono go ze

służby, ale Kim nie składał broni. Bronił się przed oskarżeniami nawet publicznie, zwołując konferencję prasową. Ostatecznie uciekł ponad dekadę później i dołączył do starych przyjaciół w Moskwie.

Jedyną osobą, która pozostała na miejscu jeszcze przez pewien czas publicznie niezdekonspirowana, był Anthony Blunt. System bezpieczeństwa rozszyfrował go już w 1961 roku, ale ujawnienie jego szpiegowskiego procederu groziło wielkimi konsekwencjami politycznymi. W 1956 roku otrzymał wszak od królowej tytuł szlachecki, był kustoszem galerii obrazów królewskich i przyjacielem Jerzego VI. Pograżony ostatecznie przez byłego studenta, również członka Apostołów, Amerykanina Michaela Whitney'a Straighta. Wyznał on w 1963 roku, że został zwerbowany przez Blunta w latach 30. Jednak nawet przy tak oczywistych dowodach nie zdecydowano się ujawnić prawdy. Dopiero w 1979

roku zrobiła to Margaret Thatcher. Blunt był jednak poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. W zamian za immunitet, sam przyznał się do współpracy i opisał jej szczegóły, cały czas broniąc decyzji swojego byłego kochanka. Pozostał mu wierny, aż do swojej śmierci w 1983 roku. Było to dwadzieścia lat po tym, jak Burgess, w wyniku chronicznego alkoholizmu, zmarł w Moskwie. Cierpiał tam z tęsknoty za Anglią, jej klimatem, sposobem życia, pubami i gronem przyjaciół.

Nigdy nie zaaklimatyzował się w stolicy światowej rewolucji. Choć wiódł tam dostatnie – jak na warunki sowieckie – życie, zamawiając m.in. garnitury u swojego ulubionego londyńskiego krawca.

Na pogrzebie nie pojawił się Philby. Nie darował staremu przyjacielowi, że uciekł z Macleanem, wbrew wcześniejszej umowie.

Jedynym przyjacielem, wiernym mu do końca, pozostał Anthony Blunt, który zdobył się pod koniec swojego życia na takie wyznanie: „*Guy Burgess był jednym z najinteligentniejszych ludzi, których znałem. Faktem jednak pozostaje, że (...) wielu działał na nerwy*”.

ROZDZIAŁ IV

Ernest i Martha

Gdyby istniał Olimp głupoty intelektualistów, to z pewnością Ernest Hemingway byłby tam jednym z bogów. Po jego prawicy mogłaby usiąść bez cienia zażenowania żona pisarza, Martha Gellhorn.

Ernest Hemingway zapamiętany został jako wielki pisarz, poszukiwacz przygód, zawadiaka, seksualny samiec alfa i notoryczny pijak. Martha Gellhorn, no cóż, zapamiętana – delikatnie pisząc – została znacznie mniej. Jej postać wygrzebano z zakamarków historii przy okazji filmu z 2012 roku „Hemingway i Gellhorn” w reżyserii Philipa Kaufmana, gdzie w role głównych bohaterów wcielili się Clive Owen i Nicole Kidman.

Hemingway był czterokrotnie żonaty, z czego piętnaście lat poświęcił dla Mary Welsh, ostatniej żony, a trzynaście dla drugiej Pauline Marie Pfeiffer. Martha w tej kolejce była trzecia, ich związek trwał od 1936 roku, małżeństwo tylko pięć lat od 1940 do 1945 roku, ale trzeba przyznać, że był to intensywny czas jego życia, kiedy przebywał pośród szpiegów lub sam próbował nim być.

Martha grzechu warta

Gellhorn była młodsza od Hemingwaya o dziewięć lat, więc nie stanowiło to zbyt dużej różnicy wieku. Wyglądała jak typowa amerykańska posągowa blondynka, taka jak te, które podobają się pewnej grupie mężczyzn. Wysoka, zgrabna i piekielnie ambitna. Urodziła się 8 listopada 1908 r. w St. Louis w rodzinie ginekologa George’a Gellhorna, który miał to nieszczęście, że jego żoną była radykalna feministka Edna Fischel. Najwyraźniej to matka zaszczerpiła młodej Marcie poczucie dążenia, by w życiu być kimś i współzawodniczyć z mężczyznami.

Jej pęd do kariery był tak silny, że nie ukończyła nauki, rzucając się w wir pracy dziennikarskiej. Bardzo chciała zostać korespondentem zagranicznym,

a zwłaszcza – wojennym. Powiedzmy sobie szczerze, że było to trudne do zrealizowania. Ta gałąź dziennikarskiego rzemiosła była opanowana głównie przez mężczyzn. Nie zrażało to Marthy. Chciała być nową Louise Bryant, marksistowską pisarką, która odwiedzała front I wojny światowej a potem obserwowała na żywo wydarzenia, które się rozgrywały podczas rewolucji bolszewickiej. Bryant starsza od Gellhorn o całe pokolenie, przecierała szlak innym, podobnym do niej ambitnym kobietom. Obie panie łączyły trzy rzeczy.

Po pierwsze – zaangażowanie polityczne, z którym wkroczyły w świat dziennikarstwa, mając opisywać obserwowane wrażenia. Bryant była walczącą marksistką, komunistką, radykałką. Do historii przeszło jej zdjęcie w mundurze Armii Czerwonej zrobione na Placu Czerwonym w Moskwie. Gellhorn związała się z radykalnym ruchem pacyfistycznym, który w owym czasie, ciążył ku komunistom.

Po drugie, obie wychodziły z założenia, że prawdziwa natura świata jest ukryta, a one powołane są po to, by ją wydobyć na światło dzienne, opisując według własnych kryteriów politycznych.

Po trzecie, i najważniejsze, Louise i Martha, aby spełnić swoje ambicje, potrzebowały doświadczonych i znanych mężczyzn, którzy pomogliby im w karierze.

Dla Bryant – był to jeden z założycieli komunistycznej partii Ameryki – John Reed. Chociaż młodszy od swej partnerki i protegowanej o dwa lata, był osobą publicznie znaną, kiedy się poznali. Bardzo wysoko oceniono jego korespondencję z rewolucji meksykańskiej. Mądrzejsi z radykalizmu wyrastają, ale nie Reed. Gdy nadarzyła się kolejna okazja, pod rękę z Louise udał się do Piotrogradu i Moskwy, by na żywo relacjonować i uczestniczyć w leninowskim przewrocie. Reed spłodził z tej eskapady książkę pod tytułem „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, która jest fundamentalnym przykładem, jak niemówiący kompletnie po rosyjsku dziennikarz aktywista wyobraża sobie, co naprawdę się stało w październiku 1917 roku. Następnie Reed stał się aktywnym działaczem Kominternu, za który oddał życie, umierając w wyniku wszechogarniającego brudu na tyfus w Moskwie w 1920 roku. Dzięki temu został komunistycznym świętym, pierwszym Amerykaninem pochowanym pod murami Kremla. Nie muszę tu chyba zaznaczać, że w ostatniej drodze towarzyszyła mu Louise Bryant.

Martha do zawodu dziennikarza trafiła w 1931 roku, pisząc do „St. Louis

Post-Dispatch”. W tym czasie stworzyła cykl reportaży o zachodniej części USA oraz wydała powieść *What Mad Pursuit*. Jej twórczość zwróciła uwagę Harry’ego Hopkinsa, jednego z głównych doradców prezydenta Franklina D. Roosevelta, o którym płk. KGB Oleg Gordijewski, który zbiegł na Zachód, twierdził, że był on agentem sowieckiego wywiadu. Hopkins zatrudnił Marthę w Federal Emergency Relief Administration, gdzie jej zadaniem – jak napisano lakonicznie – było dokumentowanie Wielkiego Kryzysu. Przekładając to na normalny język, została kimś w rodzaju propagandzisty, dziennikarza i urzędnika w jednym. Była tak zaangażowana w obronę socjalistycznego nowego ładu, że zasłużyła sobie na przyjaźń żony Roosevelta, Eleonor. To, co prawda, wprowadziło ją na salony wielkiej polityki, ale już nie do świata wielkich reporterów.

Rozczarowana brakiem rozwoju swojej kariery postawiła wszystko na jedną kartę i wyjechała do Paryża. Szybko wsiąknęła w tamtejszą kolonię amerykańską i nawiązała kontakty z francuskimi, komunistycznymi pisarzami. Związała się i podobno – gdyż do dziś nie jest to jasne – została żoną Bertranda de Jouvenel, francuskiego filozofa, miotającego się w swoim życiu od komunizmu do hitleryzmu. Związek nie okazał się trwały, a i z podboju Paryża wyszły nici.

Powróciła do Stanów Zjednoczonych, by w święta 1939 roku, podczas jednego z rautów poznać Hemingwaya. Był już znany, ceniony i zakochany w sobie samym. Stanowił obiekt westchnień pań i zazdrości panów. Szybko zwrócił uwagę na piękną blondynkę. Być może zaimponowała mu jej przebojowość i talent, a nie uroda i nogi do samej ziemi. Faktem jest jednak, że mieli już niebawem zostać kochankami. Na drodze stała Pauline Marie Pfeiffer, druga żona Ernesta, matka jego dwóch synów i dziennikarka „Vogue’a”.

Trudno dziś jednoznacznie osądzić, czy Martha planowała stały związek z Hemingwayem, czy tylko romans, mający jej pomóc w karierze. Ostatecznie doprowadziła do rozwodu, ale w przypadku Pauline Marie nie ma się co nad nią rozczulać, gdyż stała za rozpadem pierwszego małżeństwa autora *Komu bije dzwon?* . Romansowała z nim w Paryżu, tuż pod bokiem jego pierwszej żony Elizabeth Hadley Richardson, matki pierworodnego syna Johna Hadley Nicanor Hemingwaya, późniejszego ojca aktorek Margaux Hemingway i Mariel Hemingway.

Płonąca Hiszpania

Jako miejsce wspólnej, zawodowej podróży Martha i Ernest wybrali Hiszpanię. Było to w ówczesnej sytuacji politycznej na świecie całkowicie naturalne. Konflikt wewnętrzny był postrzegany jako zastępcza konfrontacja dwóch mocarstw; nazistowskich Niemiec, wspieranych przez faszystowskie Włochy, i komunistycznego ZSRS.

Całe lata 30. XX wieku Hiszpanią wstrząsały bunty, rewolty i próby zamachów politycznych. Ścierały się ze sobą siły tradycyjnego porządku, w części monarchistyczne, z grupą partii reformistycznych różnej proweniencji – od liberałów i demokratów, po komunistów i trockistów. 16 lutego 1936 r. odbyła się w Hiszpanii pierwsza tura wyborów (druga tura odbyła się 1 marca), w których Front Ludowy, koalicja socjalistów z komunistami i anarchistami wspierana otwarcie przez Komintern zdobyła po raz pierwszy większość, z poparciem 34,3%

wyborców przy ponad 70% frekwencji. Po drugiej turze wyborów Front Ludowy uzyskał 278 miejsc w parlamencie, partie centrowe 55 miejsc, prawica 194 miejsca.

Powołany przez większość parlamentarną rząd rozpoczął funkcjonowanie 10 maja.

Znaleźli się w nim działacze lewicy, socjaliści i komuniści. Pio Moa, hiszpański historyk tego okresu, tak podsumowuje rządy tak zwanych republikańców: *Rząd „modernizujący” kraj, tolerancyjny wobec niszczycieli i wymierzający karę ofiarom, nie okazał, delikatnie mówiąc, demokratycznego oblicza ani poszanowania dla praw obywatelskich.*

Radykałowie powiązani z rządem nie chcieli czekać na stopniowe reformy.

Dążyli do rewolucji – teraz i natychmiast. Zaczęli rozbijać więzienia i uwalniać swoich współtowarzyszy, atakować przeciwników politycznych, w tym mniej radykalnych lewicowców oraz kler Kościoła katolickiego. Już 16 czerwca Gil Robles, jeden z liderów prawicowej opozycji, odczytał w parlamencie listę 160

spalonych kościołów, 269 (głównie) politycznych morderstw, 1287 napadów, 69

zniszczonych lokali partii politycznych, 113 „strajków generalnych”, 228 „strajków częściowych”, 10 splądrowanych redakcji gazet. Wszystkie te dane dotyczyły ataków na ugrupowania opozycyjne. W konkluzji swojego

parlamentarnego wystąpienia w Kortezach powiedział, że: „Kraj może istnieć jako monarchia czy republika, w systemie prezydenckim czy parlamentarnym, w komunizmie lub faszyzmie, lecz nie może istnieć w anarchii”.

Codziennie dochodziło do walk skrajnych bojówek lewackich ze skrajną prawicą skupioną wokół ugrupowania pod nazwą Falanga. Jeszcze przed uformowaniem się nowego rządu, 13 kwietnia, Falanga wykonała wyrok na sędzim Manuelu Pedragale, który skazał na 30 lat więzienia ich działacza za zabójstwo kolportera socjalistycznych gazet. Było to tylko preludium do wielkiego terroru rządowego i jego bojówek.

W dniu 6 lipca został aresztowany i skazany na śmierć przywódca Falangi, José Antonio Primo de Rivera. W nocy z 12 na 13 lipca porwano i zamordowano przywódcę monarchistów Calvo Sotelo. Zabito go strzałem w tył głowy, przy biernej postawie eskorty, przydzielonej mu przez rząd. Więcej szczęścia miał szef opozycji parlamentarnej Gil Robles, którego również zamierzano zabić, ale w odpowiednim momencie udało mu się zbiec z domu i ukryć.

Terror nasilał się z dnia na dzień. Z przyczyn politycznych zabito 330 osób, a 1511 zostało rannych. W tej sytuacji jedyną siłą zdolną zapanować nad wydarzeniami i postępującą anarchią była armia.

W połowie lipca 1936 roku dowódca brygady w Nawarze gen. Emilio Mola, rozesłał tajne pismo, w którym opisał plan i cele przewrotu. Miał być on oparty na siłach Legii Cudzoziemskiej i Regulares, wchodzący w skład „Armii Afrykańskiej”. Data została wyznaczona na 18 lipca rano. Plan, co prawda, został odkryty, ale nie podjęto środków zaradczych. Dzień wcześniej, 17 lipca, popularny w społeczeństwie gen. Franco przyleciał samolotem z Wysp Kanaryjskich do Tetuanu w Maroku Hiszpańskim. Wojsko szybko opanowało Maroko, a na czele ośmiu dywizji stanął Franco. Powstańców poparła większa część północnej Hiszpanii. W dniu 19 lipca rząd zdecydował o wydaniu broni lewackim bojówkarzom, co doprowadziło do sadystycznej rzezi wszystkich tych, których podejrzewano o sprzyjanie buntownikom.

Wydawało się, że rządowi uda się utrzymać kontrolę nad większością kraju.

Panował nad sytuacją w Madrycie, Barcelonie, Walencji i Maladze. Powstańcy zwyciężyli w Andaluzji, Leónie, Aragonii i w koloniach

zamorskich. Nie uchwycono kluczowych węzłów komunikacyjnych, wielu dużych miast, floty wojennej i portów. 26 lipca marszałek Rzeszy, Hermann Göring zorganizował pierwszy powietrzny most z pomocą dla wojsk gen. Franco. Od października po stronie rządu republikańskiego włączył się ZSRS, udzielając pomocy technicznej i kadrowej. Komintern poczuł wiatr w żaglach – wszak został powołany do wywołania światowej rewolucji – i zaczął na dużą skalę werbować ochotników, tworząc z nich tak zwane Brygady Międzynarodowe.

Pośród szpiegów i bojowników

Hemingway napisał w jednym z listów: „Okres, kiedy w Hiszpanii wierzyliśmy w zwycięstwo, był najszcześniejszy w moim życiu”. „Wierzyliśmy”?

Kto wierzył? Otóż jadąc do Hiszpanii, nie był on niezależnym, chcącym poznać realia reporterem. Był – zaangażowanym po stronie republikańskiego rządu – komunistą.

Już w pierwszej połowie lat 30. ubiegłego stulecia Ernest związał się z radykalnymi socjalistami. Zwycięstwo Hitlera pchnęło go jeszcze bardziej w lewą stronę. Pomimo że był katolikiem – ochrzcił się dla swojej drugiej żony – nie widział konfliktu pomiędzy chrześcijańskim humanizmem a marksistowskim totalitaryzmem. W połowie lat 30. XX wieku zaczął publikować zaangażowane politycznie teksty w „New Masses”, piśmie Komunistycznej Partii USA. W tym był podobny do Reeda, który też publikował we wcześniejszej emanacji tego pisma w pierwszym 20-leciu XX wieku.

Według Paula Johnsona, brytyjskiego historyka: Hemingway przez całą dekadę (lat 30. XX w. – przyp. aut.) był przekonany, jak się wydaje, że partia komunistyczna jest jedynym prawdziwym i wiarygodnym przewodnikiem antyfaszystowskiej krucjaty i że zdradą jest jej krytyka lub udział w działalności prowadzonej poza jej kontrolą. Twierdził wtedy, że ktokolwiek ma poglądy antykomunistyczne, jest „albo głupcem, albo kanalią”.

W swoich zapamiętaniach zbliżył się do innego pisarza i komunisty – Lincolna Steffensa, który po swoim powrocie z ZSRS w 1927 roku perorował jeszcze na trapie statku, że „Stany Zjednoczone muszą zostać

sowieckie”.

Hemingway nie był w swoich poglądach odosobniony. Amerykańscy twórcy, idąc drogą swoich europejskich kolegów, „zaczadzili” się komunizmem. Dziś, po tylu latach trudno uwierzyć, że ludzie wydawałoby się inteligentni, pisarze, poeci, twórcy filmowi, krytycy literaccy ulegli tak złowieszczej ideologii. Źródłem tego trzeba szukać w epoce romantyzmu i ruchach rewolucyjnych XIX wieku. To wtedy właśnie pojawił się typ niewiele rozumiejącego romantyka-idealisty. Pochodzący z Polski prof. Adam Zamojski pisał o nich następująco i trafnie:

Wyobraźnia romantyków nie zniżała się do tak przyziemnych spraw, jak praktyczna pomoc uciśnionym i konkretne wsparcie nędzarzy. Wznosiła się na poziom konfrontacji z tym, co uznawała za najbardziej fundamentalne, duchowe krzywdy. Identyfikowała je w sposób bardzo wybiórczy, kierując się własnym poczuciem dramatyzmu, patosu, heroizmu oraz faustowskiego przeznaczenia, nie pomijając przy tym bynajmniej walorów spektakularnych. Była gotowa do walki o sprawy nieistniejące, narzucając społecznościom swe aspiracje, które – oglądane przez pryzmat ignorancji i pobożnych życzeń – zdawały się pasować do jej wyobrażeń.

Hemingway i jemu podobni stali się duchowymi spadkobiercami tych ludzi.

Byli gotowi uwierzyć w największą bzdurę, jeżeli była opakowana w hasła powszechnej szczęśliwości, rajy dla uciśnionych, pokoju czy wreszcie postępu.

Każdy zdrowo myślący człowiek po przeczytaniu z kolei poniższego fragmentu wiedziałby, że od komunistów trzeba się trzymać z daleka. Przywołany cytat pochodzi z instrukcji Kominternu do działaczy sekcji kulturalnej:

Pogląd, że poezja wymaga jakiegoś specjalnego talentu, którzy jedni ludzie mają, a inni nie, to burżuazyjna metafizyka. Sztukę tworzenia poezji można nabyć dzięki nauce i ćwiczeniom, tak jak każda umiejętność. Potrzebujemy więcej świadomej klasowo poezji proletariackiej; musimy zwiększyć produkcję poezji na froncie literackim. Początkujący adeptci powinni zacząć od pięciu do dziesięciu linijek dziennie, a potem wyznaczyć sobie cel; od dwudziestu do trzydziestu linijek i stopniowo zwiększać liczbę i jakość swojej produkcji.

Jeżeli myślicie Państwo, że cytat pochodzi z jakiejś podziemnej lektury, to

wiedzie, że nie. Była ona powszechnie kolportowana i dyskutowana na setkach spotkań partii komunistycznej na całym świecie.

Hemingway w wyniku lenistwa intelektualnego, mody czy też chęci powszechnej, środowiskowej akceptacji postanowił trzymać się komunistów. Nie spieszyło mu się jednak na „prawdziwą” wojnę. Wpłacał jakieś datki na republikanów, wygłaszał płomienne, potępiające faszystów mowy, ale nie stanął w pierwszym szeregu obrońców nowego porządku. Uwagę pisarza zaprzętało przekupienie kubańskich senatorów, aby zgodzili się na wprowadzenie walk byków na jego ukochanej wyspie. W tym czasie poznał Marthę Gellhorn, zapaloną zwolenniczkę podróży do walczącej Hiszpanii. Marzył mu się romans, a kto jak kto, ale on wiedział, jak uwieść kobietę. Trzeba było okazać swoją władzę, zdecydowanie, męskość, no i oczywiście wykorzystać przyziemne, ale bardzo ważne kontakty w świecie literackim – w celu zdobycia funduszy na podróż.

Z pomocą przyszło Stowarzyszenie Gazet Północnoamerykańskich NANA, które zatrudniło go i jego najbliższego przyjaciela od kielicha, Sidneya Franklina w roli korespondentów wojennych. Nim jednak 27 lutego 1937 r., to jest w rok po objęciu władzy przez Front Ludowy, wszedł na pokład parowca „Paris” mającego zawieźć go do Francji, Hemingway zaangażował się wraz z Dos Passosem w produkcję filmu dokumentalnego tworzonego przez fanatycznego holenderskiego komunistę. W tym celu on, Dos Passos, Archibald MacLeish oraz Lillian Hellman – wszyscy probolszewicy – powołali grupę mającą zbierać środki na to propagandowe dzieło, którą nazwali „Współcześni historycy” (sic!).

W Paryżu obaj podróżnicy spotkali się z Picassem, który wolał wybrać powolne życie Lewego Brzegu niż zbrojną awanturę w swoim kraju. Ale najważniejsze spotkanie dotyczyło kobiety. We Francji na Hemingwaya czekała już Martha. Chociaż dla wszystkich było jasne, jaki jest powód ich spotkania – i nie chodziło o wojnę – trzeba przyznać, że Ernest robił wszystko, aby nadal być postrzegany jako wierny mąż i dobry ojciec.

Na razie ambasada Hiszpanii w Paryżu wydała wizę tylko dla Hemingwaya.

Martha i Sidney musieli zaczekać. Doszło do paradoksalnej sytuacji. Hemingway, na którego w Hiszpanii czekano tak bardzo, że Komintern przez posłusznych dziennikarzy opublikował w USA i Europie kilka artykułów o tym, jak znany pisarz jedzie do Madrytu, nie mógł wydębić dwóch

kolejnych wiz wjazdowych dla swoich współpracowników i może komuniści chcieli mieć go do dyspozycji wcześniej i bez świadków? Wszak w ich planach miał stać się ważną tubą propagandową, na co zresztą ochoczo przystał.

Nie czekając na dziewczynę i przyjaciela, wyczarterował samolot i wyruszył do Barcelony z przesiadką w Tuluzie. Przed wyjazdem wydał dokładne instrukcje, w jaki sposób Martha i Sidney mają się dostać do Hiszpanii. Poleciał przyjacielowi zakup niedużej furgonetki i zapakowanie jej medykamentami. Sam udał się już do Madrytu. Zatrzymał się w hotelu Florida, ale spieszno mu było na front. Chciał się wykazać przed przyjazdem Marthy. „Zwyczajni” dziennikarze nie uczestniczyli jako obserwatorzy w walkach.

W większości siedzieli sobie wygodnie w hotelowych lobby w bezpiecznym Madrycie, a wiedzę o wojnie czerpali z dostarczanych im codziennych biuletynów. Hemingway chciał jednak inaczej.

Pragnął się pokazać jako zaangażowany reporter, co to kulom się nie kłania.

Pojechał więc na front pod Guadalajarą, by pod miasteczkiem Brihuega uznać, że tocząca się bitwa przejdzie do historii wojen światowych. Mylił się, nie przeszła.

Jego ówczesne opisy sytuacji wojennej są typowe dla całej komunistycznej propagandy, a wyszukany styl zamienił się nagle w siemieżną agitpropkę. Oto jej próbka:

Rekrutów w wieku od dwudziestu jeden do dwudziestu sześciu lat powoływano do wojska i oni sami, ich dziewczęta i rodziny świętowali werbunek i zwycięstwo (...). Krocząc czwórkami, trzymając się pod ręce, śpiewali, krzyczeli, grali na harmoniach i gitarach. Statki spacerowe w Alicante były zapchane trzymającymi się za ręce parami, które odbywały swoją ostatnią przejażdżkę, ale na brzegu, gdzie przed zatłoczonymi punktami tworzyły się długie kolejki, panowała atmosfera rozhukanego świętowania. (...) Wzdłuż całego wybrzeża (...) jechaliśmy przez świętujące tłumy, które bardziej mi przypominały dawne czasy feerii i fiesty niż wojnę (...).

No, po prostu bajka, jakby żywcem wyjęta z propagandowych filmików, jakie wyświetlano w kinach od Moskwy po Nowosybirsk. W tym czasie wielki pisarz stał się najgorszego sortu propagandzistą rodem

z komunistycznej gazety „Prawda”.

Powracając do wielkiej miłości Ernesta – Sidneyowi udało się wreszcie wyprawić Marthę do Walencji. Odetchnął z ulgą. Przez krótki czas oczekiwania na wizy w Paryżu zdążył szczerze zniechęcić tę pretensjonalną kobietę, która traktowała go jak lokaja. Otrzymał nowe wytyczne od Ernesta. Miał pozbyć się medykamentów, zakupić za to jedzenie i mocny alkohol, którego brakowało w Madrycie. Gdy już wywiązał się z poleceń, dotarł do Walencji, gdzie dowiedział się w miejscowej cenzurze, że ma zabrać ze sobą dwie osoby. Jedną był dziennikarz komunistycznego dziennika „Daily Worker”, drugą Martha, która zagubiona nie potrafiła jak dotąd dostać się do Madrytu.

Sidney został zmuszony do wypakowania części wozu, co przysporzyło mu wielu nowych przyjaciół pośród tubylczych rewolucjonistów. Notabene, Hemingway działał podobnie. Bywając na froncie, często z podręcznej butelczyny koniaku częstował szeregowych żołnierzy, wzbudzając tym zachwyty dla „tego wielkiego, amerykańskiego pisarza”. Znana jest historia, jak pewnego wieczoru znaleziono go leżącego i umorusanego w błocie obok innego żołnierza, którego podobno uczył, jak strzelać (sic!).

W końcu Martha i Sidney dotarli do Florydy, ale Ernesta nie zastali, bo był na froncie. Gdy wrócił, swoje pierwsze kroki skierował do jej pokoju. Spędzili długą i namiętą noc. Od tej pory stali się nierozłączni: dotyczyło to w takim samym stopniu poglądów, jak i pracy codziennej. Gdy nie przebywali na froncie, większość czasu spędzali w łóżku. Oboje też stali się bezwolnymi narzędziami sowieckiej propagandy.

Częściej zresztą niż na froncie bywali oboje w hotelu Gaylord, sztabie głównym doradców sowieckich. Później w powieści *Komu bije dzwon* Robert Jordan, główny bohater powie, że „Gaylord” był niezbędnym do uzupełnienia edukacji. Tam człowiek dowiadywał się, jak wszystko dzieje się naprawdę, a nie, jak to przedstawiają. „Gaylord” jest doskonały, sensowny i właśnie tego mi trzeba.

(...) to, czego dowiedział się, (...) umocniło w nim wiarę we wszystkie rzeczy, które uważał za prawdziwe”.

To właśnie w tym hotelu pozna kilka kluczowych osób odpowiedzialnych za prowadzenie działalności szpiegowskiej w Hiszpanii oraz niszczenie fizyczne trockistowskiej konkurencji politycznej. Jedną z nich był Jan Berzin, pseudonim Griszin, główny doradca wojskowy przy rządzie hiszpańskim.

W rzeczywistości był współtwórcą, wieloletnim pracownikiem i szefem GRU. Należał do elity sowieckich służb specjalnych.

Był człowiekiem-legendą, jednym z najzdolniejszych oficerów wywiadu. Pojawił się zaraz po wsparciu ZSRS dla Hiszpanii i przypłacił to zaangażowanie życiem. Nie jednak na froncie, ale w kazamaty Łubianki, jako ofiara wielkiej czystki stalinowskiej. Drugą kluczową osobą, z jaką Ernest miał do czynienia z kręgu sowieckich służb, był przedstawiciel INO NKWD Aleksander Orłow – wyjątkowo okrutny dla przeciwników systemu stalinowskiego, którzy znaleźli się po stronie republikańskiej. Osobiście był zaangażowany w tortury i morderstwa przeciwników politycznych, w tym szefa trockistowskiej Robotniczej Partii Marksistowskiej Unifikacji POUM Andreu Nina. Tworzył policję polityczną republikańską, zakładał kominternowskie bojówki, nadzorował Brygady Międzynarodowe. Był bardzo wszechstronny, bardzo oddany i równie bezwzględny. Nie uchroniło go to przed podejrzeniami.

Wezwany do Moskwy, postanowił, w odróżnieniu od Berzina, uciec i poprosić o azyl w Ameryce. Był jednym z pierwszych tak wysoko postawionych oficerów wywiadu sowieckiego, którzy zbiegli na Zachód.

Trzecią osobą z tego kręgu, z którą Hemingway zaprzyjaźnił się na serio, był gen. Hadzi Mamsurow, obywatel sowiecki działający pod pseudonimem „Macedończyk”. Odpowiadał on za tajne operacje prowadzone przez jednostki specjalne GRU. Bardzo imponowało Ernestowi to towarzystwo. Lubił słuchać o nocnym przekraczaniu linii wroga, atakach na składy broni i pociągi, życiu pełnym brawury, takim, jakie on chciał prowadzić.

Ostatnią osobą, która wpływała już bardziej ideologicznie niż praktycznie na autora, był Michaił Kolcow, korespondent moskiewskiej „Prawdy” i doradca polityczny rządu republikańskiego. Hemingway uznał go za „najinteligentniejszego człowieka, jakiego spotkał w życiu”. Sportretował go w *Komu bije dzwon* jako Karkowa: „Nosił czarne buty z cholewami, szare bryczesy i szarą kurtkę, miał drobne ręce i stopy, delikatną, pulchną twarz i ciało, ślinił się lekko, mówiąc przez zepsute zęby (...)”. Cóż tu dodawać, prawdziwy zdrowy okaz rewolucjonisty.

Trzeba przyznać, że Martha towarzyszyła Hemingwayowi nie tylko podczas rautów z sowiecką śmietanką, ale także, kiedy tylko mogła, sama udawała się na front. Była dzielną kobietą, chcącą udowodnić, że nie jest gorsza od mężczyzn.

Tym właśnie różniła się od Pauline Marie Pfeiffer, typowej salonowej dziennikarki, zajętej dodatkowo wychowaniem dwóch synów, i tak zdobywała przewagę nad swoją konkurentką. Poza tym stawała zawsze po stronie Hemingwaya. Tak było podczas jego sławnego „rozejścia” się z Dos Passosem, który miało podłoże w intrygach sowieckich służb specjalnych.

Dos Passos także przybył do Hiszpanii. Nigdy nie był specjalnie odważny, więc zadowalała go głównie rozmowa z różnymi przedstawicielami rządu republikańskiego i sowieckiego. Był zwolennikiem komunizmu, ale ciężko jest naprawdę stwierdzić, czy rozumiał cokolwiek z marksizmu lub brał go na poważnie. Dał się, podobnie jak jego serdeczny druh Hemingway, ponieść fali entuzjazmu dla rewolucji i walki z faszyzmem. Nie wiedział, jak naprawdę wyglądał komunizm, ale kochał swoje wyobrażenia o nim. A te mu się w Hiszpanii zdecydowanie „rozjechały”.

Jego tłumaczem podczas wojny był Jose Robles, wykładowca kilku amerykańskich szkół i przyjaciel Andresa Nina. Najprawdopodobniej był on także agentem GRU, gdyż pełnił funkcję tłumacza również dla Jana Berzina. Gdy szefa GRU zabito, a Stalin wydał wyrok na przywódców POUM, aresztowano i zamęczono tysiące działaczy tej organizacji. Represje nie ominęły również Roblesa, który został skrycie uprowadzony z własnej kwatery i zabity.

Dos Passos bardzo martwił się losem przyjaciela i poprosił Hemingwaya, aby ten dowiedział się cokolwiek. Ernest umówił się na spotkanie ze swoim kolegą, hiszpańskim komunistą Pepe Quintanillą, wyjątkowo odrażającym typem odpowiedzialnym w dużej mierze za represje. Przekonał on Hemingwaya, że co prawda Robles został aresztowany, ale będzie miał uczciwy proces i jeżeli zarzuty się nie potwierdzą, wyjdzie on na wolność. Robles podczas tej rozmowy już nie żył.

Ernest przekazał, jak mu się wydawało, dobre wieści Dos Passosowi, który był jednak sceptyczny. Na własne oczy widział, co się wokół działo. Zaczął wypytywać i uzyskał informacje o faktycznym statusie Josepha. To był pierwszy powód do sprzeczki, po której przyszło ostateczne zerwanie. Dos Passos zaczął w sposób oficjalny krytykować komunistów i opowiadać prawdę o ich rządach.

Przeszedł na pozycje trockistowskie. To rozwścieczyło Hemingwaya. Krzyczał na swojego niedawnego przyjaciela: „W Hiszpanii toczy się wojna między ludźmi, którym zwykle sprzyjałeś, a faszystami. Jeśli nienawidząc

komunistów uważasz, że masz prawo atakować za pieniądze ludzi, którzy wciąż walczą w tej wojnie, sądzę, że powinieneś ustalić fakty”. Ernest uważał, że to, co spotkało Roblesa i wielu innych, to zasłużona kara za zdradę ideałów. „Tylko głupiec może myśleć, że było inaczej” – dodał.

W prywatnej korespondencji z innymi znajomymi zachowywał się wręcz nieuczciwie, opisując powody kłótni. Pisał: *Dos Passos, dawniej taki dobry chłopak, a tu u nas* (w Madrycie – przyp. aut.) *zachowywał się bardzo kiepsko.*

W innym liście pisał: *Mocno sobie postanowił, że nie może się mu nic przydarzyć.*

(..) Rozumiecie – on jest wspaniałą archaiczną koncepcją Siebie Jedynego.

Musi zastanawiać po latach, czy Hemingway był faktycznym komunistą niedostrzegającym zła, jakie wyrządzała republice partia komunistyczna, czy też cynikiem współpracującym z NKWD i GRU, by uzyskiwać ekskluzywne informacje, za które płaci się o wiele więcej?

W latach 1937–1938 przebywał w Hiszpanii cztery razy. Na własne oczy widział, jak komunistyczny totalitaryzm upada pod naciskiem autorytarnego rządu generała Franco. Już w 1938 roku na serio przestał się interesować wydarzeniami.

Hiszpańska republika runęła, a on nie miał tam nic do roboty. „Roześmiane tłumy”

zastąpione zostały przez rzesze komunistycznych uciekinierów, którzy kradli i niszczyli wszystko, co jeszcze można było ukraść i zniszczyć. Cały postępowy świat płakał nad tragicznym losem Hiszpanii. Cały, ale nie wszyscy. Hemingway nie miał na to czasu. Był zakochany, w trakcie rozwodu i planowania nowego związku. Wybrał się ze swoją nową żoną w podróż po Azji i wydaje się, że Martha bardziej skorzystała z tej okazji, aby się wybić. Powoli wychodziła z cienia wielkiego pisarza, a jemu przestało się to podobać.

Zabawy w szpiega

Gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, Hemingway poczuł w sobie patriotycznego ducha. Powrócił czym prędzej z Azji, gdzie przebywał. Stało się to w dobrym czasie. Martha zaczęła dużo publikować i było o niej

całkiem głośno.

W 1940 roku ukazała się co prawda książka *Komu bije dzwon*, ale wydarzenia światowe „przykrywały” te literackie. Potrzebne były świeże korespondencje i wywiady z ciekawymi ludźmi. Gellhorn w to celowała, a Ernest najchętniej robiłby wywiady z samym sobą. Wojna obudziła w Hemingwayu nowego ducha, więc co rychlej powrócił do Stanów Zjednoczonych, by bronić ich z... Kuby.

To wręcz nieprawdopodobne, ale udało mu się namówić rząd, aby sfinansował jego działania kontrwywiadowcze. Miały one występować w dwóch formach. On sam wraz z grupą podobnych mu pijaczyn wałęsał się po barach Hawany i podsłuchiwał rozmowy podejrzanych typów. Tę część operacji nazwał „fabryką kanciarzy”. Druga forma była już bardziej skomplikowana. Pisarz uzbroił swój jacht dalekomorski w działko małego kalibru i regularnie wyruszał na tropienie niemieckich U-Bootów. Po każdej takiej eskapadzie ofiarami padały tuńczyki. Martha była nadal mu wierna i twierdziła, że pływając w przybrzeżnych akwenach, niejednokrotnie widziała pod wodą niemieckie okręty podwodne. Jak można mniemać, niemiecka Kriegsmarine wysyłała swoje U-Booty tylko po to, by przyglądać się Marcie pływającej w skąpym kostiumie.

Te wygłupy szybko dostrzegła FBI, odpowiedzialna za ten obszar geograficzny, informując, że Hemingway wprowadza tylko niepotrzebny chaos, łamie zasady pracy szpiegowskiej oraz kilkakrotnie zdarzyło mu się prawie zaprzepaścić i zdekonspirować operacje agentów Biura. Ernest odgryzał się, że FBI to banda Irlandczyków, katolików, a tym samym faszystów, którzy zazdroszczą mu dobrego życia.

A życie faktycznie miał wspaniałe. Piękny duży dom, eskapady opłacane z pieniędzy podatnika, i darmową ropę dla swojego jachtu, aby móc upolować jakąś łódź podwodną. Nie interesował się już za bardzo komunizmem, chociaż nadal pozostał antyfaszystą, tropiącym hiszpańskich falangistów na tej uroczej karaibskiej wyspie.

Odwrotnie Martha. Nudziła się jak mops. Mieszkali na wyspie całe trzy lata i w ich małżeństwie nie najlepiej się działo. Kobieta była żądna nowych przygód i wyzwania. Po tym, jak przestała podróżować, spadła liczba zamawianych tekstów.

Czytelnicy zaczęli o niej zapominać. Bolało ją to, a jeszcze bardziej fakt, który do niej dotarł. Ernest lubił takie życie, słodkiego, zapijaczego

nieroba, wygrzewającego się pod palmą, pływającego swoim jachtem czy też przesiadującego w barach, gdzie wszyscy słuchali go z rozdziawionymi ustami. To było życie Hemingwaya, ale nie życie Marthy. Zaczęło rosnać jej też kobiece libido, gdyż mąż wiecznie napity przestał się sprawdzać w roli kochanka.

Rozwiązaniem tej sytuacji mógł być tylko rozwód. Rozstali się w 1945 roku.

Hemingwaya bardzo zabolęła ta sytuacja. Jednak nie o miłość tu chodziło, lecz o dumę. Czuł się oszukany, że ta kobieta wycisnęła z niego wszystko i porzuciła. Nie chciała pełnić roli jego żony, otoczona przez bliższych i dalszych kumpli męża. Nienawidziła jego na wpół dzikich kotów, ogólnego niechlujstwa, brudu i alkoholizmu. Nigdy nie była potulną kobietą. Należała do tych, które bez wahania oddałyby cios, gdyby mężczyzna je uderzył. Powinni pozostać kochankami, ich małżeństwo nie miało żadnych szans. Z czasem jego miłość przerodziła się w nienawiść. Napisał i często w gronie znajomych cytował wiersz pod tytułem „Do kuciapki Marthy Gellhorn”, którą porównywał do zużytego termoforu.

Z czasem coraz mniej rozumiał z otaczającego go świata. Do samobójczej śmierci w 1961 roku pozostał starym, zapijaczonym dziadkiem, który nie mógł przyznać się do popełnionych błędów i faktu, że przez część życia był tylko zmanipulowanym komunistycznym narzędziem.

ROZDZIAŁ V

Taka zwykła sekretarka

Ten rozdział jest najkrótszy ze wszystkich zawartych w tomie. Bynajmniej nie dlatego, że opisuje „tylko” pewną sekretarkę z Departamentu Sprawiedliwości i jej romans z oficerami NKWD. Autor nie ma nic przeciwko sekretarkom, zwłaszcza tym, które dla niego pracują. Jego skromniejsza forma wynika z małej ilości dostępnych źródeł na ten temat. Większość zniszczyła FBI, przekreślając szansę skazania szpiega. Jednakże, pomyśli Czytelnik: wszak można byłoby skupić się na podobnych historiach, tyle że lepiej opisanych. Z całą pewnością, ale ta akurat należy do pierwszych tego typu operacji sowieckiego wywiadu zakończonych pełnym sukcesem.

Sekretarka w każdej firmie lub instytucji mającej dostęp do tajemnic to jedna z najważniejszych osób w tym miejscu. Sprowadzenie jej roli do odbierania telefonów, przepisywania na komputerze czy podawania kawy to duże uproszczenie. Sekretarka zna najlepiej swojego szefa, jego codzienne nawyki, sytuacje, w których się stresuje, a także te, które dają mu oddech. Wie, z kim się spotyka w pracy, po pracy najczęściej też. Jacy ludzie go odwiedzają, kiedy i jak często. Zdarza się, że przez niedbałość swojego szefa ma dostęp do informacji tajnych, a na pewno już wie, kiedy dzieje się coś ważnego.

Sekretarka staje się tym samym jednym z głównych celów dla służb specjalnych. Można próbować ją werbować – KGB i STASI odnosiły na tym polu sukcesy – lub tak pokierować karierą własnej agentki, aby dotarła w miejsce, które jest dla wywiadu szczególnie interesujące.

Sima z Venony

Projekt programu kontrwywiadowczego o nazwie Venona został zainicjowany przez United States Army Signal Intelligence Service (Służbę Wywiadu Sygnałowego Armii USA) już w 1943 roku, a cała operacja trwała

aż do początku lat 80. XX wieku. Venona była tym dla zimnej wojny, czym Enigma dla II wojny światowej. Dzięki informacjom uzyskanym z dekryptażu kontrwywiad uzyskał wiadomości na temat zakresu sowieckiego szpiegostwa oraz poszczególnych szpiegów, a przynajmniej ich kryptonimów, działań, ruchów itp.

Na tej podstawie można było nałożyć dotychczasowe dane na te ujawnione i pokusić się o wskazanie konkretnego szpiega kryjącego się pod danym pseudonimem.

Program próbował rozszyfrować wiadomości przesyłane z i do ZSRS przez rezydentury wywiadu cywilnego i wojskowego. W ciągu czterech lat udało się w całości lub częściowo rozszyfrować ponad trzy tysiące depeš. Program był tak tajny, że jego istnienie potwierdzono oficjalnie dopiero w 1995 roku. Tajny – tylko dla społeczeństw zachodnich – bo nie stanowił tajemnicy dla KGB – fakt jego istnienia zdradził Sowietom Kim Philby i, niezależnie, analityk i kryptolog Bill Weisband, który przeszedł na stronę wroga. Według różnych źródeł o Venonie nie byli poinformowani nawet prezydenci USA F.D. Roosevelt i Harry Truman.

Projekt został zainicjowany w 1943 roku na rozkaz zastępcy Szefa Wywiadu Wojskowego (G-2), Cartera W. Clarke'a, który nie ufał Józefowi Stalinowi i na poważnie obawiał się, że ZSRS może podpisać odrębny układ pokojowy z III Rzeszą. Znaczyłoby to, że cały wysiłek niemieckiej maszyny wojennej zostanie skierowany przeciwko Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym, już i tak mocno zaangażowanym w wojnę w Azji. Nasłuch sowieckich ambasad i konsulatów był prowadzony przez całą wojnę i Amerykanie mieli dużą liczbę depeš. W ich początkowym rozszyfrowaniu pomogło jak zwykle szczęście. Finowie podczas wojny z Sowietami w 1940 roku uzyskali nadpaloną książkę kodową. Była bardzo zniszczona, ale poszczególne grupy cyfr udało się odszyfrować. Ponadto podczas wojny słabo działała poczta kurierska. Szyfranci z ambasady sowieckiej w Waszyngtonie nie mieli pod dostatkiem pojedynczych kart z ciągiem kodowym i zdarzało się, że wykorzystywali ten sam bloczek kilka razy. To pozwoliło najzdolniejszym matematykom na porównanie zaszyfrowanych informacji i odczytanie pierwszych słów. Tak ruszyła maszyna, która m.in. zdekonspirowała takich ludzi jak małżeństwo Rosenbergów, Klausa Fuchsa, brytyjskiego fizyka jądrowego, Donalda Macleana z brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych i wielu innych.

Do masowego uderzenia sił kontrwywiadowczych doszło na przełomie lat 40. i 50. XX wieku. Zaczęły się aresztowania i procesy. Lewica nazwała ten okres „antykomunistyczną histerią”, „polowaniem na czarownice”, a obiektem szczególnej nienawiści stał się senator Joseph Raymond McCarthy, który przewodniczył kongresowej komisji do spraw działalności antyamerykańskiej.

Jeszcze dziś w tak popularnej internetowej Wikipedii możemy przeczytać, że:

Makkartyzm – ogólna nazwa działań politycznych, pozbawionych skrupułów metod śledczych oraz tworzenia atmosfery strachu i podejrzeń, w walce z „wewnętrznym zagrożeniem komunistycznym” w latach 1950–1954 w Stanach Zjednoczonych.

Pojęcie maccartyzmu jest rozumiane także jako odłam skrajnego konserwatyizmu amerykańskiego, stanowiącego podstawę polityki realizowanej przez senatora Josepha Raymonda McCarthy’ego (1908–1957). Od 1950 stał on na czele specjalnej podkomisji śledczej w Senacie, a następnie Komisji do Badania Działalności Rządu. Zainicjował on kampanię na rzecz badania lojalności pracowników administracji rządowej, szkół wyższych, wojska i innych instytucji życia publicznego oraz przeciwdziałania „infiltracji komunistycznej” wśród tych grup społecznych.

Nienawiść lewicy do senatora oraz innych ludzi zaangażowanych w zwalczanie komunistycznej infiltracji ma podłoże w fakcie, że wielu ludzi lewicy podjęło agenturalną współpracę z obcym państwem w celu zdradzenia własnego narodu. Sytuacja na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego stulecia była naprawdę poważna. Dzięki Venonie i takim osobom jak Whittaker Chambers czy Elizabeth Bentley stało się jasne, że wywiad sowiecki spenetrował najważniejsze instytucje w USA, w tym „Manhattan” - supertajny program budowy bomby atomowej, Departament Stanu i Departament Sprawiedliwości, OSS, Biały Dom i kilka innych instytucji.

Tajni współpracownicy partii komunistycznej znajdowali się w wielu intelektualnych kręgach w tym pośród dziennikarzy, pisarzy, poetów i pracowników branży filmowej. Wiele z pozyskanych informacji wskazywało na bardzo głęboką infiltrację wielu obszarów życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Pośród depech sowieckiego wywiadu cywilnego przewijał się pseudonim „Sima”. Wynikało z nich, że jest to sprawny i niebezpieczny agent,

dostarczający wielu cennych informacji. Pracował w Departamencie Sprawiedliwości, na dość niskim stanowisku, ale na tyle ważnym, że miał dostęp do bardzo wrażliwych informacji. Po wielu godzinach analiz pracownicy FBI pod ten pseudonim przypisali nazwisko Judith Coplon. Miała dwadzieścia osiem lat, gdy 4 marca 1949 r. została aresztowana.

Mój kochanek zabójca

Judith Coplon była niewysoką brunetką, o czerwonych jak krew ustach i końskim uśmiechu.

Urodziła się 17
maja 1921 r.

na Brooklynie w średniozamożnej rodzinie liberalnych działaczy politycznych, z którymi kryzys obszedł się w miarę spokojnie. Pod koniec lat 30. ubiegłego stulecia rozpoczęła studia z zakresu rusycystyki w Barnard College, które zakończyła z wyróżnieniem w 1943 roku. Podczas nauki poznała Florę Wovschin, zakonspirowaną agentkę Komunistycznej Partii USA. To dzięki niej powoli, acz systematycznie wchodziła w krąg działaczy komunistycznych. Unikała jednak oficjalnych spotkań, mitingów, podpisywania manifestów czy też udziału w prosowieckiej agitacji. Jej przyjaciółka Flora, zapoznana z ludźmi z Kominternu i NKWD, planowała dla niej inną karierę.

Na razie miała się nie wychylać, w zaciszu domowym chłonąć sowiecką literaturę i przygotowywać się do roli swojego życia.

Ta oczekiwana chwila nadeszła w 1943 roku. Dzięki kontaktom partii na wyższych szczeblach władzy została zatrudniona w nowojorskiej filii Departamentu Sprawiedliwości. Jej dostęp do ważnych materiałów był bardzo ograniczony, ale miała szanse na szybką karierę. Rząd USA stał się bardzo sfeminizowany. Wielu mężczyzn trafiło do armii, część skierowano na front.

Podobnie jak w fabrykach zbrojeniowych, tak i w urzędach centralnych brakowało rąk do pracy. Wolne miejsca zajmowały kobiety. Był to czas największej prosowieckiej euforii. Stalin i jego Armia Czerwona zwyciężyły w bitwie stalingradzkiej, a następnie na Łuku Kurskim. Bardzo wielu dotychczasowych sympatyków Sowietów przestało ukrywać się ze swoimi poglądami. Ale nie Judith.

Była ona cały czas wycofana politycznie, koncentrując się tylko na pracy.

Dokumenty, które zdobyła, przesyłała przez Floreę, nadal sądząc, że dotrą one tylko do odpowiednich czynników w partii komunistycznej.

Zwrot w jej karierze nastąpił niespełna po roku. Została przeniesiona do Waszyngtonu do sekcji Departamentu Sprawiedliwości zajmującej się rejestracją obcych agentów. Na mocy ustawy o działalności obcych wywiadów w USA wszyscy agenci, wrodzy i sojusznicy podlegali rejestracji. Oczywiście ci wrodzy robili to mniej chętnie, więc do jej sekcji trafiały raporty FBI, OSS i innych służb, w tym i brytyjskich, na temat rozpoznanej agentury z takich państw jak Niemcy czy Japonia, ale również ZSRS. Było to znakomite źródło pozyskiwania wiedzy, jakim jest kontrwywiadowcze rozpoznanie przeciwnika na terenie Stanów Zjednoczonych. Dla każdego obcego wywiadu jest to łakomy kąsek. Teraz dla Sowietów nie było już tajemnicą, jaką wiedzę ma FBI.

Rosjanie postanowili zmienić taktykę. Nie chcieli już korzystać z pośredników z partii komunistycznej, tylko przejąć Coplon na kontakt bezpośredni. Do spotkania doszło w jednym z waszyngtońskich parków.

Animatorką była Flora, która bezpośrednio po przedstawieniu Judith jej nowego kontaktu, szybko się oddaliła. Wcześniej w rozmowach z NKWD podkreślała, że jej przyjaciółka gotowa jest już na to, by podjąć współpracę z sowieckim wywiadem.

Dobiegał końca rok 1944.

Na spotkanie z Coplon przybył trzydziestodwuletni mężczyzna, przystojny, w okrągłych okularach z zaczesanymi do tyłu, zbyt wcześnie posiwiiałymi włosami. Zrobił na naszej bohaterce piorunujące wrażenie. Nigdy wcześniej nie widziała prawdziwego sowieckiego szpiega, który był dodatkowo wyjątkowo miły, szarmancki i bardzo inteligentny. Pod pseudonimem „Pilot” ukrywał się Władimir Prawdin, znany też jako Roland Ludwikowicz Abbiate.

Prawdin był też pod wrażeniem swojej nowej agentki. W pismach do centrali charakteryzował ją w następujący sposób:

(...) bardzo poważna, nieśmiała dziewczyna, o głębokich zainteresowaniach intelektualnych, ideologicznie bliska nam (...). Nie mamy żadnych wątpliwości co do szczerości jej chęć do pracy z nami. Podczas rozmowy podkreśliła, jak bardzo cenne jest dla niej, że daliśmy jej szansę pracy i kredyt zaufania, i teraz, wiedząc dla kogo naprawdę pracuje, podwoi

swoje wysiłki. Z początku myślała, że wykonuje zadania dla partii lub Kominternu, teraz jest zaszczyczona swoją nową rolą.

Do następnego spotkania doszło w styczniu 1945 roku w Nowym Jorku.

Coplon otrzymała swój pseudonim operacyjny „Sima”, przeszła podstawowe szkolenie wywiadowcze, zapoznała się z obsługą prostych urządzeń fotograficznych i została kochanką Prawdina. Ten uroczy mężczyzna w średnim wieku skrywał jednak tajemnice, o których ona nie wiedziała, a mogły ją na serio wystraszyć.

Prawdin urodził się w Londynie w 1905 roku jako syn rosyjskich emigrantów. W latach 20. XX wieku zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, by po kilku latach ponownie wrócić na Stary Kontynent. Od wczesnej młodości interesował się marksizmem i wspierał rosyjską partię bolszewików. Był fanatykiem i dlatego przykuł uwagę twórców sowieckich służb specjalnych. Dzięki ogromnej lojalności i oddaniu otrzymał zadanie uczestnictwa w sowieckiej komórce likwidacyjnej. W latach 30. ubiegłego stulecia był zaangażowany w kilka porwań i wyroków śmierci, które wykonano na faktycznych i domniemanych wrogach politycznych państwa sowieckiego. Do najbardziej znanych należało porwanie i zamordowanie w Szwajcarii Ignacego Reissa, nielegala z GRU, który w 1937 roku postanowił uciec na Zachód.

Po tym wydarzeniu Prawdin wraz ze swoją żoną Olgą, też oficerem wywiadu, zniknęli, by pojawić się jako dyplomaci w Stanach Zjednoczonych. Od 1944 roku pełnił już rolę korespondenta Agencji Telegraficznej TASS News. Krąg jego potencjalnych ofiar się poszerzał. Do jego bliskich znajomych i informatorów należały takie sławy amerykańskiego dziennikarstwa jak Walter Lippmann i I. F. Stone, któremu nadano pseudonim „Blin”.

W 1945 roku Prawdin odniósł jeden ze swoich największych sukcesów szpiegowskich. Podczas konferencji założycielskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych spotkał się z zastępcą sekretarza skarbu USA Harrym Dexterem Whitem, również agentem sowieckim, od którego dowiedział się szczegółów amerykańskiej polityki wobec nowo tworzącej się organizacji oraz samej Moskwy.

W tym samym czasie Judith należała do jego najcenniejszych źródeł.

Romans z nią miał jednak tylko podłoże zawodowe. Widział, że niebawem musi opuścić Stany Zjednoczone. FBI było na jego tropie i groziło mu

aresztowanie. Nie miał ochrony dyplomatycznej i w marcu 1946 roku opuścił USA na zawsze. Nim jednak to nastąpiło, przekazał kontakt z „Simą” swojemu koledze, pracownikowi ONZ i sowieckiemu oficerowi wywiadu Walentinowi Gubiczewowi.

Gubiczew, podobnie jak Prawdin, był żonaty, tylko młodszy i bardziej przystojny. Nic więc dziwnego, że i on znalazł się na liście kochanków Coplona. Ich romans i praca zawodowa rozwijały się i niezagrożeni nadal kradli sekrety. Jednak w 1948 roku uwagę FBI zwróciła, często pojawiająca się informacja w depe szach Venony o agentce „Simie”. Bardzo szybko przypisano pseudonim do nazwiska i rozpoczęto inwigilację. Problem w tym, że nie uzyskano prawomocnego nakazu.

Ludzie wtajemniczeni w operację Venona nie mogli nikomu zdradzić jej istnienia.

Powołanie się na świadka, bez udostępnienia jego danych, byłoby niepoważne.

Żaden prokurator ani sąd na takiej podstawie nie wydałby zgody na podsłuch i kontrole korespondencji.

FBI wcześniej bardzo często posuwała się do pozaprawnych środków inwigilacji. Dotyczyło to szpiegów niemieckich i japońskich. Ale było to podczas wojny, w sytuacji wyjątkowej i ekstremalnej. Teraz czasy były inne. Ameryka potrzebowała normalności, a wszelkie próby ograniczania praw obywatelskich natrafiały na gwałtowne sprzeciwy społeczne. FBI zdecydowała się jednak na totalną inwigilację, licząc, że dzięki niej uda się ustalić, kiedy następuje przekazanie tajnych dokumentów, i będą mogli zatrzymać ją i jej oficera prowadzącego na gorącym uczynku. Założono podsłuch Coplona w domu, biurze i mieszkaniu rodziców. Podobnie postąpiono z Gubiczewem. Para jednak kryła się na tyle skutecznie, że inwigilacja nie przynosiła jak na razie widocznych postępów.

FBI do tej operacji skierowało ponad pięćdziesięciu agentów, jednak wyniki ich pracy były mizerne. Hoover naciskał coraz bardziej, zaniepokojony brakiem postępów. Był zdecydowany aresztować Coplona natychmiast, nawet bez dostatecznych dowodów. Rozwiązanie znalazł legendarny dzisiaj pracownik sekcji kontrwywiadu FBI Robert Lamphere. Stworzył fałszywy, tajny dokument, podpisany przez samego szefa Biura, że jeden z dyplomatów sowieckich przy ONZ jest informatorem FBI. Następnie niepostrzeżenie włożył kartkę pomiędzy stos dokumentów na biurku Judith.

Przynęta chwyciła. Coplon wiedziała, że taka informacja jest bardzo ważna.

Jeżeli faktycznie istniał szpieg w strukturach dyplomacji sowieckiej, mógł w krótkim czasie zdradzić ważne sekrety. Być może nawet ją samą. Nie zachowując należytej konspiracji, Judith zadzwoniła do Gubiczewa, umawiając się na wycieczkę do Nowego Jorku. Dokument miała już w swojej torebce.

O całej sytuacji poinformowane było FBI, przekonane, że szpiega ma już na widelcu. Jakim więc zdziwieniem dla nich było, gdy zastępca prokuratora generalnego Peyton Ford odmówił wydania nakazu aresztowania. Ten lewicowy polityk uznał, że dowody są niewystarczające, a Coplon można aresztować tylko na gorącym uczynku.

To wzmogło presję na FBI, która zaczęła popełniać błędy. Mieli sporo informacji o „Simie”, których nie mogli ujawnić. Jedną z nich było potwierdzenie spotkania z agentem sowieckim, którego nie można byłoby zatrzymać, no chyba że udałoby się przyłapać ich na wręczaniu sobie dokumentu z ręki do ręki. To wyjątkowo trudna i mało prawdopodobna sytuacja.

3 marca 1949 r. Judith pojechała do Nowego Jorku, by spotkać się ze swoim kontaktem z NKWD. Za nią ruszyło całe stado agentów FBI. Para, spacerując po ulicach Manhattanu, bardzo szybko zorientowała się, że jest obserwowana.

Śledczym tak zależało, aby nakryć ich na gorącym uczynku, że złamali wszelkie zasady śledzenia podejrzanych. Nic więc dziwnego, że Judith, mając przy sobie dokument, nie przekazała go Gubiczowi. Mimo to oboje, bez formalnego nakazu, zostali aresztowani.

Niewinna?

To, co miało miejsce w następnych miesiącach, bardziej przypominało cyrk niż prawdziwą aferę szpiegowską. Ze względów finansowych Coplon zatrudniała prawnika *pro bono* Archie Palmera, który nawet przez osoby mu przychylne określany był jako kłown. Był mało doświadczonym prawnikiem-ekscentrykiem, a jego błazeńskie zachowanie na sali sądowej było tolerowane przez, jak to określiła prasa, przyciężkiego umysłowo sędziego. Z czasem, gdy jej sprawa zyskała popularność, znaleźli się profesjonalni obrońcy, gotowi pogrzać się w świetle jupiterów. Jeden z takich prawników, przekonany, a jakże, o niewinności kobiety, został jej mężem.

Po drugie, już na samym początku rozprawy wyszło na jaw, że jeden z prokuratorów będących w składzie zespołu Departamentu Stanu, zajmujący się aferą, był w przeszłości jej kochankiem. Nie ujawnił tego faktu, więc doszło do istotnego naruszenia prawa i konfliktu interesów. To mogło zakończyć się oddaleniem zarzutów jeszcze przed rozprawą sądową. Szczęśliwie jednak do procesu doszło, a właściwie do dwóch i oba były totalną klęską FBI i resortu sprawiedliwości.

Pierwszy odbył się już w kwietniu w Waszyngtonie i Coplton postawiono zarzut wykradania dokumentów państwowych. Do drugiego procesu doszło w listopadzie w Nowym Jorku, gdzie Judith została oskarżona o szpiegostwo i skazana na dwadzieścia pięć lat więzienia. Wydawało się, że odniesiono duży sukces, pierwszy przy wykorzystaniu dokumentów z Venony. Do czasu.

W 1950 roku obie sprawy trafiły do apelacji i poprzednie wyroki upadły.

Wyszło na jaw, że podsłuchy były prowadzone nielegalnie, podobnie jak obserwacja. Agent składający wyjaśnienia w pierwszych procesach kłamał na ten temat, dodatkowo ujawniono, że stenogramy i inne informacje zostały zniszczone.

Tak więc od tej strony nie istniały żadne twarde dowody. Nie było też świadków szpiegowskiej działalności. Coplton cały czas twierdziła, że jest niewinna, a spotkała się z Gubiczewem, gdyż zbierała materiały do swojej książki.

Dokumenty z pracy miała przy sobie przypadkowo, gdyż włożyła je do torby przez nieuwagę.

FBI było w kropce. Oczywiście Judith pograżyłyby rozszyfrowane depesze Venony, ale ich nie można było ujawnić. W tej sytuacji oba oskarżenia musiały upaść. Dokumenty na temat Coplton zostały ujawnione dopiero w 1995 roku, czyli czterdzieści pięć lat od sprawy.

Choć Judith Coplton była bezsprzecznie szpiegiem, to nielegalne działania FBI doprowadziły do sytuacji, w której wybroniła się przed sądem. Jedyne materiały, jaki wskazuje na jej zdradę, znajduje się w depeszach Venony. Jednak jej sprawa miała dodatkowo poboczne, ale bardzo poważne konsekwencje. Otóż dała miecz do walki lewicy z amerykańskim, antykomunistycznym wymiarem sprawiedliwości. Od tej pory nie zniknęły z lewackich ust hasła o naginaniu czy nawet łamaniu prawa i wrabianiu nieprzychylnych rządowi ludzi w dwuznaczne sytuacje. Rząd – twierdziła lewica – jest gotowy posunąć się do każdego oszczerstwa, każdej zbrodni,

aby tylko zatrzymać swoich przeciwników. Taka argumentacja była zdecydowanie na rękę komunistom i ich sowieckim przyjaciołom. Sprawa Coplon uczy, że nic na siłę.

A co się stało z naszymi bohaterami? Judith urodziła swojemu mężowi i byłemu prawnikowi czwórkę dzieci. Uczyła w jednej ze szkół średnich w Nowym Jorku i zmarła w 2011 roku. Walentin Gubiczew został deportowany z USA. Swój ostatni rejs z Nowego Jorku odbył na pokładzie polskiego liniowca „Stefan Batory”.

ROZDZIAŁ VI

Kochanka nielegalów

Opuszczona, samotna i zdesperowana kobieta może stać się groźną bronią.

Dotyczy to tak samo jej wrogów, jak i sojuszników.

Po II wojnie światowej bardzo szybko stało się jasne, że pokojowa współpraca z tak do niedawna ubóstwianym wujkiem Joe, jak pieszczotliwie nazywano Stalina, jest mało możliwa. Komuniści przejęli władzę we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej, okupowali Polskę, okupowali znaczną część Niemiec i Austrii, a komunistyczne partie Grecji, Francji i Włoch miały realną szansę na przejęcie władzy. O takich sukcesach politycznych Lenin mógł tylko marzyć. Jego następca i kontynuator posiadał największą armię świata i już niedługo miał wejść w posiadanie broni atomowej.

Z drugiej strony świat, który zwykle się nazywało wolnym, był całkowicie nieprzygotowany do nowej konfrontacji. Demokratyczne społeczeństwa miały dość koszmaru ostatniej wojny, by dążyć do nowej. Europa leżała w gruzach.

W niemieckiej strefie Brytyjczyków i Amerykanów zniszczonych było 740 z 958

mostów. We Francji ocalało około 35% taboru kolejowego. Zablokowane były porty w Tulonie, Dunkierce, Bordeaux i Calais. W Belgii i Holandii całkowicie sparaliżowana została sieć dróg wodnych floty śródlądowej. Pojawiło się widmo głodu na skalę europejską. Zbiory zbóż w Europie Zachodniej spadły w porównaniu ze średnią przedwojenną o ponad 28 000 000 ton z 59 do 31. We Francji, kraju rolniczym, produkcja spadła prawie o połowę. W wielu miejscach racje żywnościowe były mniejsze niż w trakcie wojny.

Żołnierze chcieli jak najszybciej wracać do domów. Szerzyła się, podobnie jak po I wojnie światowej, propaganda pacyfistyczna wspierana przez komunistów.

Dopiero w 1944 roku Brytyjczycy zaczęli odbudowywać swoje służby specjalne na kierunku wschodnim. W USA właśnie rozwiązano OSS, a CIA miała powstać dopiero w 1947 roku. Niemcy, Francja, Włochy właściwie nie posiadały ochrony kontrwywiadowczej i wszystko trzeba było budować od nowa – i to szybko.

5 marca 1946 r. Churchill wygłasza swoje sławne przemówienie w Fulton w stanie Missouri, o „żelaznej kurtynie”, która podzieliła świat. Zachód i Ameryka zaczynają dostrzegać zagrożenie. Niecały rok wcześniej, 5 września, Igor Guzenko – szyfrant GRU, opuszcza ambasadę ZSRS w Ottawie, by nigdy do niej nie powrócić. Najpierw Kanadyjczykom, a następnie Amerykanom i Brytyjczykom ujawnia skalę sowieckiego szpiegostwa, a wiedział o niej dużo. Podczas wojny przez Kanadę przechodzi znaczna część informacji wywiadowczych, w tym i te o infiltracji – oczywiście skutecznej – amerykańskiego programu atomowego.

Politycy i oficerowie służb specjalnych są w szoku. Penetracja wysokich szczebli politycznych i wojskowych trwa nieprzerwanie od lat 30. XX wieku.

Partie komunistyczne w pewnej swojej części zamieniły się *de facto* w organizacje szpiegowskie. Wielu naukowców współpracuje z obcym wywiadem, a wojna bynajmniej nie powstrzymała wrogich działań sowieckich. W rzeczywistości NKWD wraz z wywiadem wojskowym GRU prowadziło nadal swoją działalność wobec zachodnich aliantów.

Olbrzymia instytucja, jaką było Federalne Biuro Śledcze, przepała praktycznie cały ten czas. Skupiona na wyłapywaniu faktycznych czy domniemyanych szpiegów japońskich i niemieckich, nie zauważyła tuż pod swoim nosem, jak rozwinął skrzydła wywiad sowiecki.

Zagubiona

Do opisanego typu postawy idealnie pasuje słowo „przycupnąć”. Prawie czterdziestoletnia kobieta odwiedza już trzeci raz biuro FBI na Manhattanie. Za pierwszym razem w 1943 roku, ale nie chciano jej słuchać. Młody agent Biura określił ją wtedy jako „zwarioną, naprawdę stukniętą”. Poza tym Ameryka nie była gotowa na jej sensacje. Trwała wojna, Sowiety stały się jednym z dwóch najbliższych sojuszników, w establishmencie

Waszyngtonu roilo się od prokomunistycznych urzędników i polityków, a Józef Stalin zdobył okładkę tygodnika „Time” jako człowiek roku. To nie był dobry okres na jej wyznania.

Sama nie była do końca o tym przekonana. Kilka tygodni wcześniej zmarł jej najważniejszy i najbliższy sercu kochanek. Czuła się samotna i niepotrzebna. Całe swoje dotychczasowe życie nie chciała się taka czuć. Teraz była pustka. Liczyła na nowe wyzwania i nowe zadania. Nic z tego, trzeba było wrócić do małego mieszkanka na Bronksie.

Dwa lata później, gdy skończyła się wojna, spróbowała jeszcze raz z FBI. Poszło trochę lepiej, ale i tak nie idealnie. Miły człowiek przesłuchał ją, odniósł podobne wrażenie jak jego poprzednik, ale postanowił zaryzykować i zaprosił ją na kolejną rozmowę. Czekala teraz w holu na kolejne spotkanie.

Ubrana była w długi płaszcz, spódnice za kolana i niewielki czarny toczek na głowie. Cały czas, już dwa lata, chodziła w żałobie. Gdy siedziała, jej kolana się stykały. Na udach położyła małą czarną torebkę, a na niej skrzyżowała ręce.

Wyglądała jak mała uczennica czekająca na poważną rozmowę z dyrektorką szkoły.

Pod tym niewinnym wyglądem czaił się jednak wulkan politycznych i seksualnych namiętności. Po latach agent przeprowadzający z nią tę rozmowę napisał: „Miała szereg szalonych kochanków, faszystów we Włoszech, i komunistów w Stanach Zjednoczonych”. *Gdy się pojawiła, podrywała każdego agenta, z którym rozmawiała (...). Niepokoilo nas to. Jednak, no cóż, jak wiecie, nie znajdowaliśmy informatorów w zakonach.*

Na spotkanie wyszedł Jack Danahy, doświadczony agent nowojorskiego biura FBI. Przywitał się z nią uprzejmie. To była jednak pewna odmiana od dwóch poprzednich spotkań. Ten chyba weźmie mnie na serio. – Pomyślała. Agent wskazał jej drogę przez wielki korytarz biurowca. Po kilkunastu metrach dotarli do pokoju przesłuchań, dość przestronnego miejsca z oknami wychodzącymi na miasto. Jack wskazał jej krzesło, zaproponował coś do picia, ale odmówiła. Usiadł po przeciwnej stronie i zauważył, że oczy tej kobiety jakby rozbłysły. Poczul się dość nieswojo. Przeczytał, co prawda wszystko, co było dostępne na jej temat, ale nie było tego specjalnie dużo. W głowie cały czas kołatało mu się słowo „wariatka”. Nawet nie wiedział za bardzo, od czego ma zacząć. Krępowała go sytuacja, gdy kobieta, milcząc, uśmiechała się do niego przymilnie. Nie mógł wiedzieć, że ta niepozorna

„wariatka” zatrzęsie w najbliższych miesiącach sceną polityczną USA, a jednocześnie narazi Biuro na wiele nieprzyjemności i kłopotów.

Teraz jednak musi rozpocząć przesłuchanie. Wiedział, jak to się robi.

Należał do elity służb bezpieczeństwa swojego państwa. Bycie agentem FBI to był nie tylko honor, to był prestiż. O takich jak on kręcono filmy, nagrywano audycje radiowe i wydawano komiksy. Przynajmniej raz dziennie nazwa jego firmy pojawiała się w najważniejszych pismach, dziennikach. Na ogół w pozytywnym świetle.

To, że Biuro cieszyło się takim mirem, zawdzięczało jednemu człowiekowi – Johnowi Edgarowi Hooverowi. Ten urodzony w 1895 roku prawnik po prestiżowym George Washington University, w wieku 22 lat podjął pracę w Departamencie Sprawiedliwości i bardzo szybko stanął na czele Biura mającego zajmować się przestępczością zorganizowaną i walką ze skrajnymi ugrupowaniami, w tym i komunistami. Był człowiekiem legendą, innowatorem w wielu technikach dochodzeniowo-śledczych.

Stworzył pierwszą bazę odcisków palców i laboratorium kryminalistyczne. Jak każdy wielki człowiek, był jednak dziwakiem.

FBI bardziej przypominało zakon niż klasyczną jednostkę policyjną. Jej agenci musieli być obowiązkowo biali, wysocy, wysportowani, na ogół po prawie na stanowych uniwersytetach. Ich postawa moralna nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Nie mogli się upijać, zdradzać żon, a jeżeli byli kawalerami, spoczywał na nich obowiązek godnego prowadzenia się. Jeżeli ktokolwiek nie przestrzegał tych zasad, bardzo szybko tracił pracę. W latach 30. ubiegłego wieku FBI odniosło wiele sukcesów w walce z mafią i gangsterami. Poważnie też, jeszcze w latach 20., nadwerężyło możliwości działania komunistycznych wyrotowców.

FBI znane było ze swojej kartoteki, gromadzącej wszelkie dostępne informacje na temat osób, które kiedykolwiek znalazły się w zasięgu zainteresowania. Hoover miał własne archiwum ze zgromadzonymi informacjami na temat najważniejszych osób w państwie. Wielokrotnie ratowało go to przed zwolnieniem. O tym, jak był potężny, niech zaświadczy fakt, że kierował FBI przez czterdzieści osiem lat, to jest do dnia swojej śmierci 2 maja 1972 r.

Czerwona królowa

Jack Danahy był właśnie takim modelowym agentem Biura. Mógł się podobać kobietom, a na pewno tej, którą właśnie miał przesłuchiwać.

– Odwiedzała nas już tu pani? – zagaił rozmowę.

– Tak, już dwukrotnie. W 1943 roku i kilka tygodni temu – odpowiedziała kobieta delikatnym, wręcz melancholijnym głosem.

– I jakie tego były rezultaty?

– Właściwie żadne – powiedziała z wyraźnie odczuwalną nutą wyrzutu.

– Dlaczego, jak pani sądzi?

– To nie był jeszcze odpowiedni czas – odpowiedziała zdecydowanie.

– Na co nie był odpowiedni?

– Na walkę z komunistami – odparła bardzo zdecydowanie.

Jack poprawił się na krześle. Założył nogę na nogę, dając swojej rozmówczyni do zrozumienia, że ta rozmowa zmierza raczej donikąd. Nawet był zadowolony, że zrezygnowała z kawy. Rozmowa pójdzie szybciej.

– A ma pani jakieś w tym doświadczenie?

– Tak, mam i to spore.

– Mogę wiedzieć jakie?

– Przez ostatnie kilka lat ja i mój kochanek Jakub Gołos byliśmy sowieckimi szpiegami, kierującymi siatką innych szpiegów, w tym tych zajmujących się bronią atomową.

Jack Danahy wybałuszył oczy niczym nadepnięta żaba. Już nie lekceważył tej kobiety. Przysunął się do niej bardziej na krześle i pochylił. Ma do czynienia albo z prawdziwym skarbem, albo prawdziwą oszołomką.

– Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć.

Elizabeth Terrill Bentley, bo to ona była tajemniczą kobietą, urodziła się pierwszego dnia 1908 r. w New Milford w stanie Connecticut. Jej ojciec był drobnym przedsiębiorcą, a matka nauczycielką. Rodzina przenosiła się kilka razy, zamieszkując w Pensylwanii w Ithaca czy Rochester. Uczęszczała do Vassar College, który ukończyła w 1930 roku z wynikami dobrymi lub bardzo dobrymi.

Studiowała angielski, włoski i francuski. Była dobrą i przykładną uczennicą. Nie angażowała się politycznie i nawet trudno byłoby opisać jej poglądy. Można uznać, że początkowo były one prawicowe, w związku z zaangażowaniem kościelnym jej rodziców. W 1933 roku za dobre wyniki otrzymała stypendium na Uniwersytecie Florenckim. To był pierwszy moment, kiedy odmieniło się jej życie.

Na studiach związała się z faszystowską organizacją studencką. Nie było to nic nadzwyczajnego. W początkach lat 30. XX wieku Mussolini cieszył się sporą popularnością, w tym i w Stanach Zjednoczonych. Jego korporacjonizm miał być podobno lekarstwem na ogólnoświatowy kryzys gospodarczy. Czy względy ideowe i zapatrywanie ekonomiczne faszystów miały tutaj największe znaczenie dla Elizabeth? Raczej nie. Swój udział w organizacji wykorzystała do zawierania znajomości, głównie z młodymi, przystojnymi Włochami. Ją samą trudno byłoby nazwać piękną, ale w odróżnieniu od jedzenia i wina, w przypadku kobiet Włosi nie są wybredni.

Jej fascynacja faszyzmem, a zwłaszcza zaangażowanymi rówieśnikami, przeminęła dość szybko. Swoje serce i oczy skierowała na wykładowcę – Maria Casella, znanego antyfaszystowskiego bojownika, komunistę, który przy okazji został jej następnym kochankiem. Wspólne rozmowy o polityce i literaturze marksistowskiej – którą sama uznała za nudną – skłoniły ją do zmiany poglądów o sto osiemdziesiąt stopni. Po powrocie do Stanów, już na Uniwersytecie Columbia, zaangażowała się czynnie w działalność Ligi Przeciw Wojnie i Faszyzmowi, która była przybudówką Kominternu. Ponieważ większość Ligi stanowili amerykańscy komuniści, sama postanowiła wstąpić w szeregi partii, opanowanej głównie przez mężczyzn – co jak można się domyślać, nawet jej odpowiadało.

Był rok 1935, kiedy stała się pełnoprawną komunistką. Trzy lata później, znana ze związków z faszystami we Włoszech, biegle mówiąca ich językiem, młoda kobieta otrzymała propozycję pracy w Biurze Informacyjnym Włoch w Nowym Jorku. Była to typowa placówka propagandowa, mająca za zadanie w korzystnym świetle przedstawiać Duce i jego kraj. Bentley postanowiła skorzystać z tej okazji, a jednocześnie zaimponować kolegom z partii. Pracę podjęła, ale jednocześnie zaczęła szpiegować, jak się jej wydawało dla CPUSA, w rzeczywistości dla NKWD. Oficerem prowadzącym kobiety został Jakub Gołos, etatowy wywiadowca i jak sama twierdziła, miłość jej życia.

Gołos, właściwe nazwisko Jakow Naumovich Reizen, był od niej starszy o dziewiętnaście lat. Do USA przybył w 1909 roku i zaangażował się w ruch socjalistyczny i pomoc rosyjskim więźniom politycznym. Z partią komunistyczną USA związał się praktycznie od samego początku. Od 1921 roku sprawował ważne funkcje w Chicago i Detroit. Był zaufanym i wiernym

towarzyszem. Inspirował i koordynował prace Towarzystwa Pomocy Technicznej do Rosji Sowieckiej, instytucji, która pomagała obchodzić zakazy współpracy gospodarczej USA ze Związkiem Sowieckim. W 1926 roku Gołos powrócił do swojej pierwotnej ojczyzny, budować komunizm u jego korzeni. Jednak w 1929 roku ponownie znalazł się w Ameryce, już jako działacz gotowy zejść do szpiegowskiego podziemia. Zaczął specjalizować się w dostarczaniu amerykańskich paszportów i innych dokumentów, które pozwalały na legalizację sowieckiej agentury na całym świecie. W tym samym czasie był członkiem Komisji Kontroli Partyjnej, co dawało mu wgląd w kartotekę kadrową partii i tym samym pozwalało na typowanie kolejnych kandydatów na szpiegów.

Gołos i Bentley pasowali do siebie. Nawet z urody byli podobni, na tyle, że można ich było brać za rodzeństwo. Owalne twarze, wysokie czoła i oczy fanatyków. Ich znajomość miała przynieść wiele sukcesów partii komunistycznej i duże szkody Ameryce. Parą podobno zaczęli być dopiero w trzy lata od poznania się, co przy temperamencie Elizabeth wydaje się mało prawdopodobne, a Jakub musiałby się bardzo starać, aby nie ulec jej awansom. W każdym razie w 1936 roku przygotował grunt pod uwicie wspólnego gniazda, podczas kolejnego wyjazdu do ZSRS, pozostawiając tam żonę i syna. Oficjalnym powodem miało być zdobycie przez niego dobrego sowieckiego wykształcenia.

Seks i szpiegostwo

Oczywiście szpiegowanie urzędników faszystowskich Włoch to było zdecydowanie za mało jak na możliwości Elizabeth. Gdy zdobyła już pełne zaufanie swojego kochanka, zaczął wprowadzać ją w tajniki swojej pracy. A był w tym okresie jednym z najważniejszych agentów NKWD w Ameryce. Przez pewien czas prowadził nawet Juliusa Rosenberga, nim jego samego i całą siatkę, znaną później pod nazwą „atomowych szpiegów”, przekazał w całości wywiadowi sowieckiemu.

Bentley z początku pracowała wyłącznie jako kurierka, ale z czasem zaczęła uczestniczyć w spotkaniach z kolejnymi informatorami. Poznała sekrety siatki, która przeszła do historii pod nazwą „grupa Silvermaster”. Była to grupa szpiegowska, na której czele stał wysoki urzędnik Zarządu Wojny Ekonomicznej, Nathan Gregory Silvermaster. Siatka ta należała do

jednej z najważniejszych operacji szpiegowskich NKWD podczas II wojny światowej. Chociaż sam Silvermaster nie miał wielu tajnych informacji, to ludzie z nim współpracujący już tak. Rozrzućeni po różnych instytucjach państwowych mieli dostęp do wielu tajemnic. Przekazywali je do Silvermastera, ten do Bentley, a ona do NKWD. Przy okazji trzeba pamiętać, że większość, jeżeli nie wszyscy z tego zespołu, robiła to z przyczyn ideowych. Część, oczywiście, była komunistami. Większość chciała po prostu pomóc sprawie walki z hitleryzmem.

W tym czasie doszło do drobnej dekonspiracji. FBI namierzyło Gołosa, gdy spotykał się z Gajkiem Owakimianem, oficjalnie przedstawicielem handlowym sowieckiego rządu, ale rozpoznanym jako oficer sowieckiego wywiadu.

Poskutkowało to tym, że Jakub musiał zarejestrować się zgodnie z ustawą jako przedstawiciel obcego rządu. Komplikowało to koordynację wielu agentów. Na czoło tym samym wybiła się Bentley. To, że nie prowadzono dalszych czynności związanych z działalnością Gołosa, należy zrzucić na karb trwającej wojny i tolerancji dla nowego sojusznika.

Do kręgu agentów obsługiwanych teraz przez Elizabeth dołączyli m.in.

komuniści kanadyjscy, pojedyncze osoby z OSS oraz siatka zwana „Perlo”, w której skład wchodził wysocy urzędnicy, m.in. Kongresu USA i Ministerstwa Skarbu.

Sowieckie szpiegostwo rozwijało się w postępie geometrycznym, podobnie jak romans Jakuba i Elizabeth. Zamieszkali wspólnie w Commodore Hotel na Manhattanie, a Bentley podjęła pracę asystentki w założonym w 1941 roku przez Gołosa US Shipping and Service Corporation, firmie – wywiadowczej przykrywce.

Mało w tym związku chyba było miejsca na czułości i intymność. Jakub zachowywał się jak typowy towarzysz; był fanatykiem oddanym idei, życie rodzinne mogłoby dla niego nie istnieć. Elizabeth służyła mu do ściśle określonych celów – pełniła trzy role w jednym: asystentki, kurierki i nałożnicy. Być może dlatego, pomimo wielkiej miłości do Jakuba, nie była szczęśliwa. Jej wspomnienia pełne są odwołań do rzekomych lub urojonych kochanków oraz twierdzeń, że wszyscy mężczyźni, których spotkała, byli nią zauroczeni i pragnęli zaciągnąć do łóżka.

Sytuacja Elizabeth jeszcze bardziej się skomplikowała pod koniec 1943

roku, gdy po kolejnym zawale serca zmarł Jakub Gołos. Bentley była

wstrząśnięta i w kwestiach osobistych nie wiedziała, co dalej robić. Zawodowo zadeklarowała, że będzie nadal zajmować się koordynacją pracy szpiegów. Kłopot był jednak innej natury. Rosjanie zauważyli, że zaczyna mieć problemy emocjonalne i coraz bardziej popija. Zdarzało się jej przychodzić na konspiracyjne spotkania całkowicie pijanej lub nie przychodzić wcale.

Sowieci zażądali przekazania siatek pod ich całkowitą kontrolę. Władze CPUSA i sama Bentley stanowczo odrzucili to ultimatum. Mieli ku temu poważne powody. Znaczna część agentów nie zdawała sobie sprawy, że pracuje dla służb specjalnych. Byli przekonani, że wykonują zadania bądź to dla partii, bądź dla Kominternu. Ponadto kadrowi oficerowie wywiadu mogli zostać lub zostali już namierzeni przez FBI, co mogło doprowadzić do dekonspiracji ludzi na najwyższych stanowiskach państwowych.

Komunistyczna partia USA należała do międzynarodowego ruchu komunistycznego i ostatecznie musiała podporządkować się rozkazom Moskwy.

W połowie 1944 roku siatki zaczęły być przekazywane, a Bentley praktycznie pozostała bezrobotna.

Jej frustracja w zaistniałej sytuacji narastała z dnia na dzień. Już w poprzednim roku próbowała porozumieć się z FBI, ale nic z tego nie wyszło. Jej ówczesne zeznania zostały skatalogowane w zbiorze opatrzonym nazwą „wariaci”.

Teraz pozostała samotna i czuła się odepchnięta, bezwartościowa, po prostu zbędna. Niedobrze to rokowało operacjom sowieckiego wywiadu. Powinni albo się nią zaopiekować, dowartościować ją, znaleźć odpowiedniego mężczyznę lub zlikwidować – co proponował ostatni z jej oficerów prowadzących – Anatolij Górski. Zrobili jednak to, co mogli zrobić najgorszego; nie wykonali żadnego ruchu. Bentley zaczęła już tak tego pić, że dzień zlewał się z nocą. Złorzeczyła na swoich niedawnych towarzyszy, odgrażała się na spotkaniach partyjnych, nikt jednak nie brał tego poważnie. Wydawało się, że jest w matni. Partia miała jej dość, FBI uważało ją za wariatkę, a starzejąca się kobieta nie mogła znaleźć nowych adoratorów.

Antykomunistyczna vendetta

Jack Danahy miał poważną rozterkę. Usłyszał wprost nieprawdopodobną

historię. Pracował jednak w kontrwywiadzie i jak na agenta FBI miał dość dobre pojęcie o sowieckim wywiadzie w Stanach Zjednoczonych. Wiele faktów, które ujawniła mu Bentley, znajdowało potwierdzenie w innych źródłach. Jego wątpliwości budziła jednak skala sowieckiej penetracji. Czy to możliwe, aby tylu ludzi na tak ważnych stanowiskach podjęło nieprzymuszenie pracę na rzecz innego państwa – zastanawiał się w myślach. Jego nowa informatorka wymieniła kilkadziesiąt nazwisk, w tym z samej czołówki amerykańskiego rządu. Był przekonany, że tej sprawy nie może tak zostawić. Umówił się na kolejne spotkanie za kilka dni, a sam usiadł do sporządzenia raportu. Nie był pewien, czy dostanie zielone światło, czy opisywane zdarzenia nie zostaną potraktowane jako mitomaństwo rozhisteryzowanej kobiety.

Szef biura nowojorskiego po zapoznaniu się ze sprawą polecił jej kontynuację. Teraz Bentley miało przesłuchiwać już kilku agentów. Spotkali się 7

listopada i Elizabeth wydała się bardzo zadowolona, rozluźniona i chętna do współpracy. Ponownie była w centrum uwagi i wiedziała, że jeżeli to, co powie, zostanie potraktowane poważnie, przejdzie do historii i to przez duże „H”. Protokół z przesłuchania był dość mętny, rozwlekły i antysemityczny, na tyle jednak wiarygodny, że przesłano go do samego wielkiego Szefa! Odpowiedź przyszła nadzwyczaj szybko, bo już po dwóch dniach. Hoover zalecał kontynuację przesłuchań. Żądał również, aby być na bieżąco informowanym.

Do sprawy w całym kraju przydzielono aż 227 agentów specjalnych, którzy mieli badać wszystkie poszlaki sowieckiej konspiracji i szpiegostwa. Po raz pierwszy Amerykanie, dzięki tej niepozornej kobiecie, mogli przynajmniej częściowo zrekonstruować siatki NKWD. Informacje zaczęły się potwierdzać w szybkim tempie. Popełniono jednak niechcący zasadniczy błąd: poinformowano o pozyskaniu źródła i wszczętym dochodzeniu przedstawiciela wywiadu brytyjskiego, który informację przekazał do centrali w Londynie. Tam jednak dostała się ona w ręce jak zwykle czujnego Kima Philby'ego. Oczywiście szybko poinformował on swoich prawdziwych przełożonych, którzy natychmiast rozpoczęli akcję wycofywania szpiegów i zacierania śladów. W znacznej części im się to udało, ale odrzucona i samotna Bentley sparaliżowała działalność NKWD

w USA, a przynajmniej znaczną jej część.

Ona sama wydawała się być szczęśliwa. Znajdowała się w centrum uwagi.

Przesłuchiwało ją kilku przystojnych, młodych agentów. Każdy z nich był na jej usługi. Podawali kawę i ciasto. Alkohol był surowo zabroniony w biurach FBI, ale zawsze znaleźli się funkcjonariusze gotowi zejść z Elizabeth do pobliskiej knajpki i wypić parę drinków. Była przekonywana o własnej ważności, a jej zeznania potwierdzał inny zbieg z obozu komunistów – Whittaker Chambers, pisarz i dziennikarz. Tym samym znalazła się w doborowym towarzystwie. Jej zeznaniami interesował się Pan Hoover, jak zwykła nazywać szefa FBI i to dodatkowo dodawało jej animuszu. Po każdej rozmowie była odwożona do swojego bezpiecznego apartamentu, podobnie jak przywożona następnego dnia.

O tak, takie życie mogło jej się podobać.

Hoover też był zadowolony. Dzięki informatorom zainstalowanym wewnątrz siatek szpiegowskich i CPUSA potwierdziło się wiele informacji oraz uzyskano nowe. W raporcie do prezydenta Harry'ego Trumana z 29 maja 1946 r., szef FBI alarmował, że w Waszyngtonie „działa ogromna sowiecka siatka szpiegowska”.

„Zamieszanych jest w to wielu urzędników rządowych, których tożsamość zostanie podana poniżej”. Lista była wstrząsająca. Znaleźli się na niej m.in. Dean Acheson, podsekretarz stanu, John McCloy, zastępca sekretarza wojny, Harry Dexter White, zastępca sekretarza skarbu, Alger Hiss, wysoki i wpływowy urzędnik Departamentu Stanu, Laurence Duggan, szef Biura do spraw Ameryki Łacińskiej Departamentu Stanu i Duncan Chaplin Lee, asystent Williama Donovana, szefa wywiadu czasu wojny OSS.

Truman nie uwierzył w spisek sowiecki, za to, jak najbardziej poważnie, zaczął podejrzewać Hoovera o brudną grę spiskową. Wszyscy znajdujący się na liście zrobili kariery w okresie Nowego Ładu F. D. Roosevelta, jego poprzednika i mentora. Sądził, że śledztwo wymierzone jest w prezydencką administrację i ma podtekst wyłącznie polityczny. Z zemsty obciął fundusze FBI, co zmusiło Hoovera do zwolnienia kilkuset agentów. Szef FBI jednak się nie poddawał. Rozjuszony postępowaniem prezydenta, ujawnił informacje poprzez prasę i zaprzyjaźnionych kongresmenów z Partii Republikańskiej.

Od stycznia 1947 do lipca 1948 roku trwają przesłuchania przed Wielką Ławą Przysięgłych. Następnie przed Komisją Izby Reprezentantów do Spraw Działalności Antyamerykańskiej. W obu ciałach Bentley potwierdza swoje informacje i podaje nowe szczegóły. Grzeje się – dosłownie i w przenośni –

w świetle jupiterów. Jest popularna i znana w całym kraju. Wydaje książkę i zarabia pierwsze poważne pieniądze.

Czas jednak mija nieubłaganie i jej popularność powoli śniedzieje. Pojawiają się kolejne rewelacje. Burgess i Maclean uciekają do ZSRS. Philby zostaje wydany z brytyjskiego wywiadu pod zarzutami współpracy z Sowiecami. Opinia publiczna jest już zainteresowana innymi tematami. Elizabeth zaczyna brakować pieniędzy i nadal pije na umór. Czuje się wykorzystana, po raz kolejny zresztą.

Czasy szoferów, opłacanych przez państwo apartamentów i wypadów do knajp na drinka – to już przeszłość. Jeszcze przez kilka lat jest płatną konsultantką FBI, ale za sumy zbyt drobne, by mogły pokryć jej potrzeby. W pewnym momencie nawet sam Hoover musi interweniować w urzędzie skarbowym, aby uchronić ją od kary za notoryczne niepłacenie podatków.

Jest coraz bardziej wyobcowana. Jeszcze ostatkiem sił udziela niezliczonych wykładów na temat zagrożenia komunistycznego. Jeździ po całym kraju. To jednak już tylko namiastka dawnej popularności. Jest jeszcze w kilku związkach, ale w żadnym na poważnie. Umiera na raka 3 grudnia 1963 r. Miała za sobą pięćdziesiąt pięć lat burzliwego i nieszczęśliwego życia. Pograżyła ponad stu pięćdziesięciu sowieckich agentów i współpracowników. Tylko dwóch z nich zostało skazanych za drobne przestępstwa. Na innych nie wystarczyło dowodów procesowych. Operacja Venona, ucieczki kolejnych oficerów KGB, a w końcu i otwarcie archiwów po zimnej wojnie potwierdziły jej słowa.

Według wielu, była wielu niezrównoważoną wariatką i nimfomanką. Być może, ale taką, która solidnie zaszkodziła komunistom. Choćby z tej przyczyny powinniśmy o niej pamiętać.

ROZDZIAŁ VII

Otruć Fidela

Rzecz miała miejsce w czasach, gdy Centralną Agencję Wywiadowczą nazywano organizacją korsarzy. To były dni, kiedy młodzi, idealistyczni ludzie na poważnie brali się za wojnę z komunizmem. A że wychodziło im to bardzo różnie, to już inna sprawa.

Próby zamachów na szefa państwa kubańskiego Fidela Castro w latach 50.

i na początku 60. XX wieku były w Waszyngtonie tajemnicą poliszynela. Przez całą dekadę zaangażowani byli w to pracownicy wywiadu, armii, bossowie największej rodziny mafijnej i piękne kobiety. Co innego domyślać się, a co innego wiedzieć na pewno. A szczegóły prób zabójstwa Fidela ujrzały światło dzienne w drugiej połowie lat 70. ubiegłego stulecia. Proponuję więc, zanim zaczniemy opisywać czasem groźne, a czasem groteskowe działania wywiadu amerykańskiego, zapoznać się z tym, co miało miejsce wiele lat później, a co skutecznie sparaliżowało CIA. Można powiedzieć, że w pewnym sensie była to zemsta Castro za niewykopany grób.

Zatrute klejnoty

CIA nie schodziła z łamów gazet, ekranów telewizora i z ust przeciętnych Amerykanów plotkujących w knajpkach. Szeroko dyskutowano o tym, czy moralne jest zabijanie przywódców innych państw, nawet jeżeli są oni komunistami, a zamachy nie przyniosły oczekiwanych efektów? Opinia publiczna była w szoku, że „my, Amerykanie, też robimy, takie rzeczy”.

Przyjmuje się, że początkiem procesu, którego zakończeniem było powołanie kongresowych komisji śledczych, zajmujących się działalnością wywiadu, było opublikowanie 22 grudnia 1974 r. w „New York Times” artykułu Seymoura Hersh’a na temat nielegalnej działalności CIA na terenie Stanów Zjednoczonych. Jednak z perspektywy czasu wydaje się, że korzeni

tych działań należy doszukiwać się kilka lat wcześniej, w sprawie tak zwanych „akt Pentagonu”

ujawnionych przez Daniela Ellsberga. Ellsberg, były żołnierz marines, pracownik Departamentu Stanu i Obrony, wrócił z misji obserwacyjnej w Wietnamie w 1967

roku. Zatrudnił się w RAND Corporations i na zlecenie ówczesnego sekretarza obrony Roberta McNamary, wchodził w skład zespołu przygotowującego raport na temat historii amerykańskiego zaangażowania w Wietnamie w latach 1945–1967.

W świetle tego dokumentu polityka amerykańska jawiła się jako nieskuteczna, a co więcej, planiści i dowódcy zakładali od początku, że wojna wietnamska jest nie do wygrania, a prezydenci świadomie wprowadzali w błąd opinię publiczną.

Raport koncentrował się na krytyce działań podjętych przez administrację Kennedy’ego i Johnsona. Pod koniec 1969 roku Ellsberg zaczął robić kserokopie 47 tomów, liczącego ponad 7000 stron dokumentu, i przekazywać niektórym kongresmenom. Jednak nad dokumentami zapanowało milczenie. Najpewniej związane to było z faktem, że odbiorcy byli członkami Partii Demokratycznej, a dokumenty oskarżały dwóch poprzednich prezydentów wywodzących się z tej partii. Jakiś czas potem, kiedy rozgorzała już wojna polityczna, Ellsberg zaczął twierdzić, że przekazał akta nowemu prezydentowi Richardowi Nixonowi.

Brak oficjalnej reakcji polityków skłonił go do przekazania dokumentów dziennikowi „New York Times”. Po wielu wahaniach związanych z odpowiedzialnością karną za ujawnienie tajnych dokumentów redakcja postanowiła opublikować ich część 13 czerwca 1971 r. To, co wydarzyło się później, stało się krokiem milowym wyznaczającym nowe – niekoniecznie sensowne – standardy funkcjonowania mediów i dziennikarstwa śledczego.

Pomimo że urzędujący prezydent Richard Nixon nie był objęty analizą, a jego polityka nie została w tych materiałach omówiona, administracja prezydencka poprzez Departament Sprawiedliwości próbowała zablokować dalszą publikację, powołując się na bezpieczeństwo narodowe. Obie strony – dziennikarze i urzędnicy – stanęli przeciw sobie w Sądzie Najwyższym, który wyrokiem z 30

czerwca uznał prawo „NYT” i innych gazet do dalszej publikacji posiadanych już dokumentów. Miało to swoje trzy najpoważniejsze

konsekwencje. Po pierwsze, od tej pory dziennikarze zostali uwolnieni spod presji, że mogą trafić do więzienia za ujawnienie tajnych dokumentów państwowych. Po drugie, Nixon powołał w ramach Białego Domu tak zwany zespół „hydraulików”, mający zapobiec wyciekaniu tajnych informacji do prasy, co skończyło się nieudaną próbą włamania do budynków Watergate i upadkiem samego Nixona. Po trzecie, wreszcie Daniel Ellsberg uniknął jakiegokolwiek kary za wykradzenie i opublikowanie ściśle tajnych materiałów, co zachęciło do podobnych praktyk w przyszłości setki kolejnych ochotników zamierzających zostać zbawcami narodu.

W takiej sytuacji podówczas trzydziestosiedmioletni Hersh nie musiał się obawiać konsekwencji publikacji artykułu opartego w większości na tajnych dokumentach CIA. Asumpt do tego i kolejnych przecieków dała niespotykana do tej pory pełna analiza nielegalnych działań wywiadu, przygotowana na zlecenie dyrektora CIA Jamesa Schlesingera, a znana powszechnie jako „Klejnoty Rodzinne”.

Pomimo że Schlesinger pełnił swoją funkcję tylko kilka miesięcy od 2 lutego do 2 lipca 1973 r., to jego działania wydają się mieć największe konsekwencje przy ujawnieniu działań wywiadu Stanów Zjednoczonych w okresie zimnej wojny. Ten czterdziestoczteroletni doktor ekonomii z Harvardu, wykładowca akademicki na Uniwersytecie Wirginii, karierę rozpoczynał w RAND Co., skąd przeniósł się do Biura Administracyjno-Budżetowego (OMB), gdzie uzyskał pozycję asystenta dyrektora. Zastępując na stołku DCI Richarda Helmsa – odwołanego przez R. Nixona w wyniku utraty do niego zaufania po aferze Watergate – był człowiekiem, który miał nie tylko pojęcie o funkcjonowaniu wywiadu, ale też bardzo określone propozycje reform. Jeszcze jako pracownik OMB przygotował w 1971 r. na zlecenie prezydenta 47-stronicowy raport o funkcjonowaniu CIA, nazywany potocznie „Raportem Schlesingera”. Zadanie, które postawiono przed autorem, sprowadzało się właściwie do dwóch pytań; jak poprawić i skoordynować analizy wywiadowcze oraz jak zapanować nad rozrastającym się budżetem wywiadu, zwłaszcza w czasach, gdy większość wydatków pochłaniały nowoczesne technologie pozyskiwania danych wywiadowczych. Schlesinger, odpowiadając na te pytania, dowodził, że problemem jest kryzys strukturalny wywiadu, wynikający z funkcjonowania nadal struktury sprzed okresu, gdy rozwinęły się możliwości techniczne. Ponadto wskazywał, że za zadaniowanie wywiadu odpowiadają szefowie i oficerowie operacyjni, a nie

odbiorcy danych wywiadowczych w rządzie. Tym samym wskazywał, że wywiad sam sobie określa zadania, nie koordynując ich pomiędzy sobą i bardzo często je dublując, co jest nieefektywne operacyjnie i finansowo. Proponował rozdzielenie wywiadu strategicznego od taktycznego poprzez powołanie dyrektora Wywiadu Krajowego (DNI), odpowiedzialnego za m.in. konstruowanie budżetów i nadzór nad ich realizacją.

Pozostawienie DCI jako zarządzającego przede wszystkim CIA, powołanie dyrektora Wywiadu Obronnego (DID) odpowiedzialnego za militarne aspekty wywiadu i rozwój nowoczesnych technologii wywiadowczych.

Schlesinger był traktowany w CIA jako swoista zemsta R. Nixona i osoba mająca bezpośrednio podporządkować działalność Agencji politycznym planom prezydenta. Prezydent miał powiedzieć: „zwolnijcie tych błaznów, których jest czterdzieści tysięcy i czytają tylko gazety”. Schlesinger, twórca raportu, dążący do prawnego wzmocnienia pozycji dyrektora Wywiadu i twierdzący, że jest się w stanie dogadać z Departamentem Obrony w sprawach wywiadu, wydawał się być właściwą osobą na właściwym miejscu. Nie jest do końca jasne, na ile sam R. Nixon popierał reformatorskie zapędy swojego nowego szefa wywiadu. Niechęć prezydenta datowała się jeszcze od czasu jego pierwszej, przegranej kampanii prezydenckiej z Kennedym. Richard Nixon oskarżał Agencję o wspieranie kontrkandydata. Uważał wyższy personel CIA za nadętych liberałów z Ivy League.

Jego przeświadczenie zostało ugruntowane podczas pierwszej kadencji, kiedy analizy wywiadu nie pokrywały się z jego własnymi przemyśleniami.

Gdy Schlesinger został szefem CIA, zażądał, aby jego podwładni przygotowali informacje o wszystkich nadużyciach prawnych, jakie miały miejsce w CIA od początku jej powołania w 1947 roku. Ze zbioru informacji powstał raport i jak łatwo się domyślić, fragmentami wyciekł do prasy. Kongres nie mógł pozostać obojętny i powołał specjalne komisje, które miały zająć się tym problemem. Na czołówce ich zainteresowań znalazły się sprawy prób zabójstw przywódców innych państw. Pośród nich CIA szczególnie zagięła parol na brodatego przywódcę Kuby Fidela Castro.

Wyspa jak wulkan gorąca

Fidel był nieślubnym synem Ángela Castro y Argiza, bogatego plantatora trzciny cukrowej. Interes jednak powoli podupadał, więc życie młodego

Castro nie było tak różowe jak mogłoby się wydawać. Nakładała się jeszcze na to jego buntownicza natura, powodująca, że często wydalano go ze szkół. Bystry i inteligentny potrafił jednak dawać sobie radę w życiu. Interesował się żywo polityką, a jego poglądy ze wczesnego okresu można nazwać antykolonialnymi.

Nie był jeszcze marksistą. Stał się nim, dopiero jak to u wielu ludzi w tym czasie, na uniwersytecie.

Kuba była republiką od 1902 roku, choć tylko z nazwy. Twardą ręką rządziły na niej reżimy prezydentów Gerardo Machado y Moralesa, Fulgencio Basisty i Ramóna Grau San Martína. W połowie lat 40. ubiegłego wieku, w czasie, kiedy Fidel rozpoczął studia prawnicze, bardzo obawiano się wzrastających wpływów komunistycznych, ukrytych pod frazeologią antykolonialną i antyimperialną. Kuba była *de facto* protektoratem USA, co miało swoje dobre i złe strony.

Uniwersytety kubańskie w tym czasie, na dwadzieścia lat przed buntami w podobnych placówkach w Stanach Zjednoczonych, były całkowicie zrewoltowane. Studenci podzieleni na grupy polityczne, bardzo często uzbrojone, prowadzili regularne walki. Fidelowi taka sytuacja odpowiadała. W ciągu dnia uczył się prawa cywilnego (z którego ma doktorat) i dyplomatycznego, by po zajęciach uczestniczyć w bójkach, posiedzeniach różnych komitetów i zebraniach partyjnych. Bardzo mocno w tym czasie zbliżył się do partii socjalistycznej i zaczął studiować klasyków marksizmu. Przekonało go to, że świat jest podzielony na bogatych i biednych, a ci pierwsi chcą odebrać wszystko tym drugim. Młody rewolucjonista nie mógł się na to zgodzić.

W czerwcu 1947 roku, czyli na drugim roku studiów, postanowił wziąć udział w nieudanym ataku na Dominikanę. Potem szukał miejsca dla swoich rewolucyjnych działań, przemierzając Wenezuelę, Panamę i Kolumbię. Wszędzie tam nabierał przekonania co do słuszności swoich poglądów. W Bogocie mieszkał u rodziny bogatego adwokata, który miał nastoletnią córkę Barbrę. Zaprzyjaźnili się, ale różnica wieku była zbyt duża, aby myśleć o jakimkolwiek romansie.

Po powrocie na Kubę Fidel poślubił Mirtę Díaz-Balart, wywodzącą się z bogatej rodziny. Skończył też studia i otworzył kancelarię prawną. Nie wiodło mu się chyba najlepiej, gdyż wyłączono mu prąd i skonfiskowano meble za długi.

W tym czasie Kuba zmierzała już do całkowitej dyktatury. Castro nie mógł się wyżyć politycznie w normalnej walce wyborczej.

Zaczął konspirować i poszukiwać ludzi o podobnych do swoich poglądach. Nie było to specjalnie trudne, gdyż na wyspie znajdowało się wielu młodych, zaczadzonych marksizmem studentów. Gdy Batista przejął pełnię władzy, a gangi – z którymi podpisał porozumienie – i wojsko zaczęły rozprawiać się z opozycją, Castro przystąpił do działania. Gdyby polityka Batisty była mądrzejsza, mniej opresyjna i bardziej demokratyczna i prosocjalna, jego koniec nie byłby taki przykry.

Dla Castro prawdziwa rewolucja zaczęła się w 1952 roku. Zaatakował wówczas koszary Moncada w prowincji Oriente. Z ponad stu pięćdziesięcioma ludźmi uderzył i przegrał. Nie spodziewał się takiego oporu. Jego celem było zdobycie składu broni, w którą chciał uzbroić swoich innych zwolenników. Miał ich ponad tysiąc. Akcja zakończyła się jednak masakrą. W ramach bezpośredniej walki i późniejszych represji zabito prawie pięćdziesięciu bojowników. Sam Castro uniknął ich losu, salwując się ucieczką z dziewiętnastoma najwierniejszymi ludźmi w góry Sierra Maestra, gdzie założył bazę partyzancką. Tu też nie poszło mu najlepiej, gdyż rewolucjoniści zostali wytropieni i po procesie skazani na wieloletnie więzienia. Fidel otrzymał wyrok piętnastu lat aresztu.

Odsiadując karę wraz z wieloma swoimi ludźmi, założył „Ruch 26 Lipca”, na cześć nieudanego ataku na koszary. W tym samym czasie jego pozostająca na wolności żona, pod wpływem rodziców i przyjaciół, wystąpiła o rozwód. Opiekę nad ich jedynym synem przyznano matce. Fidel był zrozpaczony. Ale były też i dobre wiadomości. Batista, który w niezbyt demokratyczny sposób wygrał wybory prezydenckie, postanowił być wspaniałomyślny – czując poparcie USA, mafii i koncernów działających na Kubie – i ogłosił amnestię. Fidel opuścił więzienie 15 maja 1955 r.

Batista nie wiedział nawet, jaki popełnił błąd. Sądził, że dzięki tajnej policji będzie w stanie kontrolować poczynania przeciwnika politycznego. Na początku wszystko na to wskazywało. Fidel dobrze się krył ze swoim zamiarami. Jako przystojny, podobający się kobietom mężczyzna nawiązał wiele romansów.

Wszystko wskazywało na to, że poszukuje nowej żony i chce odbudować swoje życie. Była to jednak tylko zasłona dymna.

Jednak pod koniec 1955 roku nasiliły się protesty opozycji, w wielu

miastach doszło do zamieszek i strzelanin. Castro był na poważnie zagrożony więzieniem lub co gorsza likwidacją przez „nieznanych sprawców”. Wraz z bratem Raulem uciekł do Meksyku, gdzie oprócz tego, że poznał i zaprzyjaźnił się z Ernesto „Che”

Guevarą, utworzył partyzancki obóz szkoleniowy dla swojego ugrupowania.

Pojechał też do USA, by pośród bogatych Kubańczyków kwestować na rzecz walki z Batistą. Uzbierał ponad 100 tys. dolarów, co na ówczesne czasy było sumą znaczną. Z przeszkolonymi ludźmi, nową bronią i gotówką w kieszeni postanowił powrócić na Kubę.

Dotarł tam 2 grudnia 1956 r. i od razu został zaatakowany przez siły rządowe. Członkowie jego ruchu musieli ponownie wycofać się w góry, ale sytuacja była już inna po ataku na koszary. Opozycja cieszyła się coraz większym poparciem społecznym, a prowadzona przez Castro wojna partyzancka zaczynała przynosić efekty. Na niekorzyść Batisty działał również fakt, że USA na tym etapie nie chciały bezpośrednio angażować się w konflikt na wyspie, uważając, że ich poplecznik sam da sobie radę. Nie mogli się bardziej pomylić. Fidel rozpoczął zwycięski marsz przez wyspę, zajmując kolejne miasta i prowadząc wojnę podjazdową z wojskiem.

Batista był osamotniony. Stany Zjednoczone, po dużej kampanii prasowej, w której wskazywano na mordercze zapędy dyktatora, cofnęły mu finansowanie i broń. Zaczęły też prowadzić działania w celu jego eliminacji i zastąpienia kimś bardziej ugodowym. Otoczony z dwóch stron Batista zrezygnował z urzędu 31

grudnia 1958 r. Z rodziną i najbliższymi doradcami uciekł na wygnanie do Republiki Dominikańskiej, kradnąc jeszcze 300 000 000 USD. Przez pewien czas istniał rząd koalicyjny, ale dążeniem Fidela było uzyskanie całkowitej władzy i dopiął swego.

Kolumbijska piękność

Tymczasem w Bogocie rodzina Barbry zaczęła popadać w coraz większe kłopoty finansowe. Wynikało to przede wszystkim z rozrzutnego stylu życia i złych inwestycji finansowych ojca. W czasie gdy Fidel przejmował władzę na Kubie, Barbra była zdecydowanie pod kreską. Za namową matki poleciała do Hawany, aby szukać tam nowej pracy i dróg rozwoju. W tym czasie wielu

młodych ludzi, głównie studentów, przybywało na wyspę, aby na miejscu zapoznać się z sukcesem pierwszej rewolucji w Ameryce Łacińskiej. Barbra była właśnie jedną z takich osób.

Miała dziewiętnaście lat, kruczoczarne włosy i zwracające uwagę, rzadko spotykane u Latynosek, duże niebieskie oczy. Przyciągały one mężczyzn jak lep muchy. Była wierzącą katoliczką, co pośród Latynosów nie przeszkadza być jednocześnie marksistą. Potrafią oni w sposób wręcz nieprawdopodobny połączyć te dwie skrajności.

Hawana tego okresu była typowym miastem porewolucyjnym. Chaos, przemoc na ulicach, braki w zaopatrzeniu, niedziałające instytucje publiczne, paraliż komunikacyjny. Choć na plus dla radosnych Kubańczyków trzeba zapisać, że skala terroru i bałaganu nie była tak wielka jak w dotkniętych podobną sytuacją Francji czy Rosji. Nowa władza starała się za wszelką cenę wprowadzić porządek.

Mogła liczyć na znaczną część funkcjonariuszy byłego reżimu, policjantów i wojskowych. Oczywiście mówiło się o wymierzeniu sprawiedliwości najbardziej zagorzałym i przestępczym działaczom byłej dyktatury, ale represje, według pierwszych zamierzeń, miały objąć ograniczoną liczbę ludzi.

Barbra próbowała nawiązać kontakt z Fidelem, mając nadzieję na znalezienie dobrej pracy. Często odwiedzała komendanturę miasta, ale umówić się z Castro było wyjątkowo ciężko. Był w rozjazdach po całym kraju, odbywał masę spotkań i narad i nie znalazł lub nie chciał znaleźć czasu dla swojej dawnej znajomej. Barbra w tej sytuacji dość łatwo wystarała się o pracę na poczcie.

W Hawanie było wtedy dużo młodych ludzi napływających z innych części Ameryki Łacińskiej i Południowej. Szkopuł w tym, że praca w sektorze publicznym była słabo płatna, a po pewnym czasie w ogóle wstrzymano wypłaty.

Otrzymywała bezwartościowe talony żywnościowe, za które praktycznie nic nie dawało się kupić. W tym czasie podnajęła kąt w dwupokojowym mieszkaniu, które dzieliła z grupą podobnej do niej kobiet i mężczyzn, budujących nowy, szczęśliwszy ład. Jednak po kilku tygodniach takiej egzystencji miała dość.

Schudła i zaczęła cierpieć na dolegliwości żołądkowe. Pomoc medyczna stała na wyjątkowo niskim poziomie, a do tego brakowało jakichkolwiek

medykamentów.

Postanowiła, że zrobi, w jej mniemaniu, krok w tył.

Jeszcze pewien okres po przewrocie działały prywatne przedsiębiorstwa, w tym kasyna należące w większości do amerykańskiej mafii. Bardzo duża część pracowników opuściła miejsce pracy, obawiając się antyamerykańskich represji.

Atrakcyjna dziewczyna znalazła więc szybko pracę jako krupierka – choć o tym zawodzie nie miała większego pojęcia. Zauważyła też, że pomimo rewolucji ludzie nadal uczęszczają do kasyn, śniąc o wielkich wygranych i odmianie losu. Jej bezpośredni szef, Pedro, o którym nie wiedziała, że zajmuje się również ochroną kasyna, znając jej sytuację mieszkaniową, zaproponował, aby przeniosła się do pobliskiego i tak opustoszałego hotelu. Jej sytuacja materialna zdecydowanie się poprawiła, gdyż wypłaty dostawała w dolarach, jedynej walucie, za jaką na wyspie można było nabyć podstawowe produkty.

Po kilku zaledwie tygodniach Pedro zaprosił ją na rozmowę i zapytał, czy jest zainteresowana dodatkowymi pieniędzmi. Nie zaprzeczyła, chciała wiedzieć tylko, jak może je zarobić. Prostyucja w jej opinii nie wchodziła w grę. Nie było to jednak to. Pedro obserwował ją od początku, przeprowadzając drobne prowokacje, aby sprawdzić jej uczciwość. Z każdej wychodziła nienagannie, nie dając się przekupić i za każdym razem informując szefa o zaistniałych sytuacjach. Pedro powiedział, że potrzebuje łącznika do przewozu znacznej ilości gotówki. Waluty z Kuby nie można było wywozić legalnie. Wszystko musiało być oddawane do państwowych banków, które wymieniały je na miejscową walutę po bandyckim kursie. Pieniądze z kasyna miały pochodzić z hazardu, prostytucji i narkotyków.

Barbra miała tylko przewieźć je na wybrzeże i oddać załodze kutra. Po drodze roіło się od patroli rewolucyjnych i punktów kontroli. Pedro założył jednak, że młoda i piękna dziewczyna ma większe szanse na ich przekroczenie niż jakikolwiek mężczyzna. Praca była jednak bardzo niebezpieczna. Mogła za to grozić nawet kara śmierci, ale jak to zdarza się w tego typu przypadkach, była również znakomicie płatna. Barbra była kurierką przez ponad sześć miesięcy i nigdy nie wpadła.

Zarobiła na tym oszałamiającą, jak dla niej, ilość pieniędzy i gdy myślała już, że słońce zaświeciło właśnie dla niej, wzmożyły się represje wobec kasyn i w ogóle kapitału zagranicznego. Sytuacja stała się naprawdę groźna.

Rewolucyjne bojówki napadały na kasyna i biły klientów, prostytutka została zakazana, podobnie jak zwiększono nacisk na walkę z dilerami narkotyków.

W takiej sytuacji Barbra zdecydowała się na powrót do Bogoty. Pedro rozumiał doskonale ten wybór, sam już siedział na walizkach. Zorganizował jeszcze szmugiel jej gotówki do Meksyku, gdzie w drodze powrotnej miała ją odebrać. Po roku i czterech miesiącach Barbra wsiadła na kuter i nie bez żalu rozstała się z Kubą. Myślała już, że na zawsze. O Fidelu też zapomniała, miała inne cele, spośród których największym marzeniem było ukończenie studiów na którymś z amerykańskich uniwersytetów.

Ike vs. Fidel

Dwight D. Eisenhower objął swój urząd w 1953 roku. Zaraz po przeprowadzce do Białego Domu nakazał zmienić motto znajdujące się na biurku w Owalnym Gabinetcie. Brzmiało ono od tej pory tak: *Suaviter in modo, fortiter in re* – „Uprzejmy w zachowaniu, skuteczniejszy w działaniu”. Ike był postrzegany jako miły, zrównoważony, starszy pan. Jego popularność podczas dwóch kadencji nigdy nie spadła poniżej 65%. Miał jednak i swoją mniej „tatusiową” stronę. Był twardym generałem, zakochanym dodatkowo w służbach specjalnych i rozumiejącym ich powołanie.

Chociaż tajne akcje zaczęły się już za jego poprzednika Harrego Trumana, to ich pełny rozkwit datuje się na czas prezydentury Eisenhowera. Na tym polu odniósł kilka znaczących sukcesów. Obalił premiera Iranu Mossadegę i przywrócił na tron szacha Mohammada Rezę Pahlawiego. Podobnie postąpił w Gwatemali, obalając lewicującego Jacobo Arbenza Guzmána. Doceniał rolę wywiadu technicznego, ale jak każdy generał i każdy polityk, był zakochany w tajnych operacjach przypominających opowieści sensacyjne. Nie szczędził środków i własnej inicjatywy, aby je przeprowadzać. CIA również była skłonna do tego typu działań. Bardzo wielu ludzi służących w dyrektoracie operacji wywodziło się z wojennej OSS i miało za sobą wieloletnie doświadczenia w sabotażu, dywersji i innych działaniach tego typu. Byli to wyjątkowi ludzie. Pochodzili na ogół z dobrych rodzin, ukończyli najlepsze uniwersytety, byli wśród nich bankierzy i prawnicy, literaci i poeci. Bardzo dziwna ekipa, która miała naprawdę szalone pomysły. Wydawało się, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. Wysyłali zbrojne grupy na tereny państw komunistycznych, przesyłali tam

również książki i radiostacje, kopali podziemne tunele, obalali obce rządy. Ike dla tych działań znalazł polityczną „podkładkę”. Zatrudnił generała lotnictwa Jamesa H. Doolittle’a, bohatera II wojny światowej, człowieka, który zorganizował pierwszy rajd lotniczy nad Tokio, tak ładnie pokazany w filmie „Pearl Harbor” Michaela Baya z 2001

roku, do przygotowania raportu o amerykańskich służbach specjalnych.

Jego analiza była miażdżąca. Pisał w raporcie:

Jest teraz jasne, że mamy przed sobą nieprzejednanego wroga, którego nieukrywanym celem jest zdobycie dominacji nad światem wszelkimi środkami i za wszelką cenę. W tej grze nie ma reguł. Dotychczas akceptowane normy ludzkiego zachowania nie mają już racji bytu. Jeśli Stany Zjednoczone mają przetrwać, odwieczna amerykańska zasada fair play musi być na nowo przemyślana. Musimy rozbudować skuteczne służby wywiadu i kontrwywiadu, musimy nauczyć się działalności wywrotowej, sabotażu i niszczenia naszego wroga sprytniejszymi, bardziej wyrafinowanymi i skuteczniejszymi metodami niż te, których on używa przeciwko nam.

Wydzwięk raportu był taki, jakiego Eisenhower oczekiwał, ale co z tego, kiedy jego chłopcy z CIA przespali wydarzenia na Kubie. Na ich obronę można powiedzieć, że Fidel był jednym z wielu samozwańczych rewolucjonistów, którzy błakali się po Ameryce. Batista wydawał się człowiekiem silnym i nie do ruszenia.

Miał zagwarantować, że żaden marksista nie będzie sobie zbyt dobrze poczynał na Kubie. Jankesi nie wzięli jednak pod uwagę, że sami Kubańczycy mieli już dość swojego przywódcy i gotowi byli poprzeć nawet awanturnika z charakterystyczną brodą.

Gdy Castro przejął władzę, miał pełną świadomość, że Amerykanie nie zostawią go w spokoju. I miał rację. Ike domagał się tajnych operacji, nie interwencji wojskowej, ale właśnie działań, które byłyby ukryte w cieniu, gdyż jak sam powiedział, „Po prostu nie możemy sobie pozwolić na okazanie się tchórzami znęcającymi się nad słabszymi od siebie”. Pierwszy plan usunięcia Fidela za pomocą skrytobójstwa pojawił się już w grudniu 1959 roku. Szef CIA Allen Dulles nie był jednak do końca przekonany, że to najlepsze rozwiązanie. Sądził, że zabicie przywódcy niczego tak naprawdę nie zmieni. Może być on zastąpiony przez brata czy innego z rewolucjonistów. Proponował, aby rozpocząć akcje sabotażowe polegające m.in. na atakach na rafinerie cukru, główne źródło dochodów Kuby. Ike

chciał jednak czegoś więcej i Dulles się ugiął. Został przygotowany czteropunktowy plan obejmujący budowę zjednoczonej opozycji kubańskiej; ofensywę propagandową; utworzenie na miejscu tajnej organizacji wywiadowczo-sabotażowej oraz budowę poza Kubą oddziałów paramilitarnych, mogących w odpowiednim czasie wylądować na wyspie i przejąć władzę. Była to zapowiedź późniejszej katastrofy, jaką był desant w Zatoce Świń. Oczywiście to, czego nie ujęto w tym planie wprost, to było przygotowanie do fizycznej likwidacji Fidela.

Do realizacji tych planów wybrano podówczas pięćdziesięcioletniego Richarda Mervina Bissella, absolwenta Yale, weterana OSS i zastępcę dyrektora CIA do spraw planowania operacji. W tym słusznym dziele pomagał mu cały zespół pracowników CIA na czele z Williamem Kingiem Harveyem, legendarnym szefem misji CIA w Berlinie Zachodnim, i Sidneyem Gottliebem, chemikiem przygotowującym trucizny. To właśnie ten ostatni stał się świadkiem komisji kongresu i za nietykalność zgodził się zeznawać o próbach zamachu na Castro.

Barbra wraca na Kubę

Zabicie Castro nie było najbardziej szalonym z pomysłów, na jakie wpadł amerykański wywiad. Zaraz po ataku Japonii na USA bardzo poważnie rozważano koncepcję „zrzucenia” z bombowców nad Tokio tysięcy nietoperzy, gdyż decydenci byli przekonani, że Japończycy boją się tego sympatycznego zwierzaka i to podkopie ich morale. Plan zarzucono z powodów technicznych. Z kolei w 1944

roku wywiad wojskowy wpadł na pomysł, że dokonają desantu spadochronowego na Rzym. Jednak uczestniczyć w nim mieli nie komandosi, ale zarażone chorobami wenerycznymi prostytutki. Miała być to taka swoista broń biologiczna. Gdy już wszystko było na dobrej drodze, panie lekkich obyczajów wyszkolone w skokach spadochronowych zażądały, aby w akcji brał udział również ich alfonsi. Ktoś przytomny w dowództwie uznał wtedy, że granice śmieszności zostały jednak przekroczone.

Próby zabicia Castro były równie barwne. Proponowano, aby podczas przemówienia telewizyjnego rozpylić środek odurzający, po którym Fidel miał się dziwnie zachowywać, a tym samym skompromitować. Zaproponowano również, aby podać mu tal, co spowoduje, że wyłysieje

i przestanie bez brody i włosów być atrakcyjny dla Kubańczyków. Oczywiście klasycznie próbowano go otruć za pomocą jedzenia, w tym uwielbianych przez niego lodów, oraz poprzez nawilżenie jego ulubionych cygar zabójczą trucizną. Żadna z tych akcji nie powiodła się, a większość w ogóle nie była realizowana.

Największy problem stanowiło dotarcie do odpowiednich ludzi na wyspie.

CIA nie posiadała tam znaczącej agentury, przede wszystkim takiej, która miałaby łatwy dostęp do Castro. Wtedy właśnie zrodził się plan, aby do zabicia Fidela wykorzystać mafię. Miało to kilka plusów i jeden minus. Mafia dysponowała ludźmi rozsianymi po całej wyspie, mafijni bossowie mieli własne porachunki z Castro, który pozbawił ich własności w postaci hoteli i kasyn; posiadali w swoim gronie wyspecjalizowanych zabójców; rząd amerykański mógłby bardzo łatwo odciąć się od tej operacji i byłoby to bardzo wiarygodne. Minusem zaś było to, że cała akcja przy pomocy przestępców była niemoralna od początku do końca.

Nie o moralności myśleli jednak ludzie z CIA i skontaktowali się z takimi tuzami przestępczego podziemia jak Johnny Roselli, Sam Giancana, Carlos Marcello, Santo Trafficante Jr., i Meyer Lansky. Bissell wyobrażał sobie akcję w stylu filmów z lat 30 XX wieku. Uzbrojone bandziory w samochodzie podjeżdżają do Fidela i jego ochrony i seriami z karabinów maszynowych rozwiązują problem. Mafiosi byli jednak większymi realistami i zaproponowali, aby jednak skupić się na mniej widowiskowych akcjach i Fidela po prostu otruć.

Mieli za to otrzymać od rządu 150 tys. dolarów.

Rozpoczęły się poszukiwania odpowiedniej osoby do przeprowadzenia tej akcji. Na początku wytypowano pewnego kelnera związanego wcześniej z mafią, ale otrucie się nie powiodło. Wtedy ktoś przypomniał sobie o kolumbijskiej piękności, która posiadała jeszcze ten atut, że jako nastolatka przyjaźniła się z Fidelem. Bardzo szybko odszukano ją w Bogocie i zaproponowano znaczną sumę pieniędzy. Barbara nie zastanawiała się długo. Pamiętała o nieskutecznych próbach kontaktu z Castro i czuła się tym upokorzona. Kobieta uzyskała pomoc od mafii na Kubie i dzięki ich pieniądзом mogła skończyć wymarzone studia z historii sztuki.

Plan był zasadniczo prosty. Mając w życiorysie kartę rewolucyjną – pracowała wszakże dla Kubanczyków w urzędzie pocztowym podczas przewrotu – mogła dość łatwo wystarać się o wizę. W tym celu udała się do

ambasady i przedstawiła się jako dziennikarka ultralewicowego pisma kolumbijskiego, która chce przygotować serię reportaży. Jak zakładano, konsul nie robił żadnych problemów. Następnie Barbra udała się na Kubę wprost do Hawany.

Tam często przesiadywała w restauracji, która uchodziła za ulubioną Fidela Castro. Była cały czas monitorowana przez tajną policję, a jej pracownicy w całości byli jej informatorami. Jednak Kolumbijka nie wzbudzała większego zainteresowania. Została sprawdzona, a jej pochodzenie i historia potwierdzały, że jest zwolenniczką komunistów. Teraz przyszło czekać na odpowiedni moment.

Nadszedł on po trzech tygodniach pobytu. Kawalkada samochodów zatrzymała się przed wejściem do restauracji. Z jednego z nich wyszedł Castro w obstawie ochrony. Od razu zauważył siedzącą w restauracyjnym ogródku piękność. Jej wygląd kogoś mu przypominał i gdy starał to sobie przypomnieć, kobieta uśmiechnęła się i wykrzyknęła w kierunku dyktatora: – Fidel, to ty, kochany? Castro już skojarzył. To była ta sama kobieta, którą wiele lat wcześniej poznał w Bogocie. Rzucili się sobie w ramiona, a Fidel zapytał, czy może się dosiąść. Rozmawiali kilka godzin i Barbra opowiedziała mu m.in. o nieskutecznych próbach nawiązania kontaktu podczas pierwszych dni rewolucji. Fidel bardzo ją przeproszał, kłamiąc, że nie wiedział, że jest ona na wyspie. Barbra uznała, że musi mu się przyznać do pracy w kasynie, z powodu strasznej sytuacji finansowej, ale zapewniła go, że nigdy się nie prostytuowała. Fidel musiał iść, ale na odchodne zapytał, gdzie się zatrzymała. Następnie wymienili pocałunki w policzki i się rozstali. Chwilę później kawalkada rządowych wozów zniknęła za rogiem tak szybko, jak się pojawiła.

Barbra była zdruzgotana. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Nawet nie umówili się na następne spotkanie. Jeżeli będzie tu następnym razem, kiedy Fidel się pojawi, może wzbudzić zainteresowanie jego ochrony. Akcja na tym etapie wydała się zakończona. Gdy wstała i zapłaciła rachunek, podszedł do niej wysoki i barczysty mężczyzna. Rozpoznała go jako człowieka z ochrony Fidela.

Przestraszyła się. Czy została zdekonspirowana? Strach ma jednak wielkie oczy.

Mężczyzna powiedział, że życzeniem komendanta jest, by przeprowadziła się ze swojego małego i brudnego hotelu do jednej z willi należących do

państwa kubańskiego, a skonfiskowanych urzędnikowi poprzedniego reżimu. Jechali samochodem kilkanaście minut, krętymi uliczkami starej Hawany. Na miejscu zauważyła, że jej rzeczy zostały już przewiezione z hotelu. Choć willa również nie przedstawiała okazji czystości i doskonałości, to jednak była o wiele lepsza niż jej poprzednie lokum. Umiejscowiona była na wzgórzu, skąd rozpościerał się cudowny widok na miasto. Późnym wieczorem usłyszała podjeżdżające samochody. To był Fidel. Tej nocy zostali kochankami.

W następnych dwóch tygodniach Castro pojawiał się każdej nocy, ale Barbra czuła się jak w więzieniu. Nie mogła nigdzie wychodzić i całe dni spędzała opalając się, pływając w basenie czy czytając książki. Trucizny nie miała przy sobie. Była przekonana, że przeszukano jej bagaż. Musiała wyjść do miasta i to przynajmniej dwa razy. Po raz pierwszy, by zostawić wiadomość, po raz drugi, by odebrać ampułkę i dodać jej zawartość do drinka dyktatora. Trucizna miała zadziałać za czterdzieści osiem godzin. Ona w tym czasie miała już zostać ewakuowana z wyspy.

Nie mogąc ruszyć się z miejsca, wpadła na pomysł i powiedziała ochroniarzowi, aby zrobił dla niej zakupy, gdyż tej nocy chce przygotować kolację dla Fidela. Nie był szczęśliwy z tej propozycji. Lista produktów była długa, a on nie chciał wykonywać babskiej roboty. zaproponował, że pojedą oboje do miasta.

Barbra stwierdziła, że musi pojechać na rynek, skąd było niedaleko do miejsca, gdzie miała zrobić wyznaczony znak. Na rynku jednak ochroniarz nadal jej nie odstępował. Byli tam już ponad godzinę. Sytuacja wydawała się patowa. Jednak pomysłowość Barbry zwyciężyła. W pewnym momencie poinformowała swojego stróża, że musi udać się do toalety. Najbliższa była zaniedbana, więc ruszyli w kierunku hotelu, a to właśnie miał być znak dla spiskowców. Gdy weszła do środka, ochroniarz został na zewnątrz. Wychodząc, pozostawiła szminką znak w ustalonym miejscu. Stwierdziła jedynie, że musi wrócić do hotelu za kilka godzin, gdyż zamówiła kilka butelek wina, które mają być do odebrania w hotelowym lobby.

Wieczorem ponownie pojechali do miasta. W holu czekał już mężczyzna z czerwoną chusteczką w kieszeni białej marynarki. Podszedł do niej i zapytał o godzinę. W tym momencie niepostrzeżenie przekazał jej flakonik z trucizną.

Barbra wróciła i przygotowała kolację. Castro opierał się, najpierw chciał

pójść do łóżka, ale dał się wreszcie przekonać i zasiedli do późnej kolacji.

Po podaniu trucizny w alkoholu Barbra miała uciec z willi i w ciągu kilkunastu godzin pojawić się w ustalonym miejscu na wybrzeżu. Nigdy tam nie dotarła, a Fidel, zdrowy jak zawsze, nadal krwawo rządził swoim karaibskim państwkiem. Gdy Frank Church, przewodniczący senackiej komisji badającej działania CIA, słuchał o próbach zabicia Castro, nigdy nie dowiedział się o młodej, pięknej Kolumbijce, która za pieniądze rządowe, przekazane mafii, miała odwagę wejść do paszczy lwa i próbować go zgładzić. Barbra zaginęła w odmętach historii jak wielu przed nią i wielu po niej. Stała się kolejną, anonimową ofiarą zimnej wojny.

ROZDZIAŁ VIII

Szpiegowskie „żony”

Kobiety, podobnie jak mężczyźni, doskonale nadają się do zawodu szpiega, a czasem nawet bardziej. Mata Hari, właściwie Margaretha Geertruida McLeod z domu Zelle, sławna, ale nieco przereklamowana, jest doskonałym tego przykładem. Annały historii służb znają dziesiątki przykładów, kiedy to kobieta była sprawcą działań wywiadowczych, ich inspiratorem i wykonawcą. Grając rolę żon, przyjaciółek, sekretarek, niewinnych dziewcząt z dobrych domów, wykradały polityczne i militarne sekrety innych państw.

Ci z Czytelników, którzy interesują się tematyką służb specjalnych, znają zapewne serial „The Americans”. Jest to opowieść o, na pierwszy rzut oka, normalnej rodzinie Amerykanów mieszkających pod Waszyngtonem. Prowadzą przeciętne życie, wychowując dwójkę dzieci i starając się związać koniec z końcem, sprzedając wycieczki w swoim biurze turystycznym. Normalni są jednak tylko dla wszystkich innych, w rzeczywistości to małżeńska para nielegalnych agentów sowieckich, których zadaniem jest wspomoczenie działalności KGB. Fikcja? Skądże znowu. Dla KGB, a obecnie SWR co roku szkolone są nowe roczniki oficerów, których jedynym zadaniem jest przeniknięcie do obcego państwa, zamieszkanie tam pod fikcyjnym nazwiskiem i udajac normalnego obywatela, rozpoczęcie działalności szpiegowskiej.

Jest to coraz trudniejszy chleb. Nowoczesne technologie kontroli, w które jest już wyposażony praktycznie cały świat, skutecznie utrudniają działalność agentom nielegalnym. My sami nie zdajemy sobie sprawy, jak łatwo jest nas inwigilować. Deklaracje podatkowe, dowody osobiste, paszporty, konta bankowe, elektroniczne bazy danych wszelkiego rodzaju, to utrudnia stworzenie nowej tożsamości. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że „przykrywka” okaże się niewystarczająca. Przy tego typu problemach nie znaczy to w ogóle, że próby nie są podejmowane. Ktoś może pomyśleć, że nielegalowie to

była domena zimnej wojny i czasów międzywojennych, nic bardziej mylnego.

Małżeństwa nielegalistów

W styczniu 2013 roku światowe media informowały o rozpoczynającym się procesie Andreasa i Heidrun Anschlag. Było to małżeństwo posługujące się paszportami austriackimi, mieszkające na stałe w Hesji i Badenii-Wirtembergii.

Największym zmartwieniem sądu było to, że tak naprawdę nie wiedział, kogo sądzi. Małżeństwo Anschlag faktycznie nie istniało. Kim więc są ci ludzie, którzy zasiedli na ławie oskarżonych? Do dziś tego nikt nie wie. Wiadomo jedynie, że przez dwadzieścia lat szpiegowali oni dla Rosji. Do Niemiec przyjechali pod koniec lat 80. Przedstawiając się jako austriaccy emigranci. Posiadali jedną córkę i prowadzili spokojne, mieszczańskie życie jak wielu innych porządnych niemieckich mieszczan. Uczęszczali do kościoła, w niedzielne popołudnia wychodzili do piwiarni. Po ich aresztowaniu okoliczni mieszkańcy, w tym znajomi pary, byli wstrząśnięci. Nigdy nie podejrzewali swoich sąsiadów nawet o kradzież jabłka z przydomowego sadu. Byli kochającą się parą – taką dobrą dla dzieci i zwierząt – powiedziała osoba ich znająca. Nigdy się nie kłócili i prowadzili w sumie proste, w miarę dostatnie życie. Wydaje się, że sami byli również dość prości, gdyż Heidrun do kontaktów z wywiadem rosyjskim wybrała sobie kryptonim „alpejska krowa 1”.

W trakcie swojej działalności szpiegowskiej otrzymali kilkaset tysięcy euro.

Średnio sto tysięcy rocznie. Z tej zarobionej kwoty udało im się odłożyć na tyle skutecznie, że fiskus i kontrwywiad nie znalazły aż siedmiuset tysięcy. Oczywiście Andreas i Heidrun odmówili wyjawienia jakichkolwiek szczegółów. Ponieważ zostali skazani na dość niskie wyroki: on na sześć i pół roku, ona o rok mniej, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że będą się mogli cieszyć na starość ze zgromadzonego majątku.

Za co otrzymali takie bająnskie sumy? Otóż wprowadzili do holenderskiego ministerstwa spraw zagranicznych „kreta”, który

dostarczył im tysiące tajnych dokumentów politycznych i wojskowych, nie tylko holenderskich, ale także pochodzących z NATO i UE. Swojemu szpiegowi mieli wypłacić jednak dość skromną sumkę siedemdziesięciu dwóch tysięcy euro. Na bentleya to nie wystarczy. Jak przystało na szpiegów, posługiwali się klasycznymi metodami tajnych znaków i ukrytych skrzynek kontaktowych. Wykorzystywali także nowoczesne zdobycze techniki, jak łączność satelitarną czy zaszyfrowane komentarze na relacjach z meczów piłki nożnej zamieszczane na YouTube. Dokumenty magazynowali na pendrive'ach i zakopywali w różnych dziurach, wkładali pod kamienie czy obluzowane cegły. Stamtąd odbierali je oficerowie SWR z konsulatu w Bonn. Wpadli, bo amerykańskie służby wywiadu elektronicznego monitorują wszystko i wszystkich, rozkodowali więc tajną łączność pary nielegalistów i poinformowali o tym sojusznicy Niemcy. Sąd podczas posiedzenia stwierdził dość górnolotnie, „że szpiegzy zapewniali Rosji wgląd w niemiecką duszę”.

Celebrytka Putina

Amerykanie wiele potrafią, jeśli się postarają. Trzy lata przed skazaniem małżeństwa Anschlag odesłali do Matuszki Rasii jedenastu rosyjskich szpiegów.

Pośród nich była niejaka Anna Chapman z domu Anna Wasiljewna Kuszczenko.

Była córką najprawdopodobniej oficera KGB i postanowiła pójść w ślady ojca.

Miała stać się agentem nielegalnym w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Jej rosyjscy zwierzchnicy wymyśli najprostszą formę „zalegendowania” – małżeństwo. Ponieważ Anna jest naprawdę piękną kobietą, nie musiała długo szukać odpowiedniego partnera. A że nie wyjawiała mu wszystkich sekretów? Co z tego, nie od dziś wiadomo, że kobiety są tajemnicze.

Gdy rozpoczynała swoją karierę szpiegowską, miała tylko dwadzieścia jeden lat. Pojechała do Londynu, jeszcze na rosyjskim paszporcie, i szybko znalazła sobie męża w osobie Alexa Chapmana, wybijającego się menedżera w jednej z firm w City. Szybko pobrali się w Moskwie i do swojego rosyjskiego paszportu dołączyła brytyjski. Jako poddana królowej była już

Europejką pełną gębą, jak to się mówi. Jej zadaniem nie było jednak szpiegowanie stetryczalnych gentlemanów z Foreign Office, jej ambicje sięgały Ameryki. Pojawiła się tam w 2009 roku i od razu przystąpiła do szpiegowskiej działalności. Jako przykrywki używała firmy obrotu nieruchomościami o skali globalnej i szwendała się na różnorodne party i koktajle, podsłuchując, co mówią inni i zbierając strzępki informacji o tym, co się dzieje w światowym biznesie. Jej działalność była jednak na tyle nieudolna, że FBI szybko ją wytropiło i używając prowokacji, zaproponowało lewy paszport. Anna oczywiście go przyjęła, po czym zadzwoniła do tatusia kagiebisty, pytając, czy dobrze zrobiła. Weteran służb, jak można mniemać, nie był wniebowzięty poczynaniami swojej latorośli i kazał natychmiast oddać paszport. Anna poszła na posterunek policji, opowiedziała łzawą historię, jak to ją biedną zmanipulowano i przymuszono do przyjęcia paszportu. Oficer policji nowojorskiej wszystko skrzętnie zanotował i z poczuciem ulgi Anna opuściła posterunek. Tylko na chwilę jednak. Wkrótce kilku panów pozbawionych poczucia humoru aresztowało ją. FBI mogło poszczycić się niemałym sukcesem, gdyż łącznie w tym okresie wytropiło jeszcze dziesięciu rosyjskich nielegalów. Wszystkich zapakowano w samolot i w ramach największej od 1986 roku akcji wymieniono na szpiegów amerykańskich odsiadujących kary w rosyjskich więzieniach.

Ale tak naprawdę złoty czas dla Anny nastąpił, gdy już wylądowała w Moskwie. SWR nie bardzo miał się czym chwalić w związku z dekonspiracją swojej siatki, więc postanowił zrobić z Chapman gwiazdę mediów. Kilka tygodni po powrocie Anna praktycznie nie wychodziła ze studiów telewizyjnych, redakcji gazet i czasopism. Zrobiła sobie nagie zdjęcia do jednego z międzynarodowych magazynów oraz wstąpiła do młodzieżówki partyjnej popierającej Putina. Zresztą plotkowano w Moskwie, że jurny prezydent Rosji, co to niedźwiedzom się nie kłania, a jak pływa, to odnajduje starożytnie wazy, został jej kochankiem. Ona sama założyła fundację, podróżowała w celach pokojowych do Armenii i Górskiego Karabachu. Azerbejdżan ominęła, gdyż władze w Baku uznały ją za persona non grata. W Rosji pozostawała gwiazdą, co jest dowodem na to, że w tym kraju, nawet nieudolny szpieg może się wybić.

Rodzinny biznes

Szpiegostwo może być znakomitym sposobem podreperowania domowego budżetu. Oczywiście do czasu, ale wszyscy szpiedzy optymistycznie zakładają, że nie zostaną ujęci i przechytrzą system wywiadowczy państwa. Do takich należał chociażby Harold James Nicholson, najwyższy rangą oficer CIA, który przeszedł na stronę Rosjan. Rozwiódł się z żoną, a ona nadal robiła mu ciągle wyrzuty i wymówki o brak pieniędzy i nieinteresowanie się dziećmi. Gdy już odzyskała wolność, trochę – jak to się mówi w języku młodzieży – odjechała. Postanowiła, że skoro tak wcześniej wyszła za mąż, teraz musi odreagować. Stała się więc trochę podstarzałym dzieckiem-kwiatem i uwierzyła zupełnie na serio w New Age.

Pomieszkiwała w jakichś ruinkach, komunach hippisowskich i tym podobnych miejscach charakterystycznych dla różnego rodzaju wykolejonych elementów lewackich. Sytuacja stała się na tyle niebezpieczna, że trójkę dzieci postanowiono oddać pod opiekę ojca. Jak wiadomo, osoby typu żony Nicholson są jak huba na drzewie i wyciągać będą z niego soki, dopóki nie złamie się i nie umrze. Tak właśnie było w tym przypadku. Oficer CIA nie tylko musiał utrzymywać dzieci i siebie, ale także była żoną, domagającą się notorycznie alimentów, jako że skłonna nie była do podjęcia jakiegokolwiek rozsądnej pracy, włączając w to również sprzedaż magicznych świeczek.

Nicholson jedyne, co mógł spieniężyć, to tajemnice. Do CIA dołączył w 1980 roku, na fali nowych rekrutacji do walki z komunistycznym zagrożeniem, jakie postanowił zwalczać Ronald Reagan. Według FBI został zwerbowany w Malezji na początku lat 90. XX wieku, gdy pełnił obowiązki zastępcy szefa misji i miał pozwolenie na kontaktowanie się z oficerami rosyjskich specsłużb. Ponieważ jego kariera podwójnego szpiega rozwijała się w zawrotnym tempie – był w Bukareszcie, Bangkoku, Tokio, a wreszcie wylądował w ośrodku szkoleniowym CIA znanym jako „farma” – posiadał niebagatelną wiedzę nie tylko na temat funkcjonowania samej organizacji i prowadzonych przez nią działań, ale wydał SWR setki nazwisk początkujących adeptów sztuki wywiadu, których kształcił. Do swojej pensji dorobił kilkaset tysięcy dolarów, co było dość marną gratyfikacją w porównaniu z takim Aldrichem Amesem. Z drugiej strony było to na tyle dużo, że mógł swoim dzieciom zapewnić dobre życie i opłacić uczelnie. Gdy

wpadł w 1996 roku, władze skonfiskowały mu cały majątek, wraz z łóżkiem do spania.

Dzieci zostały z długami, a Nicholson z wyrokiem dwudziestu trzech lat więzienia.

Bardzo się martwił sytuacją materialną swoich dzieci. Kredyty na studia były niespłacone, rodzeństwo mieszkało raczej w podłych warunkach, bez szans na lepszą przyszłość. Nicholson był jednak troskliwym ojcem. Podczas swojej działalności szpiegowskiej nie udało mu się wydać wszystkich sekretów, więc namówił swojego najmłodszego syna Nathaniela, aby ten dostarczył SWR kolejne, spisane przez ojca tajne informacje. Ten, nie namyślając się wcale, podjął się działalności szpiegowskiej. Trwała ona cztery lata, nim pod koniec 2008 roku został aresztowany. Przyznać trzeba, że Rosjanie raczej skąpili gotówki uwięzionemu szpiegowi i jego rodzinie. Prokuratorzy doliczyli się raptem czterdziestu siedmiu tysięcy dolarów wynagrodzenia przez cztery lata, co daje niecały tysiąc dolarów miesięcznie. Kwota śmiesznie mała, ale jak wiadomo, dla potrzebującego każdy grosz się liczy. Tatuś za tę ekwilibrystkę szpiegowską dostał kolejne osiem lat i może zapomnieć o wcześniejszym wyjściu na wolność.

Ukochany syn dostał tylko pięć lat w zawieszeniu, co było nagrodą za współpracę z organami ścigania. Jak można było podejrzewać, matka rodzeństwa nie była zainteresowana pomocą którejkolwiek ze swoich pociech. Pewnie Nicholson znowu będzie musiał coś wymyślić.

Aby trochę dorobić i uzyskać znaczne kwoty dzięki szpiegostwu i to dla kilku organizacji, dekadę przed Nicholsonem wpadła inna rodzina. Horst Gasde był Niemcem z NRD, zakochanym w Chinach i chińskim języku. W ramach wymiany studenckiej władze wschodnioniemieckie postanowiły wysłać go do Pekinu, aby szlifował tam język. Przed wyjazdem postanowiono zrobić z niego agenta STASI, gdyż informacje z Państwa Środka szczególnie interesowały sowieckich towarzyszy. Był to okres napięć w obozie komunistycznym i oba państwa szpiegowały się na potęgę. Horst oczywiście dostępu do jakichś supertajnych dokumentów nie miał, ale zawsze to jeden szpieg więcej, który mógł znosić uczelniane ploteczki i opisywać klimat ogólny chińskiego państwa.

Będąc na miejscu, tak zakochany w tym kraju, znalazł sobie również chińską dziewczynę Hu Simeng. Wkrótce ich miłość eksplodowała. Trzydziestoletnia dziewczyna – Hu studiowała języki państw Europy

Zachodniej i marzyła, aby wreszcie wyrwać się z chodzenia w obowiązkowych drelichach robotniczych. Para szybko zawarła związek małżeński i niebawem wyjechali z powrotem do Niemiec, by osiąść w Berlinie Wschodnim. Nic nie wiadomo na temat sukcesów wywiadowczych Horsta, faktem jest jednak, że chińskie służby wywiadowcze przed wyjazdem – co było spodziewanym warunkiem – zwerbowały Hu do współpracy. Miała ona podobne zadania jak Horst, tylko że w kraju męża.

Na miejscu, do małżeństwa zgłosili się agenci STASI i wprost zaproponowali młodej Chince pracę dla ich resortu. Co było robić? Hu oczywiście propozycję przyjęła i od tej pory była agentką już dwóch wywiadów. Oboje z punktu widzenia służb byli cennymi nabytkami. On wykładał dla zagranicznych studentów, mogących być potencjalnymi kandydatami do werbunku, ona z kolei uczyła chińskiego niemieckich dyplomatów i dyrektorów fabryk.

Gdyby tylko ich działalność ograniczyła się do tego, pozostałoby zapewne jedną z dziesiątków tysięcy par donosicieli. Ale STASI miało wobec nich większe plany. Hu miała wyjeżdżać do Berlina Zachodniego, aby stać się wabikiem dla zachodnich służb specjalnych. Zgodnie z przewidywaniami tak się stało. Na jej trop wpadła CIA i nie mogła sobie darować, aby nie zwerbować do pracy Chinki z wschodniemieckim obywatelstwem. Oczywiście Hu przyznała się, że pracuje i dla Niemców, i dla Chińczyków, co tylko zmotywowało Amerykanów, aby prowadzić grę operacyjną i dezinformować przeciwnika. Hu i Horst żyli od tej pory bardziej dostatnio. Otrzymywali wypłaty w dolarach, markach i juanach.

Powodziło im się zdecydowanie lepiej niż dobrze. Biznes popsuł upadek Muru Berlińskiego, ujawnione akta wskazywały, że małżeństwo prowadziło potrójną grę szpiegowską i zachowało do końca zimne nerwy, wprowadzając w błąd trzy służby specjalne, uchodzące za jedne z najlepszych na świecie. Nie trzeba dodawać, że „boczne” przychody się skończyły.

Nicholson czy niemiecko-chińskie małżeństwo to gracze drugoligowi w porównaniu z człowiekiem, który założył własne, rodzinne przedsiębiorstwo szpiegowskie.

John Walker, Jr. urodził się w 1937 roku i jak większość członków swojej rodziny, został oficerem US Navy. Do marynarki wstąpił w 1955 roku i pełnił służbę na dwóch okrętach podwodnych o atomowym napędzie. Był

wyszkolonym łącznościowcem, więc nieobce były mu szyfry i książki kodowe amerykańskiej floty. Sprawował się na tyle dobrze, że został zastępcą dyrektora szkoły łączności w Morskim Ośrodku Szkoleniowym w San Diego. Z punktu widzenia Rosjan był kluczową postacią w dostępie do amerykańskich środków łączności floty wojennej.

Pewnego dnia John miał spełnić to marzenie. Niezauważony przez podobno czujną obserwację FBI, wszedł do sowieckiej ambasady w Waszyngtonie. Był rok 1967.

Od tego czasu dostarczył, według źródeł biura, ponad milion różnego rodzaju dokumentów, w tym książkę kodową, która pozwalała rozszyfrować wszystkie depesze okrętów amerykańskich.

Prawie dziesięć lat później przeszedł na emeryturę i założył agencję detektywistyczną. Prowadził także restaurację i pub, zakupione za otrzymane od KGB pieniądze. Nabył również dwa jachty i samolot. Uchodził za człowieka sukcesu, który zdobył majątek ciężką pracą. Jednak jak zwykle w tego typu sytuacjach, pieniądze szybko się rozchodziły, a źródło tajnych informacji wyschło.

John miał jednak na podorędziu kolejny, błyskotliwy patent. Jego brat Artur, również oficer marynarki, obsługujący sonary na łodziach podwodnych, po odejściu ze służby zaczął pracować w VSE Company, firmie zbrojeniowej pracującej dla US Navy. W 1980 roku zwerbował więc brata, który od tej pory wynosił wszystkie godne uwagi dokumenty, w tym raport o awariach łodzi podwodnych i desantowych.

Jednak Johnowi cały czas było mało. Postanowił więc zainwestować w syna i córkę. Oboje wysłał do szkoły marynarki wojennej. Laura jednak zakochała się w jakimś przystojnym marynarzu, zaszła w ciążę i w konsekwencji musiała odejść z marynarki. Ojciec był wściekły. Namawiał ją, by usunęła ciążę i powróciła do „swych obowiązków”. Miłość zwyciężyła i kolejne planowane źródło informacji wyschło. Zdecydowanie lepiej poszło jednak jego synowi Michaelowi.

W 1982 roku, przynaglany przez ojca, wstąpił do wojska i został skierowany na lotniskowiec USS America. Zaraz po powrocie zameldował, że przez jego ręce przechodzą tajne dokumenty. Ojciec zaoferował mu stałą pracę u siebie w „firmie”

i płacił każdorazowo od tysiąca do pięciu tysięcy dolarów. Nauczył syna wykonywania mikrofotografii, tajnych sztuczek szpiegowskich i wszystkiego

tego, co dobremu szpiegowi jest potrzebne, by wytrwać.

Jak na ogół w tego typu sytuacjach bywa, musi pojawić się kobieta, która wszystko zepsuje. Tą była Barbara, żona Johna. Rozwiedli się w 1976 roku, a ich małżeństwo trudno nazwać udanym. Pełne było przemocy, alkoholu i zrad.

Barbara piła bardzo dużo, wdała się w romans z bratem męża, Arturem. On nie pozostawał jej dłużny, romansując często z o wiele młodszymi kobietami. Rozwód nie byłby problemem, gdyby nie to, że żona od początku uczestniczyła w szpiegowskim procederze i miała o nim olbrzymią wiedzę. Sytuację pogorszyło odmówienie przez Johna dalszego płacenia jej alimentów, które – jak to zwykle w tego typu sytuacjach – zawsze były za małe. John przekonany, że nikt nie uwierzy byłej żonie, notorycznej pijaczce, zlekceważył całą sprawę. Barbara postanowiła się zemścić i poinformować FBI. Problem w tym, że zawsze, gdy do nich dzwoniła, była kompletnie pijana. Podczas jednej z rozmów telefonicznych wyznała agentowi:

– Mój lolrz jest soszyjski szpiegiem.

– Zimnym śniegiem? – zapytał zaskoczony agent.

– Soszyjskim szpiegiem! – krzyczała do słuchawki.

– Proszę się uspokoić – odpowiedział spokojnie agent – i zadzwonić, jak pani wytrzeźwieje.

Takie próby kontaktu pojawiały się jeszcze kilka razy i FBI dla świętego spokoju uznała, że trzeba przesłuchać tę natarczywą kobietę. Nie udało się tego zrobić, kiedy była trzeźwa, ale informacje przez nią udzielone były na tyle interesujące, że postanowiono je sprawdzić. Podczas przesłuchania córki, zdruzgotanej tym, że jej ojciec chciał zabić jej dziecko i własnego wnuka, Laura przyznała, że John jest sowieckim szpiegiem. Był 1985 rok. Jego działalność trwała już nieprzerwanie od osiemnastu lat. W ten czy inny sposób włączona w rodzinny biznes była cała rodzina. Skazano jednak tylko trójkę. John otrzymał dożywocie.

Zmarł w więzieniu w 2014 roku. Syn Michael otrzymał 25 lat pozbawienia wolności, brat Artur został potraktowany najłagodniej: 3 lata i dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów grzywny. Barbara zapijała się dalej. Miała niezły powód. Wysłała za kraty swojego byłego męża, kochanka i syna. Niezły sukces!

Fikcyjna żona

Jelena Modżyńska była z pochodzenia Polką, choć w przypadku komunistów nie jest to takie jasne, gdyż jak wiadomo, bolszewik nie ma narodowości, bolszewik ma Lenina w klapie. Jej rodzina dobrze przysłużyła się Rzeczypospolitej.

Walczyli w wojnach napoleońskich i w powstaniu styczniowym. Jelena nie poszła jednak w ślady swoich dziadów i ojców. Urodzona w 1910 roku w Moskwie, miała siedem lat, gdy wybuchła rewolucja. Najwyraźniej wydarzenia spodobały się jej na tyle, że postanowiła duchem i ciałem wesprzeć światową rewolucję. W 1930 roku ukończyła Uniwersytet Moskiewski i poprzez pracę w Komsomolskiej Prawdzie i Wszechrosyjskim Towarzystwie Stosunków Kulturalnych z Zagranicą trafiła na stanowiska kierownicze w Narkomacie (Ministerstwie) Handlu Wewnętrznego.

Jedyne, co wyniosła z domu rodzinnego, to znajomość języków obcych. Ojciec ciągle jej powtarzał, że trzeba znać języki swoich wrogów. Uczyła się więc pilnie niemieckiego, francuskiego i angielskiego. W 1937 roku nastąpiły wielkie czystki stalinowskie, które objęły również pracowników wywiadu cywilnego i wojskowego. W tej sytuacji „na gwałt” potrzebne były nowe wykształcone kadry, najlepiej spośród członków Komsomołu, wszystko zawdzięczających władzy robotniczej. Jako lingwistka, posługująca się kilkoma językami, w 1937 roku zwróciła uwagę werbowników z NKWD. Szybko pięła się po szczeblach czekistowskiej struktury, dochodząc do funkcji zastępcy naczelnika jednego z wydziałów administracyjnych.

Jednak prawdziwą karierę szpiegowską rozpoczęła w listopadzie 1940 roku, skierowana do Warszawy.

Po upadku Polski w 1939 roku w Warszawie, przestała funkcjonować ambasada sowiecka. Niemcy zgodzili się, aby funkcjonowało jedynie przedstawicielstwo do spraw sowieckich nieruchomości na terenie byłej Rzeczypospolitej. Personel ograniczyli tylko do jednej osoby. Kierownictwo komunistycznych służb znalazło sposób obejścia tej restrykcji i na rezydenta powołało Piotra Gudimowicza, który przybył do Warszawy wraz z młodą atrakcyjną „żoną” – Jeleną Modżyńską. Niemcy nie mogli odmówić. Praktyka dyplomatyczna jest taka, że pracownicy podobnych instytucji mogą przebywać w kraju wraz ze swoją rodziną. Dziś trudno jest ostatecznie stwierdzić, czy związek małżeński został faktycznie zawarty, czy była to

tylko administracyjna fikcja.

Jednak para, jeżeli się nie kochała naprawdę, to przynajmniej bardzo się lubiła. Ich losy połączyły się na kilka następnych lat.

Zadaniem małżeństwa oprócz rutynowych prac dyplomatycznych i zabezpieczenia majątku była działalność wywiadowcza skierowana na penetrację niemieckich zamierzeń militarnych. Jednak nie były to jedyne cele sowieckich szpiegów.

Próbowali oni, z niemałymi sukcesami, nawiązać kontakty z pozostałymi przy życiu członkami rozwiązanej Komunistycznej Partii Polski oraz infiltracji tworzących się struktur ZWZ/AK. W tym celu dochodziło do spotkań z szefami warszawskiego gestapo i policji.

Nie jest już tajemnicą, że zarówno główna działalność polskich, jak i sowieckich komunistów była skierowana przede wszystkim na dekonspirację polskich struktur podziemnych. Nazywani białofaszystami, nacjonalistami itp.

żołnierze AK notorycznie byli zdradzani przez działaczy PPR, Armii Ludowej czy sowieckich oficerów NKWD i SMIERSZA. Komuniści wychodzili w sumie ze słusznego założenia, że hitlerowcami zajmie się Armia Czerwona, oni za to muszą działać na rzecz zdziesiątkowania konkurencji politycznej.

„Małżeństwo” było aktywne na wielu polach wywiadowczych, w tym odnieśli niemałe sukcesy w zdobywaniu informacji o zbliżającej się ofensywie niemieckiej na ZSRS. W kwietniu 1941 roku oboje udali się do Moskwy, gdzie Gudimowicz opracował szczegółowy raport na temat planów Hitlera, dostarczony następnie samemu Stalinowi, a Modżyńska weszła w skład połączonego zespołu GRU i NKWD do spraw analiz dotychczas przesłanych raportów wywiadowczych.

Koniec działalności pary szpiegowskiej nastąpił w czerwcu 1941 roku.

Oboje zostali internowani i przewiezieni do Berlina, a następnie wymienieni na obywateli niemieckich uwięzionych w Sowietach. Po powrocie do Moskwy Jelena została szefem wydziału analitycznego, a następnie skierowana na kierunek brytyjski, gdzie zajmowała się analizą działań polskich władz na uchodźstwie. Po wojnie doktoryzowała się z krytyki antykomunizmu w Instytucie Filozofii Sowieckiej Akademii Nauk. Umarła jako profesor od zwalczania antykomunizmu w 1982 roku.

Wierna/niewierna

Donald Maclean w kilku miejscach był już opisywany w tej książce. Należał do tak zwanej „Piątki z Cambridge”, siatki sowieckich szpiegów. Został zwerbowany przez Anthony’ego Blunta i Guya Burgessa. „Odciał” się od partii komunistycznej i rozpoczął karierę zawodową w ministerstwie spraw zagranicznych. Był przystojnym mężczyzną o skłonnościach biseksualnych. Istotną rolę w jego życiu szpiegowskim odgrywała jego żona Melinda Marling. Była Amerykanką i pochodziła z Chicago, jej rodzice rozwiedli się, a matka przeniosła się wraz córką do Europy. Tu uczyła się w szkole średniej, by na chwilę powrócić do Nowego Jorku. Jako uniwersytet, w jakim chciała studiować, wybrała Sorbonę i literaturę francuską. W tym czasie Donald pełnił niską funkcję trzeciego sekretarza w ambasadzie brytyjskiej w stolicy Francji. Poznali się dzięki znajomym w legendarnej Café Flore. Restauracja znajdowała się na lewym brzegu Sekwany i była oazą dla prokomunistycznych intelektualistów tamtego okresu, takich jak André Gide, Henri Barbusse czy André Malraux.

Donald i Melinda zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. On przystojny, ona atrakcyjna. On dystyngowany Anglik, syn znanego polityka liberalnego, ona Amerykanka bez kompleksów. To, co przemawiało dodatkowo na jej korzyść, to poglądy. Była mocno lewicowa i opanowana przez ideę walki z faszyzmem. W tym przypadku niczym szczególnym nie różniła się od swoich rówieśników. Związek był na tyle gorący, że już po kilku miesiącach Melinda była w ciąży. Ale nad Europą zawisły czarne chmury przyszłej wojny totalnej. Gdy wojska niemieckie zbliżały się do Paryża, Maclean postanowił poślubić swoją ukochaną. Przed tym jednak zamierzał wyznać, kim jest naprawdę. Powiedział jej, że jest zakonspirowanym komunistą i agentem sowieckiego wywiadu.

Niepotrzebnie bał się jej reakcji. Zaakceptowała to bez oporów. Od tej pory była podporą męża, uczestniczącą w jego działalności szpiegowskiej. Pobrali się 10

czerwca 1940 r. w Paryżu. Gdy od wschodu pod miasto podjeżdżały już niemieckie czołgi, młoda para w asyście przyjaciół i członków rodziny celebrowała swój mały romantyczny ślub.

Z weselem trzeba było poczekać. Jednym z ostatnich kutrów udało im się przepłynąć na Wyspy Brytyjskie. Tu Donald nadal prowadził swoją

działalność szpiegowską, informując Rosjan o wszystkich najważniejszych poczynaniach rządu. Powoli zaczął też robić karierę, awansując w ramach resortu. W 1944 roku wyjechał do Waszyngtonu pełnić rolę pierwszego sekretarza ambasady. Pozostał tam aż do 1948 roku, cały czas nie zaprzestając swojej działalności. Wykorzystał do tego Melinę, która będąc w ciąży z kolejnym dzieckiem, mieszkała u rodziny w Nowym Jorku. To właśnie tam Maclean spotykał się z oficerami KGB. Miał dobrą wymówkę, by podróżować na trasie Waszyngton – Nowy Jork.

W 1948 roku wylądował już w Kairze jako najmłodszy w historii radca ambasady. Tu jednak zaczęły się jego poważne problemy. Lata konspiracyjnej pracy zrobiły swoje. Donald przechodził ciężką depresję. Pił, sypiał z kobietami i mężczyznami, a pewnego dnia zdemolował mieszkanie amerykańskich dyplomatów. MSZ miało dość i zawezwało go do Londynu. Wydawało się, że jego kariera jest skończona, jednak Melinda stanęła na wysokości zadania i przekonała urzędników, że jej mąż jest chory i potrzebował urlopu, którego nie miał od początku ich małżeństwa. Kto się oprze płaczącej, pięknej kobiecie? No, na pewno nie urzędnicy gentlemani. Maclean dostał urlop i wydawało się, że wszystko wróci do normy. Do czasu.

Gdy w drzwiach jego domu stanął Anthony Blunt, jego przyjaciel i werbownik, Donald zrozumiał, że czekają go kłopoty. Anthony przyszedł z wiadomością od Kima Philby'ego, przesłaną przez Guya Burgessa, że wywiad amerykański rozkodował część depeesz sowieckich i wiele wskazuje na to, że pod pseudonimem „Homer”, kryje się właśnie Donald. Aresztowanie może nastąpić w ciągu kilku dni. Donald musi uciekać. Pech chciał, że przyłączył się do niego Guy, który tym samym zdekonspirował Philby'ego.

Melinda miała pozostać w Londynie. Gdy Donald uciekał 25 maja 1951 r., nie wiedział, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze swoją rodzinę. To było dramatyczne pożegnanie, uwieńczone jednak happy endem. Brytyjczycy nie mogli jej zabronić wyjazdu do Związku Sowieckiego. Spakowała więc najpotrzebniejsze rzeczy, wzięła dzieciaki na ręce i niecały rok później przybyła do Moskwy. Jej mąż był znany, ceniony i lubiany. Podjął pracę nauczyciela, szybko uczył się języka rosyjskiego, otrzymał wiele prestiżowych odznaczeń. Wydawał się być zadowolony z miejsca pobytu, w odróżnieniu od swojego przyjaciela Guya Burgessa. Ten pił i tęsknił, tęsknił i pił i tak na przemian, aż się zapił.

Melinda należała do tych osób, które nie do końca były zadowolone z ucieczki. Moskwa to stolica imperium, ale trudno ją porównywać do Londynu czy Nowego Jorku. Nudziła się, więc gdy w Moskwie pojawił się kolejny uciekinier Kim Philby, który poszukiwał łatwej kobiecej zdobyczy, została jego kochanką i z czasem wprowadziła się do niego. W 1969 roku nie wytrzymała jednak takiego życia i ponownie wróciła do Donalda. Mieszkali razem aż do jej wyjazdu z ZSRS w 1979 roku. Maclean żył jeszcze cztery lata. Umarł zdradzony, sfrustrowany i przygnębiony. Był jednym z tych, którym żona dawała napęd życiowy i szczęście, by w końcu zniszczyć i odejść.

ROZDZIAŁ IX

Profumo znaczy szpieg

Ludowa mądrość powiada, że z kobietą będziesz zawsze nieszczęśliwy. Jeżeli wybierzesz piękną, będziesz musiał się nią dzielić. Jeżeli brzydką, wszyscy się będą z ciebie śmiać. Mądrość ta nie mówi jednak, co w sytuacji, kiedy wybierzesz piękną, będziesz się nią dzielić, a i tak wszyscy będą się z ciebie śmiać.

Taką sytuację miał na własnej skórze poczuć pewien wpływowy brytyjski polityk.

John Profumo był bohaterem wojennym. Lądował w Normandii w dniu „D”.

Brał udział jako major Królewskiego Korpusu Pancernego w wielu ciężkich bitwach o wyzwolenie Francji. Po wojnie został wybrany do parlamentu jako najmłodszy jego członek z ramienia Partii Konserwatywnej. Tak zaczęła się jego fantastyczna kariera polityczna, którą zwieńczyło powołanie na ministra obrony i udział w wewnętrznym kręgu premiera torysów Harolda Macmillana. Brał udział we wszystkich ważniejszych decyzjach politycznych tamtego czasu, takich jak chociażby kryzys berliński czy kubański.

Jednak takie życie miało swoje konsekwencje. Profumo był cały czas na największych obrotach, zestresowany, z dużymi problemami ze snem. Gdzieś musiał „spuszczać parę”, odreagować. W odróżnieniu od kilku opisanych w tej książce Anglików nie był pederastą, więc słońca w swoim życiu zaczął poszukiwać pośród młodych i pięknych kobiet. Wybierał prostytutki. Mniej problematyczne i nieoczekujące wielkiej miłości.

Christine Keeler miała dwa lata, gdy dzielny Profumo prowadził swoje czołgi przez żywopłoty północnej Francji. Była młodsza od niego o dwadzieścia siedem lat i gdy był już ministrem, rozwijała też swoją karierę, tyle że na deskach Murray's Cabaret Club, typowego topless baru na Beak Street. Soho w tamtych latach nie było miejscem dla

grzecznych dziewczynek. Słynęło z domów publicznych i klubów go-go. Jeden z założycieli ruchu neokonserwatywnego, Irving Kristol, wspominał, że gdy był naczelnym redaktorem miesięcznika „Encounter” (spotkanie), z braku funduszy wynajął lokal na redakcję właśnie w tej dzielnicy. Problem polegał na tym, że nie przychodził tam nikt do współpracy, a jedynie mężczyźni szukający uciech, zdezinformowani nazwą miejsca.

Murray’s było ekskluzywnym miejscem. Nie trafiały tam osoby przypadkowe. Klientelę stanowiła śmietanka towarzyska, głównie ludzie filmu, poeci, literaci, czasami członkowie rodziny królewskiej. Po prostu londyńska bohema dyskutująca przy podrygach damskich piersi. Półnagie kelnerki roznosiły między stolikami najdroższego szampana, czasami narkotyki.

W 1959

roku siedemnastoletnia Keeler została kochanką czterdziestosiedmioletniego dr. Stephena Warda, miłośnika młodych pięknych kobiet, którego pomysł na biznes polegał na tym, aby ulżyć takim osobom jak minister Profumo. Zaprosił ją do swojej wielkiej rezydencji w Cliveden, w Buckinghamshire nad samym brzegiem Tamizy. Christine była oczywiście oczarowana. Spotkała tylu zamożnych ludzi, mężczyzn z wyższych sfer, którzy byli nią zainteresowani. Para zaczęła mieszkać razem w pobliżu Hyde Parku w Londynie. Trudno zrozumieć, dlaczego Keeler, która była znana raczej z bezpruderyjnego życia, zaprzecza do dziś, że miłość do Warda była tylko platoniczna.

Ward jako lekarz medycyny po studiach w USA specjalizował się w osteopatii i leczeniu przewlekłego bólu. Do jego klientów należeli sami bogaci i wpływowi, w tym sir Winston Churchill, Elizabeth Taylor, książę Edynburga, książę i księżna Kentu, Roger Hollis szef MI-5 itp. Ciekawostką jest, że podobno leczył on również Adolfa Eichmanna, już po uprowadzeniu go przez Mossad do Jerozolimy.

Ten lekarz niosący ulgę w cierpieniu miał też swoją bardzo mroczną stronę.

Był miłośnikiem perwersyjnego seksu. Wprowadził Christine w miejsca przeznaczone tylko dla najwyższych kręgów społeczeństwa, gdzie odbywały się orgie, w tym i te zakazane homoseksualne. Jednym

z takich przybytków był Klub Czwartkowy, gdzie imprezy polegały na ogólnym opilstwie mężczyzn obserwujących jak grupa dziewcząt głaszcze i całuje wielki totem w kształcie penisa. Wprowadził ją też w świat klubów seksualnych sadystów i masochistów.

Nadeszła jednak ta chwila, gdy młoda Christine uznała, że już dłużej nie da rady.

Blask życia elity miał też swoje cienie. Wyprowadziła się od Warda i zamieszkała z szesnastoletnią Marilyn „Mandy” Rice-Davies. Ale życie ubogiej tancerki go-go było już nie dla niej. Posmakowała innych jego uroków i sprośne komentarze oraz aluzje cuchnących piwskim mężczyzn już jej nie zadowalały. Nie chciała ściągać biustonosza za kilka funtów. Pokornie spuszczać głowę, powróciła do swojego kochanka-dewianta.

W czasie gdy Keeler „próbowała” życia na własny rachunek, sporo u Warda się zmieniło. Po pierwsze mieszkanie. Przeniósł się do bardziej prestiżowej dzielnicy na Wimpole Mews w Marylebone, zaczął gustować w czarnej muzyce bluesowej i zaprzyjaźnił się z kapitanem Jewgienijem Iwanowem attaché morskim w ambasadzie sowieckiej w Londynie. Jewgienij nie był typowym Rosjaninem, jakiego opisywały komiksy i antykomunistyczne powieści. Uroczy, elokwentny i czarujący. Szybko z Christine nawiązali kontakt i stali się przyjaciółmi.

Zabawy w basenie

Ósmego lipca 1961 r. Ward, Keeler i kilku przyjaciół, w tym sąsiedzi państwo Astor, zorganizowali weekendową imprezę w Cliveden. Był ciepły wieczór i goście postanowili skorzystać z basenu Astorów. Christine podpita, pływała kompletnie naga, do momentu gdy Astor wprowadził swojego przyjaciela ministra Johna Profumo. Zaskoczona, próbowała wyjść z wody i się ubrać, ale panowie skutecznie jej to uniemożliwili i zaczęli ją ścigać wokół basenu. Gdy przybyli kolejni goście, w tym przede wszystkim żona Astora, zabawa musiała się skończyć. Keeler schowała się w domku i założyła suche ubrania.

Profumo zakochał się jak uczeń. Zobaczył tę boską piękność, bo trzeba przyznać, że Christine swoją urodą prześcigała o kilka długości przeciętną Angielkę. Zaproponował jej spacer, by pokazać okolicę. Zgodziła się

i Profumo miał wrażenie, że coś pomiędzy nimi zaiskrzyło. Następnego dnia zabawa trwała dalej, z tym małym wyjątkiem, że Ward zaprosił na nią Iwanowa. Wszyscy ponownie tego pili, na tyle mocno, że naga Keeler, dosiadając ramiona Profumo, niczym na rumaku, ścigała się z innymi kobietami w podobnej sytuacji. Minister wyścig wygrał. Christine była uradowana.

Tym razem do Londynu odwiózł ją Iwanow, a przy drzwiach zapytał, czy może wejść. Zgodziła się. Pili wódkę i długo rozmawiali. Ta wymiana zdań zakończyła się namiętym seksem na podłodze salonu. W swoich wspomnieniach „The Naked Spy” Jewgienij Iwanow tak opisywał swoją nową przyjaciółkę:

W Christine było coś magicznego (...) Różniła się od dziewczyn z prowincji, prostych i naiwnych (...) Niebezpieczne stworzenie, podstępne i zdradliwe. Jej oczy powiedziały mi to, jaśniały pasją, namiętnością i przebiegłością. Niczym małe zwierzątko była wdzięczna i czarująca, ale także drapieżna – dalej jest mniej mistycznie – była półanalfabatką, dziewczyną nadającą się jedynie do pokazywania nóg (...)

Jeżeli Keeler faktycznie była taka, jak opisywał ją Iwanow, to trzeba przyznać jej zagadkowość, a półanalfabetyzm tej kobiety nie przeszkadzał w uwiedzeniu tak wielu mężczyzn. Przedsiębiorczy Ward zresztą wiedział, jak wykorzystać uroki swojej podopiecznej. Dzień po spotkaniu z Iwanowem przekazał Profumo numer telefonu do Christine z dość jednoznaczną sugestią.

Minister był w wniebowzięty. Zadzwoił do niej już 12 lipca i zaprosił na przejażdżkę samochodową m.in. na Downing Street – tradycyjną siedzibę premierów Wielkiej Brytanii – normalnie zamkniętą dla ruchu samochodowego. Po kilku dniach zostali kochankami.

W matni

Sytuacja stała się naprawdę zagmatwana. Z jednej strony była prostytutka Christine Keeler i jej alfons Stephen Ward, a z drugiej minister obrony John Profumo oraz Jewgienij Iwanow, oficer GRU, pod przykrywką attaché morskiego ambasady. Dwaj ostatni, i to w odstępie kilku dni, stali się kochankami Christine.

Nietrudno się domyślić, że sympatyczny attaché był tak naprawdę

oficerem sowieckiego wywiadu wojskowego GRU. W 1961 roku miał trzydzieści siedem lat, żonę i córkę. Urodził się w Pskowie jako syn oficera. Pod koniec wojny dołączył do marynarki wojennej i służył jako artylerzysta na Dalekim Wschodzie. Kilka lat później został wytypowany do pracy w wywiadzie wojskowym. Nie bez znaczenia była tu przeszłość jego ojca, bohatera Związku Sowieckiego. Pierwszą placówką Iwanowa był Londyn, do którego przybył w 1960 roku, gdzie uchodził za osobę powszechnie lubianą w kręgach dyplomatycznych.

Na jednym ze spotkań w Garrick Club dzięki dyrektorowi zarządzającemu w „Daily Telegraph” poznał Stephena Warda. Było to jak schwytanie Boga za nogi. Każdemu oficerowi służb specjalnych zależy na tego typu znajomościach.

Ustosunkowany, dobrze widziany w towarzystwie Ward mógł Iwanowa wprowadzić na salony, na które żaden inny oficer służb nie miałby wstępu.

Wyuzdanie i brudne sekrety to miejsce idealnych polowań wywiadowczych. Góry kompromitujących informacji, mogących powiązać establishment z KGB. I tego mógł dokonać oficer na pierwszej misji zagranicznej, to było coś.

Problem polegał na tym, że Ward, może i dewiant i mało odpowiedzialny człowiek, uważał się za patriotę. Po studiach w USA powrócił do Anglii akurat w okresie, gdy wybuchła II wojna światowa. Zgłosił się na ochotnika do Korpusu Medycznego Armii. Został jednak odrzucony, gdyż nie uznawano jego kwalifikacji. W 1941 roku, gdy już naprawdę zaczęło brakować ludzi, został wcielony do Królewskiego Korpusu Pancernego. Poświęcił się jednak tam swojej dziedzinie medycznej i nie wykonywał codziennych czynności pancerniaka. Trzy lata później został wysłany do Indii. Tam urzekł go Mahatma Gandhi, co przy dość zwariowanej osobowości doprowadziło go do dość ciężkiego załamania nerwowego. Wbrew pozorom jego natura była romantyczna i delikatna. Uchodził za zdolnego malarza-portrecistę. Jego rysunki cieszyły się sporym wzięciem. Ward był na pewno bardzo skomplikowaną postacią. Na tyle, że po powrocie na wyspy w 1945 roku został zwolniony z armii ze względu na „niepełnosprawność”.

Wtedy też rozkwitła jego kariera lekarza. Osteopatia według Wikipedii jest metodą (zaliczaną do medycyny niekonwencjonalnej), w której badanie manualne wykorzystywane jest do stawiania diagnozy i leczenia chorych.

Dziedzina ta uznaje i akceptuje zależność pomiędzy ciałem, psychiką a umysłem zarówno w stanie określanym jako zdrowie, jak i w stanie chorobowym. Traktuje ona ciało ludzkie jako całość zarówno w aspekcie strukturalnym, jak i funkcjonalnym, zakłada też, że organizm ludzki ma zdolności do autoregulacji i przywracania homeostazy.

Leczenie osteopatyczne jest więc ściśle powiązane z indukcją tychże mechanizmów. Bez względu, co to wszystko tak naprawdę znaczy i czy nie jest to połączenie szamanizmu z naiwnością pacjentów, metoda ta była bardzo popularna w tamtych czasach. Na tyle, że otwierała drzwi Wardowi wszędzie.

Gdy w jego towarzystwie pojawił się Iwanow, MI-5, z którym utrzymywał kontakty, zaproponował mu, czy nie zachciałby spróbować i przekonać swojego nowego, rosyjskiego przyjaciela, aby wybrał wolność. Do dziś nie odtajniono materiałów na ten temat. Nie wiemy, czy Ward zdecydował się na taką rozmowę.

Można wyciągnąć wniosek, że raczej nie, gdyż Iwanow byłby się spłoszył, a taka sytuacja nie miała miejsca, i nadal miał gorący romans z Christine.

Czy wiedział o tym, że kobieta w tym samym czasie ma romans z Profumo?

Tak, był tego całkowicie świadom. Wiele lat później brytyjski dziennikarz zorganizował kolację Keeler z Iwanowem w Moskwie. Przeprosił ją wtedy, za to, że chciał ją wykorzystać do zbierania informacji na temat ministra i jego działań.

Powiedział też, że nigdy nie był w niej zakochany. No cóż, ona w nim też nie była.

Co prawda Iwanow nie mógł ofiarować jej takich prezentów jak Profumo, miał za to paszport dyplomatyczny i nieodparty wdzięk. Łasej na kontakty z elitą Keeler najwyraźniej to wystarczało.

Spełniała się w ramionach starszego kochanka, którego traktowała jak tatusia. Profumo szalał. Przesyłał kwiaty, prezenty, biżuterię. Stracił dla niej głowę.

Przy tej kobiecie przeżywał prawdziwą drugą młodość. To było jedynym pocieszeniem w tej sytuacji, że Christine naprawdę go uszczęśliwiała. Ale dokonany wybór kochanki był naprawdę zły. Pomijając to, że Profumo żonaty był z niebrzydką aktorką Valerie Hobson, to jako wytrawny polityk powinien wiedzieć, że spotkania z nagimi kobietami w obecności attaché

ambasady sowieckiej to nie jest najlepszy pomysł, nawet jeżeli balangę organizuje rodzina Astorów. Postąpił wyjątkowo nieodpowiedzialnie, a gdyby rzecz cała działa się czterdzieści lat później, to jego wybryki na pewno zostałyby uwiecznione jakimś telefonem komórkowym. Tego dnia mu się upiekło, ale granica kompromitacji została przekroczona.

Jego los został przesądzony już wkrótce. Ward był informatorem kontrwywiadu i kilka dni po sławnych zabawach w basenie poinformował swój kontakt z MI-5, że Iwanow wypytywał go na temat instalowania pocisków raketowych na terenie Republiki Federalnej Niemiec. Gdy odpowiedział, że nie ma pojęcia, Jewgienij poprosił, czy nie może się czegoś wywiedzieć u Profumo. To była bardzo ważna informacja dla kontrwywiadu, ale nie zrobiono nic. Dlaczego?

Czy może dlatego, że jak twierdzi wielu byłych oficerów służb i specjalistów, szef MI-5 Roger Hollis był sowieckim szpiegiem?

MI-5 ograniczyło się do inwigilacji grupy. W takiej sytuacji, kiedy oficer obcego wywiadu tak zbliżył się do jednego z kluczowych ministrów rządu, należy go natychmiast odesłać do kraju. Kontrwywiad postanowił zadziałać inaczej.

Ponownie starał się kryć ludzi z elity państwa. Spotkano się z Profumo i poproszono go grzecznie, aby zakończył znajomość z całą trójką. Podobno zaoferowano mu współpracę w dezinformowaniu Iwanowa, wydaje się to jednak mało prawdopodobne, by ofertę składano tak ważnemu politykowi. Minister zrezygnował z kontaktów z Wardem i Iwanowem, co nie stanowiło problemu, jednak porzucenie kochanki było bardzo bolesne. Ich romans trwał mniej niż pół roku i Profumo wydawał się być prawdziwie zakochany.

Wszyscy kłamią

Po tych wydarzeniach Keeler opuściła apartament Warda. Najpierw mieszkała w jednym z najbardziej znanych domów publicznych Londynu, a następnie wyjechała do Nowego Jorku. W tym czasie związała się z dwoma obywatelami Indii Zachodnich, ale w tych relacjach coś szwankowało. Dochodziło do licznych konfliktów, w tym i bójek. Po powrocie Christine do Londynu doszło do awantury, w której jeden ze znajomych dziewczyny pociął twarz nożem

swojemu konkurentowi. Epicentrum wydarzeń miało miejsce 14 grudnia

1962 r. w londyńskim mieszkaniu Keeler przy Wimpole Mews. Tym razem powodem kłopotów był pewien Jamajczyk, szaleńczo zakochany i również zazdrosny. Wypalił z pistoletu do drzwi i odblokował zamek. Zaalarmowani sąsiedzi poinformowali policję. Za nią pojawiła się prasa.

Lata 60. XX wieku to gigantyczny rozkwit brytyjskich brukowców.

Dziennikarze nie mieli litości i nie istniało dla nich żadne tabu. To, co się wydarzyło później, było pierwszą na tę skalę akcją mediów, doprowadzającą do wykrycia romansu, który mógł mieć podłoże szpiegowskie. Kontrwywiadowi nie udało się dłużej ukrywać faktów.

Prasa szybko zorientowała się, że apartament, w którym mieszkała Keeler, należy do dr. Warda, który również ją tam odwiedzał. Organizowanie schadzki i orgii dla wysoko postawionych elit angielskich to jedno, ale skandal z użyciem pistoletu i prasą to drugie. Zaczęły się mimowolne i celowe przecieki o faktycznym zajęciu Keeler i Warda.

Prasa nie szczędziła mocnych tytułów, a w artykułach, na razie w formie pytającej, pojawiały się kolejne nazwiska ludzi w rządzie i na dworze królewskim.

W pewnym momencie zaczęto pisać, że jedną z osób bywających na orgiach był książę Filip, mąż królowej. Dziennikarze i paparazzi nie odstępowali całej trójki nawet na krok. Miało to swoje implikacje do dalszego rozwoju afery. Po pierwsze 22 marca 1963 r. Profumo skłamał przed parlamentem, że w jego relacjach z Keeler i Wardem nie było niczego zdroźnego i łączyła ich tylko przyjaźń. Na znak solidarności i poparcia Harold Macmillan, premier rządu, wychodząc z sali posiedzeń, położył dłoń na barku Profumo, udzielając mu tym samym czegoś w rodzaju poświadczenia niewinności. Po drugie Ward, zaszczuty przez prasę, tracąc przyjaciół i klientów, zerwał z Keeler ostatecznie i kazał się jej wynieść z mieszkania. To doprowadziło do sytuacji, w której kobieta poczuła się porzucona i zostawiona na pożarcie mediów. Nie mogła liczyć na pomoc od nikogo. I wtedy pojawił się dziennikarz z „Daily Mirror”, któremu wyznała część prawdy.

Opowiedziała m.in. o swoich relacjach z trzema mężczyznami, w tym ministrem i sowieckim dyplomatą. Kilka tygodni później minister musiał potwierdzić fakt romansu z prostytutką i podał się do dymisji.

Dziesięć tygodni później było po wszystkim: 5 czerwca 1963 r. Profumo przyznał, że kłamał w sprawie kochanki i podał się do dymisji.

Gra wywiadów

Brytyjskie służby specjalne były starszym bratem dla amerykańskiego wywiadu. Kiedy w czerwcu 1942 roku Franklin D. Roosevelt powołał OSS, Amerykanie nie posiadali wystarczającej liczby kadr, aby obsadzić nową organizację. O pomoc w szkoleniach zwrócili się do Brytyjczyków, którym również zależało na powstaniu OSS, gdyż potrzebowali alianta w tajnej walce. Od końca 1942 roku ruszył cykl szkoleń obejmujący nie tylko klasyczne szpiegostwo, ale także sabotaż i dywersję. Brytyjczycy posiadali wieloletnie doświadczenie, Amerykanie ludzi, a przede wszystkim pieniądze. Jedną z osób prowadzących szkolenia z zakresu kontrwywiadu był Kim Philby, który poznał większość uczestników kursów i przekazał wiedzę na ten temat dalej, do swoich mocodawców sowieckich.

Gdy w początkach lat 50. ubiegłego stulecia, już po powstaniu CIA, okazało się, że Burgess i Maclean to szpiedzy NKWD, a Philby, który w tym czasie przebywał na placówce w Waszyngtonie, też najprawdopodobniej pracuje dla dwóch stron, Amerykanie całkowicie stracili zaufanie do swoich zamorskich przyjaciół.

Wielka Brytania była najbliższym partnerem politycznym i militarnym USA. Posiadała wiele wspólnych sekretów, w tym tych najwrażliwszych: o broni atomowej, doktrynach obronnych, nowoczesnych łodziach podwodnych itp.

Amerykanie wyszli ze słusznego założenia, że te informacje nie mogą być w pełni bezpieczne w rękach Anglików. MI-5, kontrwywiad, nie wywiązał się najlepiej przy sprawie agentów z Cambridge, pomijając ich młodzieńczą fascynację komunizmem, udział w demonstracjach i co najmniej dziwnych podróżach zagranicznych. Nie dawał więc gwarancji należytej kontroli nad sekretami.

FBI i CIA stworzyły swoje duże misje wywiadowcze w Londynie, a do ich zadań nie należało wyłącznie obserwowanie i werbowanie przeciwników, prowadzili również operacje mające pozyskać wiedzę na wszelkie interesujące ich tematy. Pośród nich znajdowało się również życie towarzyskie i rodzinne elit brytyjskich. Dziś, bez dostępu do archiwów, nie jesteśmy jeszcze w stanie stwierdzić, jak głęboko sięgała infiltracja amerykańska i jak dużo i na ile wcześniej wiedzieli o sytuacji na linii Keeler

– Profumo – Iwanow.

Możemy założyć, że cała trójka plus Ward znaleźli się pod czujnym okiem w momencie, kiedy ten ostatni poinformował swój kontakt w kontrwywiadzie o pytaniach Iwanowa. To musiało rozgrzać wszystkie linie telefoniczne służb bezpieczeństwa. Profumo wiedział bardzo dużo i wiele z tego przez nieuwagę, z naiwności czy też głupoty mógł zdradzić. Wielu badaczy sądzi, że za ujawnieniem afery stały właśnie służby, które w inny sposób nie mogły pozbyć się polityka, tak ostentacyjnie popieranego przez samego premiera. Podobno stały one za publikacjami prasowymi na temat skandalu. Być może sytuacja uległaby zmianie i nie skończyła się dla ministra tak przykro, gdyby zdecydował się na współpracę z kontrwywiadem i „wmontował” Iwanowa w grę operacyjną i dezinformacyjną. W momencie gdy odmówił, podpisał na siebie polityczny wyrok śmierci.

Co w tym czasie robiły sowieckie służby specjalne? Na pewno wiedziały bardzo dużo o relacjach towarzysko-erotycznych brytyjskiej elity. Czy posiadały zdjęcia lub filmy z jej udziałem? Wielce prawdopodobne. Umieszczenie Iwanowa, oficera GRU, w tym środowisku, było niemałym wyczynem świadczącym jednocześnie o kompletnej ignorancji samych Anglików. Z potwierdzonych działań KGB wiemy, że umieścili oni mikrofony podsłuchowe w apartamencie przy Wimpole Mews w Londynie, gdzie Keeler spotykała się z Iwanowem i Profumo.

To samo notabene zrobił kontrwywiad brytyjski, jednak taśmy nie zostały nigdy upublicznione.

Wszyscy przegrali

Pierwszą poważną ofiarą tego zamieszania była wiarygodność Wielkiej Brytanii. Dla Amerykanów potwierdziło się tylko przypuszczenie, że Brytyjczycy nie są partnerami gwarantującymi bezpieczeństwo i łatwo można ich skompromitować. Afera Profumo zdarzyła się dziesięć lat od pierwszej z Burgessem, Macleanem i Philbym, więc CIA sądziło, że tego typu wpadki będą zaliczać przynajmniej raz na dekadę. Pół świata demokratycznego kpiło z zimnych i dystyngowanych Anglików, którzy w wolnych chwilach, aby rozładować stres związany z zimną wojną, oddają się sadomasochistycznym orgiom, do których dopraszają sowieckich przeciwników.

Największe szkody propagandowe zostały wyrządzone w krajach za

„żelazną kurtyną”. Prasa, telewizja i radio wszystkich krajów komunistycznych niebywale używały sobie na aferze. Potwierdzano słusność głoszonych komunistycznych tez i pokazywano Zachód jako miejsce deprawacji i zbrodni.

A jak potoczyły się losy naszych bohaterów?

John Profumo został zmuszony do całkowitego wycofania się z polityki.

Odszedł z partii konserwatywnej i zrezygnował z zasiadania w wielu pozarządowych komitetach, fundacjach, instytucjach itp. Udało mu się jednak ocalić małżeństwo. Swoje grzechy postanowił odpokutować jako wolontariusz pomagający biednym. Założył fundację charytatywną pod nazwą Toynbee Hall, gdzie zajmował się tak nieprzystającymi dla ministra zajęciami jak mycie okien i podłóg czy sprzątanie toalet. Za swoją działalność otrzymał nawet medal od królowej Elżbiety II, co było symbolicznym aktem wybaczenia. Zmarł w 2006 roku.

Jewgienij Iwanow jeszcze przed wybuchem afery został wyrzucony z Wielkiej Brytanii. Po powrocie, jako spalony szpieg, nie pracował już dla GRU. Dostał przydział do Floty Czarnomorskiej. Rozpił się dość mocno, porzucony przez kolegów z wywiadu wojskowego. Na pocieszenie otrzymał order Lenina.

Afera położyła się długim cieniem na jego życiu prywatnym. Opuściła go żona wraz z dziećmi, nie dając wiary w to, że Keeler była tylko obiektem działań operacyjnych, a nie jego prawdziwym romansem. Nim zmarł w Moskwie w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, w początkach 1993 roku zaprosił do siebie swoją byłą kochankę i przyszłą agentkę. Organizatorem spotkania była brytyjska prasa. Keeler po tym wydarzeniu oświadczyła, że Jewgienij wydaje się wieść smutne i samotne życie. On sam skierował do niej prywatny list – jaki ona upubliczniła – w którym przeproszał ją za całą sytuację oraz to, że próbował uczynić z niej sowieckiego szpiega.

Christine Keeler jest dziś jedyną żyjącą osobą związaną z tą aferą. Spędziła dziesięć miesięcy w więzieniu, ale tabloidy gotowe zapłacić każdą sumę za jej wyznania, ustawiły ją finansowo. Dużą popularnością cieszyła się także jej wspomnieniowa książka „The Truth at Last”, napisana dla podreperowania budżetu domowego. Jedną z rewelacji tam zawartych było potwierdzenie, że Roger Hollis, szef kontrwywiadu, był agentem KGB oraz że ona sama świadomie pracowała dla sowieckiej służby.

Najgorzej cała sprawa zakończyła się dla Stephena Warda. Został oskarżony o stręczycielstwo i namawianie do nierządu. Zrobiono wszystko, aby zniszczyć mu życie. Nawet media zauważyły, że sędzia był wyjątkowo stronniczy, a część świadków nie miała nic wspólnego ze sprawą. Nie powinno również dziwić, że wielu kluczowych uczestników zabaw nie pojawiło się na sali sądowej.

Ward wiedział bardzo dużo, ale nie wyjawiał szczegółów mogących uderzyć w swoich dawnych, wpływowych klientów. Zwyczajnie bał się o życie. Jego główną linią obrony było powołanie się na fakt informowania kontrwywiadu o zaistniałej sytuacji. Jednak przedstawiciel MI-5 zeznający przed sądem, odciął się od tych rewelacji, twierdząc, że jego instytucja nigdy nie utrzymywała kontaktów z Wardem. Wobec tego został on pozostawiony sam sobie. W sierpniu 1963 roku, dzień przed ostatnim dniem rozprawy, zażył całą fiolkę leków nasennych, by się nigdy już nie obudzić.

Został opuszczony przez wszystkich. Jego kontakty w najwyższych sferach i w kontrwywiadzie nie uchroniły go przed tragicznym losem. Umierał w samotności. Jeszcze kilka lat wcześniej był centralną postacią tego środowiska, dostarczającą zakazanych uciech i młodych dziewcząt. Latem 1963 roku nie mógł już na nikogo liczyć. W jego otoczeniu nie było ministrów, prostytutek i agentów KGB. Do dzisiaj nie milną spekulacje, że w przejściu na tamten świat pomogły mu brytyjskie tajne służby. W dniu pogrzebu na cmentarz dostarczono anonimowo sześćset białych róż z szarfą z napisem „Dla ofiary brytyjskiej hipokryzji”.

ROZDZIAŁ X

Moskiewskie jaskółki

Seks obok pieniędzy i ideologii stanowi najpowszechniejszy sposób werbowania nowych agentów. Dzieje się tak od wieków i nic nie wskazuje na to, by sytuacja uległa zmianie.

Żołnierz i dziewczyna

W jej niebieskich oczach można było zatopić się jak w oceanie – powiedział pewien marines, opisując swoją rosyjską przyjaciółkę. Brzmi jak z taniego romansu? Pewnie tak, kiedy spojrzymy bowiem z boku, okiem krytycznego widza, każda miłość ma coś w sobie z infantylizmu i obciachu, ale oczywiście nie dla zakochanych.

Clayton Lonetree czuł się w Moskwie wyjątkowo samotny. Wstąpił do piechoty morskiej po części przez wzgląd na rodzimą tradycję – wuj otrzymał Medal Honoru Kongresu – po części, by wyrwać się z rodzinnego stanu Navaho.

Jednym rozwiązaniem dla młodego Amerykanina, który na koszt podatników chciałby zwiedzać świat, jest obranie kariery wojskowej. Dla Clayтона Moskwa była pierwszym w życiu przydziałem zagranicznym. Pomimo pobytu w obcej stolicy, codzienna rutyna źle na niego wpływała. Każdy dzień składał się z tych samych rutynowych zajęć. Praca strażnika ambasady, szkolenie wojskowe i pijaństwa w gronie podobnych mu żołnierzy. W Stanach zostawił dziewczynę, co jednak w jego sytuacji nie miało specjalnego znaczenia, gdyż US Marine Corps zabraniał przywożenia na placówki nawet poślubionych dziewcząt. To rodziło niebezpieczne sytuacje, gdy nabuzowani hormonami młodzi mężczyźni mieli pozostawać bez towarzystwa płci przeciwnej przez kilka lat.

Nie tak wyobrażał sobie „podróże” zagraniczne młody Clayton. Dochodziła do tego także pewna alienacja od korpusu dyplomatycznego ambasady. Pracownicy Departamentu Stanu czy innych instytucji rządowych

traktowali go jak powietrze.

Był stojącym przed bramą albo w stróżówce facetem, który wyglądał jak setki przed nim i setki po nim. Większość kobiet była albo zamężna, albo w stałych związkach. Szans na urozmaicenie prostego żołnierskiego życia było niewiele.

Każda ambasada zatrudnia dziesiątki pracowników tubylczych – Stany Zjednoczone nie są tu wyjątkiem. Wykonują oni najczęściej najprostsze prace i nie mają dostępu do jakichkolwiek tajemnic. Są to kucharze, sprzątaczk, kierowcy, gońcy itp.

Wioletta pełniła rolę tłumaczki i telefonistki. Była niebieskooką pięknoscią, do której zalecała się większość pracujących w ambasadzie mężczyzn. W 1984

roku miała dwadzieścia kilka lat i jak się wydawało, marzyła o szczęśliwym życiu, gdzieś za granicami Związku Sowieckiego. Dzięki kontaktom z pracownikami ambasady i pensji w dolarach mogła sobie pozwolić na zachodnie ciuchy i kosmetyki. Bardzo wyróżniała się pośród szarych kobiet w siermiężnej Moskwie lat 80. ubiegłego wieku.

Clayton szybko dowiedział się, że Wioletta ma na nazwisko Seina, ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Moskiewskim i jest na próbnym stażu w ambasadzie. Wydawało mu się również, że przejawia nim zainteresowanie.

Zawsze gdy przychodziła lub opuszczała budynek misji dyplomatycznej, zerkąła w jego stronę, posyłając niewinne uśmiechy. Z czasem przy różnych okazjach nawiązywała z nim niezobowiązującą rozmowę o pogodzie, tłoku w metrze czy codziennych problemach aprowizacyjnych. W pewnym momencie stało się to rutyną, Wioletta coraz częściej przystawała przy budce strażnika, aby wymienić uwagi i radośnie poplotkować.

Clayton czuł się tym niezmiernie dowartościowany. Koledzy z marines polowali głównie na uliczne prostytutki, przemycając je, dzięki uprzejmości kolegów strażników, do swoich pomieszczeń służbowych. Wioletta była jednak inna: wykształcona, piękna, z klasą. Po kilkunastu tygodniach delikatnych zalotów Lonetree, łamiąc wszystkie obowiązujące go zasady, zdobył się na odwagę godną żołnierza Korpusu Marine i zaproponował Wioletcie wspólne wyjście do restauracji. Gdy się zgodziła, był w siódmym niebie.

Umówili się w centrum Moskwy i poszli do tej jednej z nielicznych,

typowych sowieckich restauracji. Kelnerowi, jak zwykle, się nie spieszyło, a przyjęcie i wydanie zamówienia trwało prawie wieczność. Claytonowi to nie przeszkadzało, chciał z nią spędzić jak najwięcej czasu. Opowiadał bez końca historie o swoim życiu; skąd pochodzi, kim są jego rodzice, dlaczego i jak wstąpił do Korpusu, co robi, a właściwie, czego nie robi w ambasadzie. Wioletta była znakomitą słuchaczką. Śmiała się z jego dowcipów i smutniała, gdy opowiadał o ciężkim życiu w Navaho.

Kilka godzin minęło jak jedna chwila. Oboje wiedząc o groźnym im niebezpieczeństwie – kontakty z Rosjankami były zakazane – ustalili już termin kolejnego spotkania. Był to pierwszy krok na drodze do zdrady. Lonetree powinien o wszystkim poinformować swoich przełożonych, ale to zlekceważył. Przecież wiedział doskonale, że KGB zakłada sidła na swoje ofiary w postaci pięknych kobiet, ale przecież obiektem tego typu działań nie mógł być on, nic nieznaczący pionek w maszynie. No i oczywiście Wioletta była bez skazy, taka urocza, taka niewinna.

Para spotykała się jeszcze kilkakrotnie. Zwiedzali stolicę Sowietów, spacerowali po parkach, przesiadywali w restauracjach hotelowych do późna w nocy. Wyglądali jak obcokrajowcy. Ona i on ubrani w odmiennym stylu niż większość, uśmiechnięci i beztroscy, tacy zupełnie inni pośród przybitych codziennym życiem mieszkańców państwa-raju na ziemi. Nie zwracali niczyjej uwagi i Clayton poczuł się zupełnie bezpiecznie. Co więcej, zakochany był już po uszy. Więc gdy Wioletta powiedziała mu, że mieszka sama w jednym z moskiewskich apartamentów, Clayton bez wahania przystał na wspólną kolację we dwoje, być może połączoną ze śniadaniem.

Claytona Lonetree nie zastanowiło kilka spraw. Po pierwsze, dlaczego taka atrakcyjna dziewczyna, za którą oglądała się większość mężczyzn w ambasadzie, wybrała sobie za partnera zwykłego żołnierza, a nie dyplomatę, który mógłby faktycznie ułatwić jej emigrację. Po drugie, samotny apartament w Moskwie to był szczyt luksusu, większość mieszkała w komunałkach, po kilka rodzin z jedną kuchnią i toaletą. Wioletta zarabiała nieźle, ale to i tak były drobne kwoty przy cenach mieszkań w Moskwie. Clayton brał jednak wszystko za dobrą monetę, miłość wszak jest ślepa.

Kochankowie ustalili, że nie będą już rozmawiać w ambasadzie, by nie przyciągać ciekawskich spojrzeń, a utracony czas nadrobią w romantycznym mieszkanku Wioletty. Sieć już wtedy była zaciśnięta. Nawet gdyby Clayton nie zakochał się jak nastolatek, to KGB i tak miało górę materiału do

ewentualnego szantażu. Apartament, naszpikowany kamerami i mikrofonami, był faktycznie przykrywką dla lokalu konspiracyjnego kontrwywiadu. Każde wypowiedziane słowo było zarejestrowane, a Clayton zwykł wyżalać się swojej ukochanej na problemy w pracy, bardzo często opowiadając o sprawach, o których powinien milczeć. Ukrycie związku z Rosjanką, rozmowy o pracy, konspiracja to były wystarczające powody, aby odesłać go do domu, pozbawić stopnia i wyrzucić z Korpusu. W tym przypadku tak drastyczne środki jak szantaż nie były jednak potrzebne. Miłość rozwiązywała wszystkie problemy.

Z początku odbywało się to bardzo delikatnie. Wioletta pytała o stosunki w pracy, o relacje międzyludzkie, o to, kto jest kim w ambasadzie, i niby w żartach wypytywała Clayтона o ludzi CIA, no bo jak wiadomo, wszyscy amerykańscy dyplomaci są z wywiadu. Clayton zaprzeczał, mówił, że tak, ten to jest z agencji, ale tamtych czterech już nie. Tak upływał im czas przy romantycznych kolacjach, namiętnym seksie i rozmowach o pracy. Szefowie Wioletty z KGB uznali, że nadszedł czas, aby zrobić krok dalej. Pewnego wieczoru mieszkanie, w którym przebywali kochankowie, odwiedził ukochany wujek Wioletty, Sasza. W wyniku późniejszego śledztwa ustalono, że „wujek Sasza”, to pułkownik II Zarządu KGB

(kontrwywiad) Aleksyj G. Jefimow.

Sasza vel Aleksyj spędził z zakochanymi cały wieczór suto zakrapiany wódką. Panowie rozmawiali o pracy Clayтона, o sytuacji na świecie, o stosunkach amerykańsko-sowieckich. Sasza był bardzo zaniepokojony agresywną polityką Ronalda Reagana i możliwością wybuchu III wojny światowej. Przekonywał, że wtedy Związek Sowiecki zginie, pozostanie z niego pustynia, a pośród ofiar znajdzie się również ukochana Clayтона. A przecież wszystko można rozwiązać inaczej. Nadchodzi nowy przywódca partii, bardziej liberalny, otwarty na świat. On chce się dogadać, ustanowić światowe *status quo*, gdzie oba mocarstwa znajdą swoje miejsce. Ale potrzebuje pomocy w tym dziele i Clayton mógłby pomóc, stając się nie tylko ważnym dla pokoju światowego bohaterem, ale też może uchronić swoją ukochaną przed zgubnymi skutkami wybuchu atomowego.

Clayton szybko zrozumiał, o co w tym wszystkich chodzi. Był zakochany, a dodatkowo mógł zdobyć większe uznanie Wioletty jako tajny szpieg ratujący świat przed katastrofą. Jak należy się spodziewać, Wioletta tylko przyklasnęła tym planom. Wujka Saszę niepokoiła wzajemna relacja

młodych ludzi. Pracował z Wiolettą już kilka lat i nigdy nie zachowywała się przy „urabianym” mężczyźnie w ten sposób. W jego opinii traciła profesjonalizm, co mogło oznaczać, że i ona z jakiegoś powodu zadurzyła się w Claytonie. Jednak operacja wywiadowcza rozwijała się pomyślnie i na pewno nie był to czas, by przerywać namiętny związek.

Lonetree chciał się bardzo wykazać. Zidentyfikował kilku pracowników CIA. Dostarczył starą książkę szyfrów, plany architektoniczne ambasady i w nocy, podczas swojej służby, wpuścił specjalistów z KGB do niektórych tajnych pomieszczeń placówki. Został za to wynagrodzony sumami nieprzekraczającymi łącznie czterech tysięcy dolarów.

Jednak w życiu każdego pracownika służby zagranicznej przychodzi dzień, w którym czas pakować manatki i wracać do kraju. Clayton miał dobrą opinię jako żołnierz i pracownik, więc udało mu się wystarać o kolejną placówkę, tym razem w Wiedniu. Tam podobnie jak w Moskwie, wykonywał zadania dla KGB. Sytuacja zmieniła się jednak diametralnie. Ukochana pozostała w Związku Sowieckim, nie odpisywała na listy i przez cały 1986 rok nie miał z nią kontaktu. Smutki topił w coraz większej ilości alkoholu. Na takie zachowanie jego przełożeni zaczęli zwracać uwagę, nie wiązali tego jednak z podwójnym życiem, jakie prowadził.

Lonetree popadał w apatię i zaczął zdawać sobie sprawę, że *de facto* został „wrobiony” w szpiegostwo, miłość to był tylko jego wymysł i skończył jako zdrajca ojczyzny.

Przełomem miała stać się późnojesienna wizyta „wujka Saszy”. Oprócz listów i zdjęć Wioletty pułkownik KGB zaproponował Claytonowi ucieczkę do ZSRS. Miał być podobno na liście osób, które sprawdzane są przez kontrwywiad we własnym kraju. Dla swojego bezpieczeństwa powinien czym prędzej opuścić placówkę i udać się do Moskwy. Tam w nowej ojczyźnie czeka na niego praca i mieszkanie. Wioletta w liście pisała właściwie to samo, przekonując go do ucieczki i mając miłość.

Clayton wystraszył się nie na żarty. Co innego wywieźć ukochaną do Stanów Zjednoczonych, a czym innym jest spędzenie reszty życia w tym potwornym kraju, w jego obskurnej stolicy. Stres dawał o sobie znać coraz bardziej i podczas wigilijnej kolacji w ambasadzie Lonetree tak się upił, że wyznał swoją podwójną rolę szefowi miejscowej placówki CIA, weteranowi wywiadu Jimowi Olsonowi.

Od tego momentu historia potoczyła się błyskawicznie. Clayton został

aresztowany i przewieziony do Stanów Zjednoczonych. Tam przyznał się do współpracy szpiegowskiej i przekazał listę „przysług”, które wyświadczył KGB. Podał jednocześnie nazwiska ośmiu kolegów z Korpusu Marines, którzy podobnie jak on utrzymywali kontakty z rosyjskimi dziewczynami. Okazało się, że była to bardzo powszechna praktyka pośród młodych, samotnych żołnierzy.

Sąd nie miał dla niego litości i skazał go na trzydzieści lat więzienia. CIA sądziła wówczas, że za dekonspiracją jej wszystkich agentów w ZSRS stoi właśnie Clayton Lonetree, co nie było prawdą. Zdradził ich Aldrich Ames (więcej na ten temat czytaj w rozdziale XV). Gdy prawda wyszła na jaw, Claytonowi zmniejszono wyrok ostatecznie do 15 lat. Na wolność wyszedł w 1996 roku, dziesięć lat po tym, kiedy został skazany. Według niektórych źródeł Wioletta naprawdę zakochała się w Lonetree, pozostając samotną i czekając na niego jeszcze przez dziesięć lat.

Moskiewskie jaskółki

Clayton Lonetree wpadł w typową „słodką pułapkę”, jak zwykle się w języku służb specjalnych nazywało tego typu sytuacje. Kobiety bardzo często wykorzystywane są do takich działań wywiadowczych. Legendą jest tu oczywiście Mata Hari, ale rzemiosło wywiadowcze zna wiele, może mniej popularnych, za to bardziej skutecznych przedstawicielek płci pięknej.

W tego typu działaniach wyspecjalizowały się służby sowieckie.

Wykorzystywały do tego swoje agentki, ale także kobiety, które nie były pracownikami wywiadu czy kontrwywiadu. Część z nich robiła to „dla sprawy”, większość jednak była zmuszana szantażem. Bardzo wiele z tych popularnie nazywanych z rosyjskiego „jaskółek” to zwykłe prostytutki, których zadaniem była inwigilacja przyjeżdżających z zagranicy turystów i biznesmenów. W państwie totalitarnym, jakim był ZSRS, wszyscy byli podejrzani i wszyscy podlegali inwigilacji, zwłaszcza jeżeli przyjeżdżali z krajów komunizmowi wrogich. Rola jaskółek polegała na czasowym odwróceniu uwagi mężczyzny od swoich teczek i dokumentów, tak aby służby mogły zrobić fotokopie. Rzadziej wykorzystywane były do uwiedzenia i szantażowania swojej ofiary, tym zajmowały się już wyćwiczone w swoim fachu „profesjonalistki”.

Oczywiście celem byli dyplomaci, pracownicy służb specjalnych, attaché

wojskowi. Większość dyplomatów trzymała się jednak z daleka od przypadkowych i przelotnych znajomości z rosyjskimi pięknosciami. Przed wyjazdem na placówkę byli oni szkoleni i przestrzegani przed „słodkimi pułapkami”, jakie zakładali na nich oficerowie kontrwywiadu KGB. Romans z dziewczyną mógł zakończyć nie tylko ewentualne małżeństwo ofiary, ale także jego karierę. Strach przed pokusą więc był istotnym elementem niechęci personelu dyplomatycznego przed wdziękami podsuwanych kobiet.

Według danych KGB najłatwiej dziewczynom było nawiązać kontakty z dyplomatami włoskimi. Niemcy, Anglicy i Amerykanie też byli uważani za dość łatwe „przypadki”. Najgorzej było z Duńczykami, Szwedami i Holendrami.

Najwyraźniej czar rosyjskich piękności nie działał na nich wystarczająco.

Oficerowie KGB zdawali sobie doskonale sprawę, że ich ofiary są szkolone na wypadek „naglej” znajomości z piękną kobietą. Dlatego też operacje same w sobie musiały być subtelnie przeprowadzone. Na samym początku, tak w kraju jak i za granicą, zbierano wszystkie dostępne informacje na temat zainteresowań, potrzeb, upodobań i tym podobnych rzeczy. Gdy już dossier było kompletne, przechodzono do etapu planowania operacji. Wybierano odpowiednią do gustu ofiary dziewczynę, o odpowiednich zainteresowaniach, urodzie, stylu bycia.

Następnie aranżowano pierwsze kontakty, ale tak aby werbowany się nie zorientował. To mogły być przelotne kontakty wzrokowe, udział w tych samych spektaklach teatralnych czy wernisażach sztuki itp. Ważne, aby delikwent opatrzył się ze swoim „myśliwym”.

Później dochodziło do pierwszych osobistych spotkań, tak delikatnych jednak aby nie spłoszyć „zwierzyny”. Zasada brzmiała „nic na siłę”, trzeba czekać, a praca w wywiadzie to przede wszystkim czekanie. Gdy się już oplotła danego dyplomatę, doszło do zbliżenia seksualnego, a całość została nagrana i sfilmowana, nadchodził etap finalizacji. Jeżeli ofiara była zakochana, werbunek odbywał się dość łatwo, jeżeli jednak traktowała swoją rosyjską przyjaciółkę jako przelotną miłość, to trzeba było odwołać się do szantażu. W wielu przypadkach odnosiło to skutek. Mężowie wystraszeni ewentualnym rozwodem i komplikacjami rodzinnymi oraz prawdopodobną utratą stanowiska, jakości życia i skandalem decydowali się na współpracę z sowieckimi służbami specjalnymi.

Takie operacje były prowadzone praktycznie od początku powstania

państwa sowieckiego. Znanym i głośnym przykładem jest sprawa Waltera Duranty'ego – moskiewskiego korespondenta „New York Timesa”. Duranty przez dwanaście lat do 1934 roku pracował w Moskwie. Był znany z wyjątkowo prosowieckich tekstów przemilczających panujący głód, represje czy jednowładztwo Stalina. Po zimnej wojnie, gdy otwarto archiwa, okazało się, że od 1929 roku był tajnym współpracownikiem KGB, którego zwerbowało na podstawie zdjęć zrobionych mu z jego kochankiem podczas miłosnych igraszek. Problemem nie była tu ewentualna zazdrość żony czy utrata stanowiska, lecz homoseksualizm, który był podówczas traktowany nie tylko jako choroba, ale i zakazany prawnie pod karą więzienia.

Duranty bał się o swoją karierę. Obawiał się także skandalu, jaki mógł wybuchnąć. Ponieważ podzielał część bolszewickich poglądów, zgoda na współpracę przyszła mu dość łatwo. KGB potrafiło się również odwdzięczać, więc otrzymywał on bardzo wiele ekskluzywnych informacji, w tym i bezpośredni dostęp do Józefa Stalina. Nie będzie przesadą stwierdzić, że do otrzymania nagrody Pulitzera przysłużyły się sowieckie służby.

Ambasador i balerina

Generał Oleg Gribanow stał posepnie w swoim gabinecie. Właśnie dowiedział się, że na stronę wroga przeszedł Jurij Krotkow, oficer, który wiedział o wielu akcjach podejmowanych przez KGB. Gribanow już za życia stał się legendą. Był naczelnikiem II Zarządu KGB (kontrwywiad wewnętrzny) i znany był z niekonwencjonalnych działań oraz agresywnych operacji skierowanych przeciwko zachodnim dyplomatom. Urodził się w Permie w 1915 roku, szybko stracił ojca, a matka nie mogąca go utrzymać oddała małego Olega do domu dziecka. Tułał się po kilku takich przybytkach, gdy w wieku siedemnastu lat został współpracownikiem tajnej policji. Uniknął czystki końca lat trzydziestych, gdyż był zbyt młody, aby swoją karierę rozpocząć jeszcze w Czeka Feliksa Dzierżyńskiego.

Terror dosłownie wymiół wielu wysoko postawionych funkcjonariuszy, a tym samym dla młodych otworzyła się droga kariery. Gribanow skorzystał z tej okazji i piął się nieustannie po szczeblach kariery. Od 1956 roku kierował całym kontrwywiadem. To do jego tajnej siatki należały wszystkie moskiewskie jaskółki i to jego Zarząd zakładał „słodkie pułapki” na nic nie podejrzewających obcokrajowców. Lista werbunków Gribanowa była

bardzo długa. Na jednej z głównych pozycji znajdowała się gwiazda pierwszej wielkości. Teraz to wszystko mogło obrócić się w gruzy i to za sprawą jednego uciekiniera.

Maurice Dejean miał za sobą długą karierę dyplomatyczną. Zaczynał jeszcze przed II wojną światową. W jej trakcie przyłączył się do Wolnych Francuzów gen.

Charles'a de Gaulle'a. Po wojnie pełnił obowiązki ambasadora w przejmowanej przez komunistów Czechosłowacji. W 1956 roku, ukoronowaniem jego dyplomatycznej kariery była posada ambasadora w Moskwie. Francja i ZSRS

utrzymywały ożywione kontakty polityczne i gospodarcze. Nowy ambasador miał w związku z tym wiele pracy, ale jak się okazuje, znalazł też czas na przyjemności.

Dejean oczywiście był świadom pułapek, jakie zastawia kontrwywiad KGB, wychodził jednak z założenia, że to nie może się przydarzyć osobie na jego stanowisku. KGB nie odważyłoby się na taki ruch – myślał. Gribanow widział to jednak inaczej. Był piekielnie zdolnym i ambitnym kontrwywiadowcą i nie przestrzegał niepisanych zasad. Każdy, kto mógł dostarczyć interesujących informacji, był w jego polu widzenia. I nie miało znaczenia, czy dana osoba jest tylko sekretarzem ambasady, czy też samym ambasadorem. Dejean był dość łatwą zdobyczą. Lekceważył środki bezpieczeństwa i wielokrotnie zachowywał się nieodpowiedzialnie. W 1958 roku miał 64 lata i bardzo źle przechodził okres starzenia się. Marie Clarie, jego uroczą żonę, nie dostarczała mu już tych podniet, jakich jeszcze oczekiwał. Czuł się nadal na tyle silny i jurny, że zaczął rozglądać się za o wiele młodszymi partnerkami.

I tu pojawiło się pole do działania dla KGB. Gribanow zdobył pozwolenie samego Nikity Chruszczowa – pierwszego sekretarza sowieckiej partii komunistycznej. Przystąpił więc do działania, zdając sobie sprawę, że operację będzie musiał przeprowadzić w sposób najbardziej delikatny z możliwych.

Wiedząc, że ambasador Francji ubóstwia rosyjski balet i młode dziewczęta, zwerbował do współpracy primabalerinę Teatru Bolszoi Larysę Kronberg-Sobolewską. Piękna, smukła i wysportowana dwudziestolatka zgodziła się bez oporów uwieść starszego od siebie o czterdzieści cztery lata dyplomatę.

W tym czasie była zatwardziałą komunistką, która całą karierę zawdzięczała tak zdolnościom i talentowi, jak i układom i układzikom z prominentnymi działaczami partii.

Gribanow wiedział, że nie ma miejsca na zaloty, uwodzenia, podstępny, nie chciał też ryzykować bezpośredniej próby szantażu w oparciu o kompromitujące filmy i zdjęcia. Gdyby ambasador odmówił, rozpętałaby się międzynarodowa afera i dni generała Gribanowa byłyby policzone. Bóg wybacza, partia nigdy – dobrze o tym wiedział.

Dejean z drugiej strony ułatwiał jednak sprawę, gdyż nastawiony był wyłącznie na szybki, błyskawicznie skonsumowany romans. KGB postanowiło, że do bezpośredniego spotkania Larysy i Maurice'a dojdzie po jednym ze spektakli.

Trzeba było jednak najpierw pozbyć się wszędobylskiej żony ambasadora. Nad balet przedkładała ona zdecydowanie malarstwo i „pech” chciał, że wybranego dnia odbywał się wernisaż artysty, którego Marie Clarie chciała bardzo poznać.

Przeprosiła męża, że nie będzie mogła mu towarzyszyć, na co Dejean przystał z nieukrywaną ulgą. Oczekiwał, że będąc sam, zostanie przedstawiony dziewczynom z baletu. Już tyle razy na to liczył, jednak nigdy nie było sposobności. Znajomi urzędnicy z sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, niekiedy w bardzo poufnych i prywatnych rozmowach, przekonywali go, że człowiek z taką pozycją nie powinien mieć trudności w nawiązaniu bliższych kontaktów z baletnicami. Wszak wszyscy dyplomaci lubiący te uroki życia tak robią – zachęcali.

W dniu premiery jego marzenie – niekoniecznie w takiej formie, jak się spodziewał – miało się spełnić. Po spektaklu entuzjastycznie przyjętym przez publiczność zaproponowano ambasadorowi, czy nie zechciałby osobiście wręczyć kwiatów w garderobie primabaleriny. Maurice tylko na to czekał. Wraz z jednym z urzędników z MSZ, faktycznie pracownikiem KGB, udał się na zaplecze teatru, gdzie w sposób zupełnie oficjalny mógł wręczyć naręczę pięknych, kochanych przez rosyjskie kobiety goździków. Nie zauważył nawet, że jego towarzysz dyskretnie się wycofał i Maurice został sam na sam z Larysą.

W ambasadora jakby piorun strzelił. Młoda dziewczyna ubrana była tylko w zwiewny prześwitujący szlafrok, ledwo zakrywający jej małe piersi i chłopięcą figurę. Taki typ urody lubił najbardziej. Aby odnaleźć się

w sytuacji, kiedy dziewczę się do niego zalotnie uśmiechało, zaproponował otworzenie butelki szampana i pudełka trufli, które znajdowały się w koszu z podarkami. Słusznie sądził, że rosyjskie kobiety to nie krowy, więc samymi kwiatkami się nie najedzą.

Larysa grzecznie przystała na tę propozycję i zaproponowała miejsce obok siebie na stojącym pośrodku pomieszczenia szeslongu.

Rozmawiali ze sobą długo, jakby się znali od lat. Maurice komplementował występ primabaleriny, jej sukcesy zawodowe i grację, którą miała. Larysa nie pozostawała dłużna w zachwytach, jasno dając do zrozumienia, że interesuje ją Francja, Związek Sowiecki stał się za ciasny dla takiej gwiazdy jak ona i myśli poważnie o emigracji. Dejean wspaniałomyślnie zaproponował pomoc w zdobyciu wizy, a także urządzeniu się na miejscu w Paryżu. Przekonany był, że skoro Larysa wyznała mu tak niebezpieczną informację, że chce opuścić, być może na zawsze, swoją ojczyznę, to nie kryje się za tym jakiś nieczyny plan KGB.

Gdy butelka była już pusta, a Maurice z wielkim żalem, niespełniony, przygotowywał się do wyjścia, Larysa zaproponowała, aby oboje udali się na przyjęcie z okazji dzisiejszej premiery. Odbywało się niedaleko i – przekonywała – będzie to wielkim wyróżnieniem i nobilitacją, jeżeli ambasador zechce je zaszczyścić. Jak można podejrzewać, nasz bohater nie dał się długo prosić. Aby nie budzić podejrzeń ochrony, odprawił służbową limuzynę i do restauracji udali się taksówką.

Na miejscu wódka lała się strumieniami. Maurice błyszczał w towarzystwie.

Opowiadał o długoletniej przyjaźni sowiecko-francuskiej, o paryskich literatach komunistach, cytował z pamięci wiersze Louisa Aragona i Rene Crevela. Jego serce wzruszyło się, gdy włączono francuską muzykę. Tego się nie spodziewał, nie tu w Moskwie. Smętne songi Edith Piaf rozklejały jego serce, a Larysa delikatnymi pocałunkami pieściła jego policzek. W tym momencie nadzorujący całą akcję zza szyby samochodu Gribanow mógł uznać, że zwierzyna wpadła w sidła. Miał całkowitą rację, gdyż w chwilę później Maurice otrzymał propozycję, aby udać się do mieszkania Larysy na ostatni, przysłowiowy mały koniak. Aby nie budzić niepotrzebnej sensacji, miał wyjść jako pierwszy i złapać taksówkę, podjechać za róg ulicy i tam poczekać na swoją młodą znajomą.

Ambasador wyszedł w nocy i jak nigdy, miał takie szczęście, że taksówka

pojawiła się niemal natychmiast. Zrobił jak uzgodnili i po chwili czekania primabalerina tuliła się już w objęciach Dejeana. Był rozentuzjasmowany podobnie jak obserwujący go oficerowie kontrwywiadu KGB. Mieli wszystko na taśmie audio i wideo od momentu, kiedy tylko przekroczył próg garderoby gwiazdy sowieckiego teatru. To jednak nie był koniec operacji. Jeszcze mógł się z wszystkiego wyłgać, dla przykładu ilością wypitej wódki. Byłby skandal, ale raczej mały. Każdy dyplomata właściwie zaliczył w swoim zawodowym życiu taką wpadkę. KGB musiało mieć wielki finał.

Klucze w zamku zaskrzypiały i drzwi wejściowe do apartamentu otworzyły się tak szybko, że Maurice nie zdążył nawet założyć bielizny. W drzwiach sypialni stanął barczysty wysoki mężczyzna. Dejean zupełnie bezwolnie zapytał przybysza, kim jest.

– Mężem Larysy, tej dziwki, jak widzę – odpowiedział tajemniczy gość.

– Przecież miał być na wyjeździe służbowym? – Maurice błagalnie patrzył na Larysę, szukając jednocześnie swoich majtek.

Gdy mężczyzna szybkimi krokami zbliżał się do niego, zdążył wykrzyknąć jedynie:

– Jestem ambasadorem Francji, przysługuje mi immunitet.

Być może i przysługiwał, jednak nie od batów, jakie ten rzekomy mąż primabaleriny, a faktycznie oficer KGB, sprawił dyplomacie. Na koniec, celując kopniak prosto w środek pośladków, jednym sprawnym ruchem stopy, wyrzucił ambasadora na klatkę schodową.

Następnego dnia Maurice miał podwójnego kaca. Po pierwsze od ilości wypitego alkoholu, a po drugie od niecodziennej sytuacji, jaka go spotkała. Jeszcze słyszał w uszach głośne groźby „męża” swojej niedoszłej zdobyczy, że powiadomi on o zajściu ambasadę francuską, rosyjskie MSZ, a jak trzeba będzie, pójdzie do prasy. Już rano pracownicy ze zdziwieniem zauważyli pękniętą wargę i zasiniaczenia na twarzy swojego szefa. Wytłumaczył się upadkiem ze schodów.

Większość uwierzyła. Ale jeżeli „mąż” spełni swoje obietnice, to na bólu fizycznym i zszarganym poczuciu własnej wartości się nie skończy. Będzie skandal i jego kariera jest skończona, a być może małżeństwo też.

Powiadomić Paryża nie mógł. Jaki wstyd byłby, gdyby dowiedziano się w ministerstwie, że obił go zazdrosny mąż. Miejscowych władz tym bardziej nie mógł w to mieszać. Co robić, co robić – myślał. Krew zmroziła mu dopiero informacja od sekretarki, że w godzinach porannych zadzwonił jakiś

mówiący po rosyjsku wzburzony mężczyzna, który pytał, kto jest szefem ambasadora.

Sekretarka odpowiedziała, że bezpośrednim minister, i podała mu numer do jego sekretariatu. Teraz Dejean wpadł w prawdziwą panikę. Postanowił zadzwonić do swojego kolegi z rosyjskiego MSZ, tego samego, który wczorajszego wieczoru zaprowadził go do garderoby Kronberg-Sobolewskiej, i poprosić o pilne spotkanie.

Usłużny urzędnik pojawił się po kilkudziesięciu minutach i wysłuchawszy lekko zmienionej wersji wydarzeń, zobowiązał się porozmawiać z rozwścieczonym mężem Larysi.

Dni teraz płynęły powoli i podnosiły poziom napięcia nerwowego i frustracji ambasadora. Wreszcie kolega pojawił się w ambasadzie ponownie z dobrymi wieściami. Mąż jest gotów zapomnieć o tej zniewadze, ale problem jest gdzie indziej. Otóż zaalarmowani awanturą sąsiedzi wezwali milicję. Ta ustaliła, że uczestnikami awantury był obywatel sowiecki i jakiś niezidentyfikowany obcokrajowiec. W takich przypadkach mieli obowiązek poinformowania KGB. Ta przesłuchała „małżeństwo” i wycisnęła z niego, że owym gościem zagranicznym był ambasador Francji. Widząc, że Dejean jest poważnie załamany zaistniałą sytuacją, kolega oświadczył, że co prawda KGB oczekuje współpracy, ale będą to drobne informacje dotyczące państw sąsiednich, a przede wszystkim NATO.

Maurice zgodził się na taki układ. Ambasadorem pozostał jeszcze przez cztery lata, do czasu, kiedy attaché lotniczy ambasady Louis Guibaud popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Dejean powrócił do Paryża.

W ministerstwie otrzymał pracę, jak to się mówi, na „bocznym torze” polityki.

Nigdy po tym, co zaszło w mieszkaniu Larysi, nie spotkał się z nią. Zmarł w 1973

roku w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat. Swoją moskiewską jaskółkę zapamiętał na całe życie.

A co się stało z naszym „swatem” Olegiem Gribanowem? Po kilku spektakularnych ucieczkach oficerów KGB w latach 60. ubiegłego wieku, w czerwcu 1964 roku, po ośmiu latach na tym stanowisku musiał się pożegnać z funkcją naczelnika kontrwywiadu krajowego. Pozostał w KGB, nie pełniąc już jednak tak ważnej, operacyjnej funkcji.

Ujawnione przez defektorów – tak w języku profesjonalistów nazywa się zbiegów z obcych służb specjalnych – fakty wstrząsnęły światem polityki i opinią publiczną. Okazało się, że Dejean nie był jedyną francuską wtyczką, którą zwerbowała KGB. Pośród bardziej znaczących znajdował się François Saar-Demichel, biznesmen z branży papierowej, zwerbowany w 1961 roku. Został on jednym z ważniejszych doradców w sprawach Wschód - Zachód w Pałacu Elizejskim. Wyjaśniło się też tajemnicze samobójstwo Louisa Guibauda, który targnął się na swoje życie, gdyż podobnie jak ambasador został złapany w słodką pułapkę. Nie chcąc zgodzić się pod szantażem na rolę szpiega, wybrał – inaczej niż wielu znajdujących się w jego sytuacji – najbardziej honorowe wyjście.

Czy nagłośniona w 1964 roku afera Maurice'a Dejeana nauczyła czegoś innych dyplomatów? Jak się okazało, nie. Cztery lata później do złapania w słodką pułapkę przyznał się ambasador Wielkiej Brytanii w ZSRR Geoffrey Harrison.

I jak tu nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że mężczyźni są niereformowalni.

ROZDZIAŁ XI

Mordercza kochanka Czerwonego Księcia

W latach 70. XX wieku wybuchała niespotykana wcześniej fala przemocy pomiędzy palestyńskimi grupami terrorystycznymi a izraelskimi służbami specjalnymi. W ciągu kilku lat jedna i druga strona dokonały dziesiątków zamachów i kontrzamachów. W tej tajnej wojnie zginęło wielu ludzi, w tym niewinnych cywilów. W szeregach obu walczących stron znalazły się kobiety, siejąc strach i przerażenie na dwóch kontynentach. Wszystko zaczęło się na finiszu lata podczas historycznych igrzysk olimpijskich.

Kilka minut po godzinie czwartej, 5 września 1972 r., grupa sportowców amerykańskich zbliżała się do ogrodzenia okalającego wioskę olimpijską w Monachium. Jak wielu innych zawodników, potajemnie wyrwali się z codziennego reżimu treningów i uciekali do miasta, by móc je zwiedzać, zabawić się czy też poznać nowe dziewczyny. Dlatego nie zdziwili się, gdy w miejscu, gdzie mieli zamiar przeskoczyć płot, spotkali grupę mężczyzn o śniadych twarzach, częściowo ubranych w stroje sportowe. Wspólnymi siłami udało im się sforsować ogrodzenie ośrodka. Podejrzeń nie wzbudziły nawet ciężkie torby ich nowych kolegów, gdyż wytłumaczyli to zakupami, jakie ci zrobili na mieście, przecież wiadomo, że na Bliskim Wschodzie istnieją problemy ekonomiczne. Następnie obie grupki serdecznie się pożegnały i każda ruszyła w swoją stronę.

Niemiecka precyzja

Udział izraelskiej drużyny olimpijskiej w Olimpiadzie 1972 roku rozstrzygnął się w ostatniej chwili. Całe miesiące trwała ożywiona debata, czy Żydzi powinni brać w niej udział z uwagi na kraj, w którym miały się one odbywać. Nadal żywe były w pamięci zbrodnie Niemców i bardzo wielu

Izraelczyków protestowało przeciwko tak wczesnemu uwiarygodnianiu swoich niedawnych oprawców. Sytuację komplikował dodatkowo fakt, że pierwszy hitlerowski obóz koncentracyjny, Dachau, znajdował się zaledwie kilkanaście kilometrów od miejsca igrzysk. Nie zapomniano również, że poprzednie igrzyska zostały zorganizowane u szczytu potęgi narodowych socjalistów w 1936 roku i stały się tubą propagandową Hitlera. Ostatecznie podjęto decyzję o udziale, a przesądzającym powodem miało być pokazanie światu, że holocaust się nie powiódł, a młode państwo żydowskie może konkurować ze wszystkimi innymi jak równy z równym.

Trzydzieści sześć lat po pierwszej, na niemieckiej olimpiadzie miał się spełnić najgorszy sen przeciwników uczestnictwa w niej izraelskich sportowców.

Na czele ekipy terrorystów, którą tak chętnie, acz nieświadomie, wspomogli sportowcy amerykańscy, stał trzydziestosześcioletni Luttfif Afif, a jego zastępcą był o kilka lat młodszy pracownik wioski olimpijskiej Yussuf Nazzal. Całe komando składało się z ośmiu ludzi. Zadanie ułatwiła im *de facto* strona niemiecka.

Sportowców z Izraela zakwaterowano w bocznym budynku niedaleko bramy wejściowej na teren ośrodka. Pomimo żądań, aby budynek był wzmocniony przez patrole policyjne, gospodarze nie zdecydowali się na taki ruch. Uznali to za skrajną przesadę, poza tym nie chcieli dodatkowo wywoływać skojarzeń z przeszłością, a takie miałyby miejsce, gdyby wokół budynku przemieszczali się umundurowani policjanci z psami.

Palestyńczykom plan ataku zaczął się walić już po przekroczeniu muru.

Słyszając chrobotanie do drzwi wejściowych ośrodka – terroryści posiadali dorobione klucze – Yossef Gutfreund, sędzia zapaśniczy, postanowił sprawdzić, co się dzieje. W uchylających się drzwiach zobaczył uzbrojonych ludzi. Ten był zapaśnik natarł całą siłą swojego ciała na otwierane drzwi i próbował je zablokować. Bezskutecznie. Do pomocy ruszył obudzony wrzaskami trener zapaśców Moshe Weinberg, ale i jego interwencja na nic się zdała wobec faktu, gdy jeden z napastników wycelował broń i postrzelił go w policzek. Zamroczony Moshe był pierwszym z chwytyanych, ale nadal żywych członków drużyny.

Nakazano mu, aby wskazał mieszkania, które zamieszkują sportowcy z Izraela.

Skłamał, że pod numerem 2 są inni sportowcy – faktycznie w budynku

mieszkali jeszcze Urugwajczycy ...- i poprowadził terrorystów wprost do czołówki izraelskich zapasników. Miał nadzieję, że ci rośli mężczyźni pokonają w walce wręcz atakujących. Ci jednak nie usłyszeli ani szamotaniny, ani strzałów. Zostali ujęci podczas snu. Całą jedenastoosobową grupę przeprowadzono do pokoi trenerskich, skąd rozciągał się najlepszy widok na plac okalający budynek. Tam wywiązała się kolejna szamotanina, w wyniku której zastrzeleni zostali dzielny Moshe Weinberg i Yossef Romano, mistrz podnoszenia ciężarów.

Od tej pory przebieg wydarzeń mógł obserwować cały świat na ekranach swoich telewizorów. Terrorysty zażądali uwolnienia 234 swoich towarzyszy przetrzymywanych w izraelskich więzieniach oraz Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof z niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii więzionych w RFN.

Rząd w Tel Awiwie odrzucił jakąkolwiek możliwość negocjacji, kierując się zasadą, że nie negocjuje się z terrorystami trzymającymi broń przy głowie ofiary.

Zaproponowano, że do Niemiec zostanie wysłana jednostka specjalna, specjalizująca się w odbijaniu zakładników. Socjaldemokratyczny kanclerz Willy Brandt odrzucił tę możliwość, nie wiedząc, że tym samym skazuje uwięzionych zakładników na śmierć.

Szefem całej operacji został minister spraw wewnętrznych Bawarii Bruno Merk, który na miejsce akcji wysłał ubranych w cywilne stroje funkcjonariuszy Straży Granicznej, kompletnie nieprzygotowanych do tego typu zadań. Błąkali się oni po terenie ośrodka, często wchodząc w oko kamer relacjonujących wydarzenia.

Tym samym terrorysty byli dość dobrze zorientowani w sytuacji.

O godzinie 18.00 terrorysty mając świadomość bezskuteczności swoich dotychczasowych żądań, zmienili je, nalegając na Niemców, aby podstawiono im samolot, który przewiezie ich do Egiptu. Władze przystały na takie rozwiązanie, planując jednocześnie próbę odbicia Żydów już na lotnisku. Gdy cała grupa – terrorysty i zawodnicy – około godziny 23.00 znalazła się już na miejscu, doszło do jednej z najbardziej spektakularnych klęsk działań antyterrorystycznych i kompromitacji służb niemieckich. Terrorysty bardzo szybko zorientowali się, że samolot nie jest gotowy do lotu. W wyniku bezwładnej strzelaniny i rzucenia kilku granatów zginęli wszyscy zawodnicy Izraelscy. Przeżyło trzech terrorystów.

Całą akcję przed telewizorem oglądała młoda Angielka Erika Maria

Chambers.

O godzinie 12.30

telewizja poinformowała, że operacja antyterrorystyczna służb niemieckich zakończyła się pełnym sukcesem. Zginęli wszyscy terroryści i nikt z zakładników. Erika spokojnie poszła spać. Rano jednak doszły pierwsze hiobowe wieści. Okazało się, że źle poinformowani dziennikarze pomylili fakty. Oddaleni o kilkaset metrów nie byli w stanie dokładnie zobaczyć miejsca akcji. Pierwsze oficjalne komentarze też były dezinformujące. Erika była w szoku. Na olimpiadzie, w państwie potomków nazistów, palestyńska organizacja dokonała rzezi Żydów. To było jak koszmar, który się spełnił. Należała do tej grupy osób, które już wcześniej miały wątpliwości co do udziału izraelskich sportowców w zawodach.

Od początku lat 70. ubiegłego wieku narastał w Niemczech terror skrajnie lewicowych organizacji, w tym grupy Baader-Meinhof. Byli oni powiązani z podziemnym ruchem palestyńskim, co automatycznie oznaczało stanie na pozycjach antyizraelskich. Dodatkowo trzy miesiące wcześniej kierownictwo grupy zostało wytropione i trafiło do więzienia. Można było się spodziewać, że pozostający na wolności towarzysze i koledzy z innych organizacji terrorystycznych będą chcieli odbić swoich przywódców.

Odezwał się telefon. Po drugiej stronie słuchawki słychać było głos matki.

– Słyszałaś? – zapytała przejęta. – Erika nie mogła powstrzymać szlochu.

– Tak, mam, tak. – I zanosła się spazmatycznym płaczem.

– I co teraz zrobisz? – Zimnym tonem zapytała matka.

– Wyjeżdżam.

Erika Chambers była z pochodzenia Żydówką, podległą majestatowi królowej Elżbiety II. Posługiwała się brytyjskim paszportem, podobnie jak jej rodzice. Była dumna ze swego pochodzenia, chociaż niewielu z jej znajomych o tym wiedziało. Jej matka uciekła w latach 30. ubiegłego wieku z przejętej przez nazistów Austrii. W Wiedniu była czynną działaczką ruchu syjonistycznego.

Urodziła się w 1917 roku – w okresie wybuchu wielkiej rewolucji październikowej.

Jej rodzina, jak wiele innych żydowskich, wyemigrowała z Galicji Wschodniej do Wiednia. Tylko jej udało się przeżyć. Reszta zginęła w holokaucie.

W początkach lat 40. XX wieku poślubiła Johna Chambersa, urzędnika

jednego z ministerstw.

Erika przyszła na świat zaraz po wojnie. Wychowywana była w duchu syjonistycznym, w wielkim przywiązaniu do tradycji. Idąc na studia, wybrała jako kierunek hydrologię, gdyż ta gałąź wiedzy w jej opinii była bardzo potrzebna w położonym na pustyni Izraelu. Razem z matką często odwiedzały Żydowski Ośrodek Kultury w Londynie i brały czynny udział w dyskusjach. Choć aktów terroru skierowanych wobec państwa izraelskiego nie brakowało już wcześniej, to jednak atak z września 1972 roku wstrząsnął młodą Eriką tak, że postanowiła, nie czekając, spakować walizki i udać się do jej drugiej ojczyzny.

Jej samolot wylądował w Tel Awiwie pod koniec września. Zdążyła się jeszcze zapisać na Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie i rozpocząć pracę przy robotach hydrologicznych na pustyni Negew. Wylądowała w znakomitym czasie.

Mossad – izraelskie służby specjalne – poszukiwał właśnie nowych agentów do akcji antyterrorystycznych, skierowanych przeciwko planistom i wykonawcom masakry monachijskiej.

Czarny Wrzesień

Ali Hassan Salameh w dniu ataku na izraelskich olimpijczyków miał trzydzieści dwa lata. Był młody, ale jego doświadczenia życiowe wybiegały daleko ponad jego wiek. W tym czasie nie tylko kierował atakiem w Monachium, ale też był szefem Force 17 – jednostki specjalnej Organizacji Wyzwolenia Palestyny i szefem ochrony Jasera Arafata. To była poważniejsza strona jego życia, w swoim drugim wcieleniu był playboyem otoczonym wianuszkami pięknych kobiet, szybkimi samochodami i najdroższymi butelkami szampana.

Urodził się w 1940 roku w miasteczku Qula niedaleko Jaffy. Był synem znanego i cenionego duchownego szejka Hassana Salameha. W wieku ośmiu lat został osierocony, gdy ojciec zginął podczas wojny izraelsko-palestyńskiej.

Bojownicy nie zostawili go na pastwę losu. Uczęszczał do najlepszych szkół koranicznych, a jako nastolatek został wysłany na studia do Niemiec. Po powrocie nie marzyła mu się jednak wojaczka. Bardziej ciągnęło go w kierunku kobiet i nocnego życia. Pomimo że przeszedł szkolenia wojskowe

w Kairze i Moskwie – która w tym czasie chętnie wspierała swoich arabskich braci – nie odznaczył się jakoś specjalnie na polu walki. Sytuację miało zmienić dopiero osobiste spotkanie z Arafatem. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego przywódca Palestyńczyków postanowił postawić na młodego, niezdyscyplinowanego chłopaka. Być może rolę odgrywały warunki fizyczne Aliego – był przystojnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną, a właśnie takich kochanków preferował Arafat.

Choć mogło się wydawać, że Salameh nie nadaje się za bardzo do kierowania oddziałami specjalnymi, jego brawura, nieodpowiedzialność, rozrywkowy styl życia predestynowały go do bycia raczej zwykłym „cynglem”, to jednak jako główny terrorysta sprawdził się doskonale. W 1970 roku został szefem operacyjnym organizacji Czarny Wrzesień. Została ona nazwana w ten sposób dla uczczenia masakry, jaką król Jordanii Husajn zorganizował na uciekinierach palestyńskich zamieszkujących jego kraj.

W wyniku okupacji przez wojska izraelskie Palestyny wielu jej dotychczasowych mieszkańców schroniło się w Jordanii. Przez lata poczuli się jak u siebie, na tyle, że zaplanowali przewrót wojskowy, obalenie króla i przejęcie władzy. Wzdłuż granicy, na terenach, gdzie mieszkali, stworzyli praktycznie kontrolowane tylko przez nich parapaństwo. 17 września doszło do nieudanego przewrotu. Akcja sił jordańskich była okrutna. Bojowników zabijano w domach i na ulicach. Masakra zakończyła się dopiero w lipcu rok później, a resztki bojowników wyemigrowały do Libanu i Syrii. Tamten czas nazwany został Czarnym Wrześniem.

Organizacja o tej nazwie miała w założeniach skierować swój atak na cele w Jordanii i tak było rzeczywiście na początku. Zaatakowali biura jordańskich linii lotniczych, ambasadę w Paryżu, porwali samolot czy też zamordowali pięciu jordańskich agentów służb specjalnych w piwnicy jednego z domów w Bonn.

Jednak ślepa nienawiść do Izraela doprowadziła ich do Monachium i potępienia przez cały cywilizowany świat. Chociaż organizacja po tej akcji stopniowo obumierała, a nikt z kierownictwa OWP nie chciał brać za nią odpowiedzialności, to Ali Salameh, planując masakrę izraelskich sportowców, podpisał na siebie wyrok śmierci.

Nic jednak nie wskazywało na to, by chciał zmieniać swoje dotychczasowe nawyki. „Uzbrojony” w dużą ilość gotówki, przekazywaną przez różnych

przyjaciół sprawy palestyńskiej objeżdżał Bliski Wschód i Europę. Nie żałował sobie rozrywkowego życia. Zakupy nowych samochodów, całonocne balangi w dyskotekach, rano kąpiele z kobietami w najlepszych hotelowych apartamentach.

Był to czas, gdy służby specjalne państw europejskich przymykały oko na wyczyny terrorystów.

Nikt nie chciał zadzierać z fanatykami. Zbyt cenne było życie francuskich, niemieckich czy też belgijskich dyplomatów, aby składać je na ołtarzu bilateralnych relacji z Tel Awiwem. Z tej swoistej bezkarności korzystał Salameh i jego koledzy. W kilku stolicach utworzono biura Czarnego Września, które miały służyć do koordynacji kolejnych działań zbrojnych. Ali czuł się w Europie jak u siebie. Podróżując w terrorystycznych „interesach”, większość czasu spędzał jednak na ulubionych przez siebie rozrywkach. Przydomek Czerwony Książę – od ilości krwi, jaką przelał, skutecznie działał jako wabik na kobiety. Miało to trwać jednak tylko do czasu. W okresie bezsilności europejskich służb Mossad postanowił nie być bierny. Krew za krew.

Wyślijcie naszych chłopców

O losie Aliego zdecydować miały dwie kobiety. Pierwszą z nich była urodzona w Kijowie premier Izraela Golda Meir. W październiku dwóch szefów służb specjalnych Zwi Zamir, szef Mossadu, i Aharon Jariw – były szef wywiadu wojskowego Aman, poprosiło o konfidencjonalne spotkanie. W jego trakcie zaproponowali ni mniej, ni więcej, że ich służby stworzą specjalną jednostkę, której zadaniem miała być eliminacja osób zaangażowanych w atak w Monachium.

Wszystkich bez wyjątku. Pani premier się wahała.

Na liście mogło się znajdować kilkanaście nazwisk i jak dotąd służby Izraela nie prowadziły operacji na taką skalę. Frontem walki miał być nie tylko Bliski Wschód i sąsiedzi państwa żydowskiego, ale także, a może przede wszystkim Europa. To głównie tam krzyżowały się nitki palestyńskiego terroryzmu. Według koncepcji szefów służb, za przeprowadzenie ataków miała być odpowiedzialna Cezarea, supertajny, operacyjny wydział Mossadu. Organizacja miała powołać kilka grup, które podczas wykonywania wyroków współpracowałyby ze sobą.

Jedna – odpowiedzialna byłaby za logistykę przed atakiem; wynajem samochodów, rezerwację hoteli i konspiracyjnych mieszkań, przerzut broni. Druga zajmowałby się wyłącznie śledzeniem potencjalnych celów, lokalizowaniem miejsc ich pobytu, codziennych tras do i z pracy. Trzecia miała odpowiadać za zacieranie śladów, czwarta, najważniejsza, dokonywać zabójstw. Oni jako ostatni pojawiali się w mieście, gdzie miano dokonać zamachu, i bezpośrednio po nim opuszczali miejsce swojego pobytu, podróżując oddzielnie w różnych kierunkach.

Na czele operacji stanął as izraelskich służb Mike Harari, małomówny weteran armii. Do poszczególnych zespołów dobierano ludzi posiadających zagraniczne paszporty lub też wyrabiano im fikcyjne. Bardzo często zdarzało się, że nowi obywatele Izraela podarowywali swoje dotychczasowe dokumenty Mossadowi. On na tej podstawie wystawiał nowe tożsamości z nową legendą.

Ponieważ Mossad nie dysponował taką liczbą agentów, by przeprowadzić operacje w kilku miejscach naraz, wybierano pojedyncze cele. Wiązało się to ze sporym ryzykiem. Dwa główne polegały na tym, że ludzie z Czarnego Września szybko by się zorientowali, że prowadzone jest na nich polowanie, a ponadto mogli przejść do jeszcze głębszej konspiracji, co utrudniłoby ich wyśledzenie.

Dodatkowo należało spodziewać się akcji odwetowych przede wszystkim na bezbronnych obywatelach Izraela, najłatwiejszym celu ataków.

Szefowie służb gotowi byli ponieść taką cenę. Akcja, która ostatecznie została nazwana Gniew Boży, miała pokazać światu, że nie ma zgody na mordowanie niewinnych Żydów. Ci, którzy się na to zdecydują, muszą mieć świadomość, że Państwo Izrael i jego rząd, nigdy nie zaprzestaną poszukiwań sprawców zamachów terrorystycznych i wymierzą im sprawiedliwość, która zawsze oznacza śmierć.

Mike Harari od razu się zorientował, że nie ma odpowiedniej liczby osób do wykonania tego typu zadań. O ile z żołnierzami jednostek specjalnych, jacy mogli wykonywać bezpośrednio zamachy, nie było problemów – Izrael prowadził permanentną wojnę ze wszystkimi i ludzi doświadczonych nie brakowało – o tyle Mossad nie miał zbyt wielu kandydatów do innych działań ochraniających całą operację. Potrzebni byli przeciętnie wyglądający ludzie, bardziej przypominający turystów niż agentów, do tego konieczne były również kobiety. I tu na celowniku Mossadu pojawiła się Erika

Chambers.

Werbunek

Jak już pisaliśmy, młoda Angielka postanowiła poświęcić się dla Państwa Izrael. Porzuciła spokojne życie w Londynie, by rozpocząć studia hydrologiczne w Jerozolimie, na kierunku, który jak się jej wydawało, będzie potrzebny i przyszłościowy w jej nowym kraju. Ojczyzna zaplanowała jednak dla niej inne zadania.

Erika była idealna jako obiekt do pozyskania. Była młoda, ale nie na tyle atrakcyjna, by zwracano na nią przesadną uwagę. Miała europejskie rysy twarzy, angielski był jej językiem podstawowym, całe swoje życie spędziła albo w miejscu urodzenia, albo w Australii – i co najcenniejsze – posiadała prawdziwy, oryginalny brytyjski paszport. Tylko czy nadawała się do tej pracy? Wydawało się, że przynajmniej patriotycznie jest dobrze ukształtowana. Pamiętano o jej pełnych zapału wypowiedziach na spotkaniach w żydowskich instytucjach w Londynie.

Zawsze broniła sprawy Izraela i nigdy nie miała wątpliwości co do słuszności polityki tego kraju. Ale sam fundament patriotyczno-ideologiczny to za mało, aby zostać tajnym agentem.

Drugi semestr na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie zaczął się dla Eriki wyjątkowo szczęśliwie. Pierwsze egzaminy zdała celująco, koleżanka z akademika darzyła ją sympatią i od pewnego czasu zauważyła, że wykładowca historii sztuki o imieniu Dawid wydawał się zwracać na nią szczególną uwagę.

Zresztą sama wybrała jego zajęcia, które przy jej specjalizacji nie były obowiązkowe. Dawid fascynował ją swoją erudycją, poczuciem humoru i był – jak zwykła mawiać, cytując matkę – „trzy krople ładniejszy od diabła”.

Od pewnego czasu zaczepiał ją na dziedzińcu czy korytarzach uniwersyteckich, wchodząc w niezobowiązujące rozmowy. Ograniczały się one na początku wyłącznie do historii sztuki, ale z czasem przechodziły też na inne tematy. Po kilkunastu tygodniach znajomości Erika zaczęła zwierzać się swojemu wykładowcy z życia osobistego. Opisywała warunki, w jakich mieszka i pracuje, postępy w nauce, często wspominała też rodzinną przeszłość, zwłaszcza tę bolesną zakończoną za drutami obozów koncentracyjnych.

Dawid, jak się okazało, był członkiem nieformalnej grupy, która zajmowała się dokumentowaniem zbrodni nazistowskich. zaproponował jej udział, a Erika chętnie na to przystała. Spotykali się w kilku mieszkaniach prywatnych, w gronie ludzi w różnym wieku. Wysłuchiwali wykładów, oglądali filmy. Pewnego razu gościem miał być pewien stary Żyd, który jako jedyny z rodziny przetrwał holokaust, będąc więźniem obozu w Oświęcimiu.

Ta opowieść zrobiła na niej kolosalne wrażenie. Co prawda była córką i wnuczką potomków holokaustu, ale nigdy wcześniej nie spotkała się z naocznym świadkiem mordów. Ta historia coś w niej zmieniła. Stary Żyd, kończąc, powiedział: „Podobnie jak wiara wymaga uczynków, tego samego wymaga sprawiedliwość. Dla niej musimy, właściwie to wy, młodzi Żydzi, być gotowi przelać krew. Swoją i swoich wrogów. Już nigdy nie możemy pozostać bezbronni, żeby świat nie odważył się na coś podobnego wobec nas, musimy ścigać i tropić wszystkich tych, którzy skrzywdzili nas i naszych bliskich”. Erika przeczuwała, że gość wieczoru nie mówi tylko o Adolfie Eichmannie, głównym organizatorze eksterminacji, pojmanym w Argentynie i potajemnie przemyconym do Izraela w 1960 roku. Wiedziała, że teraz na celowniku powinni znaleźć się terroryści, którzy dokonali masakry sportowców.

Po spotkaniu Dawid zaproponował mającej łzy w oczach Ericie pójście do pobliskiej knajpki. Siedząc tam i sącząc białe wino, nadal rozmawiali o tym, co usłyszeli na spotkaniu. Erika pomstowała na pokojowe działanie państwa, na brak odpowiedniej reakcji po zamachu, na to, że sami pozwalają, by koszmar prześladowań Żydów powrócił. Zwracała uwagę, że do Palestyńczyków przyłączyli się Niemcy z lewackich organizacji terrorystycznych. Wszystko zaczęło układać się w jedną całość.

Dawid trzymając ją za rękę, nie przerywał jej wywodu. Potakiwał tylko głową. Erika stwierdziła, że ona jednak nie może nic zrobić, ale gdyby mogła, na pewno nie zawahałaby się poświęcić. W tym momencie nad stolikiem, mogłoby się wydawać zakochanej pary, stanął ten sam stary Żyd, który był gościem spotkania.

Zapytał, czy może się dosiąść, gdyż słyszał fragmenty emocjonalnego wywodu Eriki. Zaczął mówić, że młodzi mają ogień w sercach, ale on czasami szybko się wypala lub skutecznie wznieca pożar także w ich głowach. A to nie jest dobre.

Sprawiedliwość wymaga wytrwałości, pokory i cierpliwości. Takie cechy

ma jednak niewielu ludzi, dlatego też tylko nieliczni będą wybrani.

Erika nie miała wątpliwości, że ona też może być „wybraną”, wszak poświęciła wszystko dla swej nowej ojczyzny. Żyd siedział i słuchał. Dawid opuścił ich już dawno, spieszył się na inne spotkanie. Erika zafascynowana słuchała i przekonywała swojego rozmówcę, że to właśnie jej ogień jest trwały i podlewany nieustannie ludzką niesprawiedliwością.

Stary Żyd zaproponował spacer wąskimi uliczkami starego miasta. Mrok późnego wieczoru doskonale nadawał się do przeprowadzenia takiej rozmowy.

Erika właściwie opowiedziała mu całe swoje dotychczasowe życie i zdradziła, jakie motywacje nią kierują. Właściwie wiedział już to wszystko. Panna Chambers znalazła się na celowniku służb już po samym przyjeździe do Izraela. Dla nich pracował Dawid i koleżanka z akademika. Mieli ją badać i opisać, jak robią to naukowcy w przypadku odkrycia nowych gatunków. Ich opinia była zgodna – warto na nią postawić.

Gdy Erika skończyła, jej towarzysz stwierdził, że zna wielu ludzi takich jak ona, w różnym wieku. Ich celem jest ochrona Żydów i wymierzanie sprawiedliwości. Czy chciałaby do nich dołączyć? Do organizacji, jaka zajmuje się bezpieczeństwem? Jeżeli tak, to podał jej adres na małej kartce papieru. Niech najpierw się dobrze zastanowi, a następnie, jeżeli uzna, że to, co mówi, chce wprowadzić w czyn, to niech przyjdzie pod wskazany adres.

Spirala terroru

Gdy Erika rozpoczynała swoje szkolenia wywiadowcze, grupy operacyjne przygotowywały i wykonały już pierwsze zamachy w Europie. Celem ataku stał się Wael Zwaiter, trzydziestoosmiolatek, przedstawiciel Czarnego Września w Rzymie. Na co dzień uchodził za wyjątkowo spokojnego człowieka, tłumacza poezji arabskiej, który w niczym nie przypominał fanatycznego terrorysty.

Kilkanaście miesięcy wcześniej zwerbował dwie niczego nieświadome Europejki, które wsadził do samolotu wraz z bombą zegarową. Wybuch nie wyrządził jednak większych szkód. 16 października wracał do domu. Nacisnął na przycisk windy, gdy dwóch nieznanych mu mężczyzn zbliżyło się do niego i oddało strzały. Zwaiter zginął na miejscu.

Ósmego grudnia 1972 roku komando Mossadu zabiło Mahmuda

Hamszariego, szefa OWP na Francję. Kilka dni wcześniej został wywabiony ze swojego mieszkania przez podającego się za dziennikarza agenta wywiadu.

Podczas jego nieobecności, pod stolikiem, na którym stał telefon, podłożono bombę. Gdy Hamszari ponownie podniósł słuchawkę, ładunek eksplodował.

Ciężko ranny zmarł kilka dni potem w szpitalu.

Kierownictwo Czarnego Września nie miało już wątpliwości, że mają do czynienia ze zorganizowaną akcją przeciw sobie. Nie byli jednak do końca pewni, kto ją organizuje. Mogła być to również konkurencja w ramach palestyńskich grup terrorystycznych. Jednak precyzja, zwłaszcza drugiego zamachu, wskazywała na służby Izraela. Musieli na to zareagować. Podczas tajnego spotkania, przy udziale również Salameha, ustalono, że muszą przeprowadzić akcję odwetową. Celem stał się Baruch Cohen, weteran Mossadu, rozpoznany jako szef siatki wywiadowczej pośród palestyńskich studentów w Madrycie. 26 stycznia spotkał się on ze swoim agentem, który pracował również dla Czarnego Września. Gdy obaj panowie wyszli na ulicę, drogę zastąpiło im dwóch terrorystów. Celne strzały pozbawiły życia Cohena. Była to pierwsza ofiara akcji odwetowych zorganizowanych przez Salameha.

Kolejne miały się pojawić w następnych tygodniach. Palestyńczycy zabili w odwecie Amiego Szechoriego, attaché izraelskiej ambasady w Londynie oraz nieskutecznie próbowali zastrzelić w restauracji w Brukseli oficera Mossadu Zadoka Ofira. Przeżycie zawdzięczał znakomitemu wyszkoleniu, jakie przeszedł w szkole wywiadowczej.

Mossad przystąpił do jeszcze energiczniejszego działania. Za cel wzięł Husajna Abd al.-Hira, przedstawiciela Czarnego Września na Cyprze. Wysadzono go wraz z jego łóżkiem hotelowym. Jak opowiadali świadkowie, oderwana głowa ofiary wystawała z muszli klozetowej. Dwa tygodnie później w Nikozji pojawił się jego następca i po spotkaniu ze swoim kontaktem z KGB stracił życie w identyczny sposób.

Dla Arafata i Salameha tego już było za dużo. Nie tylko stracili po kolei dwóch swoich przedstawicieli na Cyprze, ale sposób, w jaki wykonano egzekucje, ośmieszał ich w oczach innych bojowników. Zemsta miała być taka, że zapamięta ją cały świat. Salameh zaproponował, aby uprowadzić samolot izraelskich linii lotniczych, wypakować go materiałami

wybuchowymi i rozbić w centrum Tel Awiwu. Jednak gromadzenie takiej ilości materiałów wybuchowych nie uszło uwagi służb izraelskich. Zaczęli śledzić poszczególnych uczestników akcji i natrafili na Basila al.-Kubaisiego, jednego z przywódców grupy. Postanowili go zlikwidować i tym samym zdeorganizować planowany zamach. 6 kwietnia zaczęli się na niego na jednej z uliczek Paryża. Pech chciał, że gdy zabójcy zbliżali się do niego, obok zatrzymał się samochód i ponętna kobieta złożyła Basilowi jednoznaczny propozycję, na którą on przystał. Akcja wydawała się skończona, kiedy to jeden z agentów zaproponował, aby poczekać jeszcze chwilę, gdyż cel zostanie pewnie odwieziony w to samo miejsce. Tak też się stało. Pół godziny później al.-Kubaisi wysiadł z samochodu. Podeszło do niego dwóch ludzi i otworzyło ogień. Zginął na miejscu i można mieć nadzieję, że przynajmniej ostatnie pół godziny swojego życia spędził miło.

Niepowodzenie akcji, która mogła być protoplastką ataku na WTC 11 września 2001 r., spowodowało wzmocnienie szeregów terrorystycznych. Salameh zaplanował kilka następnych operacji, w tym i atak na ambasadę Arabii Saudyjskiej w Chartumie. Terrorysty wdarli się na przyjęcie i sadystycznie zabili ambasadorów USA i Belgii oraz zastępcę szefa misji amerykańskiej. Kilka dni po akcji wszyscy ludzie Czarnego Września byli już na wolności. Sudańczycy postanowili ulec terrorystom w obawie przed kolejnymi zamachami. Świat był oburzony, ale to tylko premier Izraela Golda Meir przygotowała akcję odwetową.

W czepku urodzony

Salameh dotychczas unikał zamachów na swoje życie. Wydawał się być nieuchwytny. Przesłuchiwanie terrorystów wskazywało na niego jako głównego inspiratora i planistę kolejnych akcji. Stał się numerem jeden na liście najbardziej poszukiwanych wrogów Izraela. Planowana akcja z samolotem naprawdę wystraszyła rząd izraelski. Oznaczała, że terrorysty planują już o wiele większe akcje, bardziej radykalne i potworne na skalę wręcz apokaliptyczną. Jedynym rozwiązaniem mogła być akcja, która za jednym razem pozbawi głowy dowódczej Czarny Wrzesień. Zaplanowano ją na kwiecień 1973 roku i nosiła nazwę kodową Wiosna Młodych. Polegała na wysłaniu grupy operacyjnej do Bejrutu, gdzie znajdowała się główna siedziba Czarnego Września. Pierwszą ekipę mieli wspomóc żołnierze z jednostki

specjalnej Sajeret Matkal, którzy przybędą na miejsce bezpośrednio przed operacją. Celem byli: Abu Jussef, szef Czarnego Września, Kamal Adwan, szef pooperacyjny Fatahu, Kamal Nasser rzecznik tej organizacji oraz najbardziej poszukiwany Ali Hassan Salameh.

Późną nocą agenci i komandosi przebrani w stroje hipisów wyruszyli samochodami do budynków sztabu Frontu Wyzwolenia Palestyny i budynku mieszkalnego, gdzie nocowali przywódcy terrorystów. Kolejna z grup zaatakowała koszary OWP, aby odciągnąć uwagę palestyńskich jednostek zbrojnych. Operacja okazała się olbrzymim sukcesem. Wysadzono sztab, zlikwidowano przywództwo i przy niewielkich stratach wycofano bezpiecznie jednostki na teren Izraela. Łyżką dziegciu w beczce miodu było niewykrycie Salameha. Spał on spokojnie, kilka budynków dalej. O wybiciu swoich przyjaciół dowiedział się dopiero rano.

Drugi raz kostucha miała zbliżyć się do niego w Lillehammer, znanej miejscowości narciarskiej w Norwegii. Mossad otrzymał wiarygodną informację, że jeden z łączników organizacji palestyńskiej, klucząc po całej Europie, udał się ostatecznie na spotkanie z Salamehem właśnie tam. Zmobilizowano szybko wszystkie grupy i wysłano w pościg. Salameh wraz z ciężarną kochanką 23 lipca opuścili kino po projekcji filmu „Tylko dla orłów”. Autobusem udali się do mieszkania już od kilku dni obstawianego przez Izraelczyków. Na miejscu dosięgły go kule zamachowców. Problem polegał jedynie na tym, że ofiarą był marokański kelner Ahmed Buszichi, łudzaco podobny do Salameha. To jednak nie był koniec problemów. Tak lekceważona przez Mossad norweska policja wyłapała większość zamachowców i postawiła przed sądem. Była to największa katastrofa służb specjalnych w historii Izraela, zakończona całkowitą kompromitacją. Przy okazji ujawniono nazwiska oficerów i agentów Mossadu oraz modus operandi działania tych służb.

Akcja ta miała dwa skutki. Na pewien czas zastopowała akcje wywiadu oraz skłoniła Salameha do zwiększenia swojej ochrony oraz podjęcia agenturalnej współpracy z Centralną Agencją Wywiadowczą. To w jego opinii miało mu gwarantować, że Mossad, współpracujący z CIA, nie odważy się na zamach na amerykańskiego agenta, którym był od tej pory. Nic jednak z tego. 8 października kula z broni snajpera trafiła go w brzuch. Przeżył dzięki szybkiej interwencji lekarzy. Łącznie wywinął się śmierci aż osiem razy.

Miecz sprawiedliwości

Salameh mógł się łudzić, że zwiększenie ochrony i kuratela CIA uchronią go od zemsty, ale w Europie od kilku już lat do swojej akcji życia przygotowywała się Erika Chambers.

Po przejściu podstawowego szkolenia wywiadowczego została skierowana do Niemiec Zachodnich, aby skrupulatnie tworzyć swoją legendę. Zaangażowała się tam w różne komitety pomocy uchodźcom, w tym i oczywiście Palestyńczykom. Pilnie uczyła się arabskiego, nadal ćwiczyła sporty walki i strzelanie. Na co dzień prowadziła życie zwykłej dziewczynki-kwiatu, niespecjalnie przywiązanej do swojego miejsca zamieszkania. Adresy i miasta zmieniała dość często, mieszkając w hippisowskich komunach i nawiązując przelotne romanse z działaczami skrajnej lewicy. Być może uczestniczyła w kilku zamachach jako jedna z agentek obserwacji, ale nie ma na to potwierdzonych danych. Z całą pewnością można jednak stwierdzić, że była uśpionym agentem czekającym na swoją okazję. Ta miała pojawić się dopiero po ośmiu latach.

Odwiedziła też raz Anglię, aby wymienić swój paszport, gdyż było w nim zbyt dużo izraelskich stempli granicznych uniemożliwiających podróżowanie po krajach arabskich.

Wczesną wiosną 1978 roku Erika Chambers wylądowała w Bejrucie. Była oficjalną przedstawicielką organizacji pomocy dzieciom ASED. Zarejestrowana w Szwajcarii, była tak naprawdę przykrywką Mossadu, stworzoną wyłącznie w celu penetracji palestyńskich środowisk politycznych i wojskowych. Zadaniem Eriki była infiltracja Salameha i jego najbliższego środowiska. Miała zbliżyć się do niego, wykonać wyrok lub umożliwić to innym agentom. Zadanie okazało się przynajmniej w części wyjątkowo łatwe.

Salameh bardzo często przyjeżdżał do obozów uchodźców i wspierał jak mógł swoich pobratymców. Ten kobieciarz bardzo szybko zauważył młodą Angielkę o lewicowych poglądach, zaangażowaną w pomoc humanitarną. Nie było w tym nic niezwykłego. Bardzo wielu młodych lewicowych Europejczyków podróżowało po krajach arabskich, niosąc pomoc w ich opinii prześladowanym ludom. Bardzo wiele z tej grupy stanowiły zagubione życiowo kobiety. Erika pasowała do tego profilu. Choć Salameh już od

pewnego czasu był żonaty z jedyną w historii miss świata pochodzącą z Libanu, to nadal prowadził hulaszczę życie pełne przygodnych kochanek.

Panna Chambers wpadła mu w oko i odwzajemniała jego uczucia. Bardzo szybko stali się parą. Gdy Salameh nie spędzał czasu w domu z rodziną, przebywał w mieszkaniu Eriki w centrum Bejrutu. Udało się jej opracować plan dnia Salameha, który już od pewnego czasu ponownie zaczął lekceważyć podstawowe środki ostrożności. Jednak, nie narażając się na śmierć, nie mogła dokonać bezpośrednio na niego zamachu. Zawsze towarzyszyli mu uzbrojeni ochroniarze, stojący pod drzwiami ich gniazda, gotowi w każdej chwili interweniować. Legenda Eriki znakomicie ją chroniła, ale uniemożliwiała również dokonanie osobistej zemsty. Co więcej – po kilku miesiącach związek się rozpadł, gdyż Ali zaczął poszukiwać nowych wrażeń i nowych kochanek.

Mossad został jednak z górą wartościowych informacji. Wiedział, gdzie cel mieszka, jak i którądy dojeżdża do pracy, w jakich klubach bywa, jakie preferuje restauracje. Doświadczeni zabójcy wiedzą, co mają robić z taką ilością danych.

Rozstanie Eriki z Alim przebiegło w dramatycznej sytuacji. Ona „zakochana” błagała go na kolanach, aby nie odchodził, dał jej kolejną szansę. Na nic zdały się te lamenty. Zerwanie było ostateczne. Erika podtrzymując swoją legendę do końca, „sparaliżowana” utratą ukochanego, zaczęła zachowywać się jak porzucona stara panna. Zmieniła mieszkanie, otoczyła się gromadą kotów, przestała dbać o siebie, nie malowała się już, a na włosach pojawiły się odrosty.

Odwróciła się od dotychczasowych znajomych, pielęgnując życie domowe. Dla obcych, sprzedawców i portiera stała się opryskliwa. Mogło się wydawać, że jej świat runął. Nie na tyle jednak, aby z balkonu swojego nowego apartamentu nie móc obserwować Verdun Street, po którym codziennie przemierzała się kawalkada samochodów z Salamehem w środku. Jednak to nie tęskne spojrzenia w kierunku byłego kochanka napędzały działania Eriki. 10 stycznia otrzymała rozkaz przygotowania akcji likwidacyjnej. Mike Harari zaplanował zamach przy użyciu samochodu pułapki, którego notabene właścicielką była Erika. Wszystko było gotowe 22 stycznia. Po godzinie 15.00 Salameh pożegnał się z żoną, podjechał jeszcze na krótką wizytę u matki i tradycyjnym szlakiem udał się na spotkanie kierownictwa palestyńskiego. Erika widziała, jak samochody zbliżają się do

pułapki. Nagle pomiędzy Salameha a wóz ochrony wjechało inne „cywilne” auto. „Penelopa”, bo taki otrzymała kryptonim Erika, nie zawahała się i nacisnęła guzik przekaźnika radiowego. Wybuch był potworny. W jego wyniku zginął główny cel operacji, kilku ochroniarzy, kierowca, nieszczęśliwi pasażerowie samochodu jadącego obok, niemiecka zakonnica i sekretarka ambasady brytyjskiej.

Erika spokojnie spakowała swoje osobiste rzeczy i wyszła z apartamentowca, informując recepcjonistę, że musi się uspokoić po tym wielkim wybuchu. Wtedy widziano ją ostatni raz.

ROZDZIAŁ XII

Miłość do kałasza

„Ujęcie przez kobietę karabinu daje jej wrażenie prawdziwego wyzwolenia.

Pistolet w kosmetyczce symbolizuje definitywne zerwanie z kobiecością, której się wyparła” – to słowa niemieckiego psychoanalityka Friedricha Hackera. Według kryminologa Gustava Nassa kobiety terrorystki są „bardziej emocjonalne od mężczyzn, dlatego ich zdolność racjonalnego myślenia jest ograniczona (...). „Są one mniej podatne na rozsądne argumenty, fanatycznie upierają się przy swoich uczuciach i przekonaniach oraz mogą być brutalniejsze i działać z bardziej zimną krwią niż mężczyźni”.

Brzmi jak horror o kobietach-zombie? Jak najbardziej i nie jest to wymysł popuszczających wodze fantazji mężczyzn. Pod koniec lat 60. ubiegłego stulecia i na początku 70. w niemieckim życiu politycznym pojawiła się grupa bezwzględnych dziewcząt i kobiet, które za cel swojej miłości postawiły sobie rewolucję proletariacką na wzór Sowietów lub Chin, a narzędziem jej wykonania miał być uwielbiany przez nie pistolet maszynowy Kałasznikowa.

Urlike

2 kwietnia 1968 r. grupa w składzie Andreas Baader – dwudziestopięcioletni drobny złodziejsek i jego kochanka Gudrun Ensslin, córka pastora, mężatka i matka małego dziecka, podkładają ogień w dwóch frankfurckich domach towarowych. Nie bardzo wiadomo, jaki wpływ na przyspieszenie rewolucji mogło mieć spalenie sukienek i biustonoszy, ale oboje dość szybko trafiają za ten czyn za kratki. Dwa lata później, pewnego słonecznego popołudnia, z biblioteki jednego z instytutów, gdzie dzięki uprzejmości naczelnika więzienia Baader zbierał materiały do swojej książki, odbiło go komando składające się z czterech młodych kobiet. Akcję zaplanowała

i wzięła w niej udział Ulrike Meinhof.

W 1970 roku Ulrike miała trzydzieści sześć lat i była najstarszą osobą tworzącą grupę terrorystyczną pod nazwą Frakcja Czerwonej Armii. Jej droga życiowa jest modelowa dla osób ze skrajnej, kawiorowej lewicy, które postanowiły porzucić knajpiane dyskusje na rzecz zapachu prochu strzelniczego.

Ojca straciła w wieku sześciu lat. Jej matka Ingeborg weszła, jakbyśmy to teraz nazwali, w związek partnerski z Renate Riemeck, ultralewicową aktywistką i wykładowczynią uniwersytecką. Szczęście jednak nie trwało długo i matka Ulrike zmarła w 1948 roku na raka piersi. Odtąd opiekę nad czternastolatką objęła Renate. Jedną z jej żelaznych zasad brzmiała: żadnych chłopców, i Ulrike musiała kryć się ze swoimi pierwszymi miłościami. Po ujawnieniu jej romansu Renate zagroziła wypędzeniem jej z domu. Szantaże i wczesna homoseksualna edukacja nie przyniosły jednak efektów i Meinhof do końca życia pozostała heteroseksualna.

Jednak lewackie pranie mózgu, jakie zgotowała Ulrike jej opiekunka, przyniosło efekty i od wczesnej młodości zaczęła angażować się intelektualnie w ruchy radykalnej lewicy. Jej głównym narzędziem walki było pióro, które wykorzystywała do pisania radiowych felietonów, scenariuszy filmowych i artykułów gazetowych.

To właśnie podczas współpracy z lewackim, finansowanym przez komunistyczne Niemcy Wschodnie piśmie „Konkret” poznała swojego męża Klaus Rohla, któremu w 1962 roku urodziła bliźniaczki.

W międzyczasie przeszła operację guza mózgu, który według późniejszych opinii policji spowodował u niej zaburzenia psychiczne, które pchnęły ją na drogę politycznej przemocy.

Pomimo wspólnoty poglądów i wspólnej walki, małżeństwo nie było udane.

Według córki z pierwszego małżeństwa Rohla „Klaus co i raz szydził z żony, że potrafi myśleć jedynie o swoich artykułach. Zarzucał jej, że nie jest prawdziwą kobietą, że brakuje jej czułości, miłości, delikatności i przywiązania. Narzekał, że ożenił się z funkcjonariuszką o męskim sposobie bycia (...)”.

Na początku lat 60. ubiegłego wieku Ulrike stała się typowym przedstawicielem nurtu tak zwanej kawiorowej lewicy. Artykuły i przemówienia pełne frazesów o ucisku mas pracujących nie współgrały z jej

codziennym sposobem życia. Pośród lektur, które podówczas najbardziej ceniła, znajdowały się prace ideologa „terroru konsumpcyjnego” Herberta Marcuse’a, który twierdził, że dobra materialne zniewalają, są „narzędziem ucisku” i powodują stworzenie „szczęśliwego niewolnika”. Do tej pory jednak nie wyjaśniono, jaki wpływ miałyby zabranie robotnikowi pralki i odkurzacza na jego samoświadomość rewolucyjną. Jednak lata 60. tamtego stulecia to były takie czasy, w których podobne brednie brano na poważnie i jeszcze za ich wygłaszanie płacono. Ulrike nie pozostawała głucha na te idee i ostro piętnowała konsumpcjonizm robotników, sama jednak postanowiła sobie niczego nie odmawiać. Według jej polskich biografów w tym samym czasie posiadała „ubrania na każdą okazję i każdą porę dnia; biżuterię i dodatki, bluzki, suknie wieczorowe i buty na wysokich obcasach”.

W marcu 1967 roku wraz z Klausem zakupili luksusowy, trzypiętrowy dom wraz z ogrodem, no i oczywiście służbą. Należy sądzić, że Ulrike posiadała także pralkę i odkurzacz, których tak namiętnie odmawiała robotnikom. W tym kontekście, dość komicznie brzmią zdania z jej listów, gdy pisze: „Dom, przyjęcia – to wszystko cieszy tylko połowicznie, a mimo to, obok wszystkiego innego, tworzy moją bazę, by pozostać elementem wywrotowym”.

Nowy dom stał się mekką lewicującej bohemy, która na wystawnych przyjęciach debatowała o przyszłości świata i rajy robotników, jednak bardziej w kontekście fragmentu wiersza pewnego poety „ponieśmy za idee śmierć, ale nie zaraz”. Nastrój tamtych spotkań dobrze obrazuje historia związana z gorliwym rewolucjonistą Rudim Dutschke. Ten działacz studencki o wyglądzie i ubiorze lumpa był częstym gościem na przyjęciach. Według wspomnień Bettiny Röhl „Dorośli stale mu przyklaskiwali. Myślę jednak, że odczuwali także dreszcz niepewności o swój dobytek. Miałam nieodparte wrażenie, że gdy kończył wygłaszać swoje przemówienia, wszyscy oddychali z ulgą, iż dzień rewolucji jeszcze nie nadszedł”. Jeżeli było tak faktycznie i ich towarzysz postulował ograbienie swoich możniejszych znajomych, to tak naprawdę niepewności o swoje jutro pozbyli się w 1968 roku, kiedy jego polityczną karierę, ale nie życie zakończyły strzały oddane przez pewnego młodego antykomunistę.

Jej niekonsekwencję intelektualną dobrze obrazuje pewien incydent. Na jednym z przyjęć zaproponowano Ulrike zjedzenie sałatki z kurczakiem. Ta wygłosiła płomienną tyradę o tragicznym losie hodowanych kurcząt, które

siedzą w ciasnych klatkach, karmione są na siłę i słuchają muzyki Wagnera, po czym na znak oburzenia założyła futro z norek i wyszła. Jak widać, ta protoplastka dzisiejszych ekologów nie rozumiała jeszcze, że prawdziwe futra nie są trendy.

Na jej usprawiedliwienie trzeba jednak powiedzieć, że tacy właśnie byli ówcześni niemieccy lewacy. Według cytowanych tu już wspomnień córki Klause Rohla byli to „Żyjący jak pączki w maśle młodzi ludzie szukający nowych wyzwań (...). Niewiele ryzykując, bawili się w rewolucję, w marksizm, komunizm lub maoizm w markowych ciuchach, a w razie potrzeby w futrach z norek. Nierzadko przyjeżdżali na demonstracje antypaństwowe swoimi najnowszymi porsche”.

Pozostawiając jednak problem rozejścia się jej idei z codzienną rzeczywistością, trzeba stwierdzić, że pomimo ukończenia studiów i napisania setek artykułów, Meinhof była tylko zideologizowaną amatorką. Znający Ulrike Jorg Andreas, gwiazda niemieckiego tygodnika „Stern”, określił ją jako „przerażającą dyletantkę w sprawach problemów innych państw. Niemal wszystko, co mówiła na ten temat swoim nieznoszącym sprzeciwu tonem, miało niewiele wspólnego z rzeczywistością. W swoich poglądach często opierała się na niesprawdzonych faktach”.

Co zatem pchnęło tę zamożną lewicową dziennikarkę na tory terroryzmu?

Trudne dzieciństwo, guz mózgu, nieszczęśliwe małżeństwo czy zbrodnicza ideologia? Chyba wszystko po trochu. Planując uwolnienie Baadera, weszła na drogę samodestrukcji, która po dwóch latach zamachów i napadów na banki doprowadziła ją do pojedynczej celi, sześć lat później do decyzji o samobójstwie.

Świat, z którym walczyła, piękniał, wzmacniał się i rozwijał.

Jak za Stalina

Struktura dowodzenia grupą terrorystyczną jest dość jasna. Szefem i samcem alfa jest Andreas Baader, Ulrike Meinhof jest ideologiem. To ona tworzy pierwsze oświadczenia i dokumenty programowe. Pisze „My mówimy: gliniarze to świnie.

Mówimy: typ w mundurze to świnia, a nie człowiek. I dlatego się z nimi spieramy.

To znaczy my z nimi nie rozmawiamy i byłoby błędem w ogóle z takimi

ludźmi rozmawiać. I oczywiście można ich zastrzelić” – to krótki przykład jej intelektualnej twórczości. Praca nad tekstami zawsze wygląda tak samo. Meinhof pisze je na maszynie, a następnie są dyskutowane w całym kolektywie, naniesione zostają poprawki i tekst trafia do mediów. Nie poprzestaje jednak na samym pisaniu. Planuje i uczestniczy w kolejnych akcjach terrorystycznych, jednak w kwestii zamachów jej opinie nie mają żadnego znaczenia. Dobrze to ilustruje rozmowa, która przerodziła się w awanturę, którą przeprowadziła z Baaderem na temat zbyt dużej improwizacji podczas planowania i przeprowadzania ataków. Na jej wątpliwości Baader zareagował, mówiąc: „W pizdu, głupie kurwy z tą całą waszą emancypacją! Potraficie tylko drzeć się na swoich mężczyzn!”. Ten szokujący fragment oddaje ducha stosunków panujących wewnątrz RAF-u i jednocześnie wiele mówi o podejściu Baadera do problemów feminizmu.

Niemieccy terroryści – podobnie jak włoska mafia – przyjęli swoistą zasadę paktu milczenia. Nie opisują relacji wewnątrz ugrupowania, sposobu nim kierowania czy konfliktów. Nielicznym świadectwem jest wypowiedź Susanne Albrecht, współodpowiedzialnej za zamordowanie Jürgena Ponto, prezesa Dresdner Banku. Podczas swojego procesu zeznała, że „zwierzchnicy decydowali o wszystkim, pozostałych wyrzucano za drzwi i oczerniano (...). Zdarzały się również pobicia”. I dalej: „Myślę, że strukturę i ogólnie całą politykę RAF-u można spokojnie przyrównać do modelu stalinowskiego (...). Ta despotyczność przejawiała się wreszcie w tym, że niepożądane instytucje bądź osoby należy atakować, względnie zabijać”.

Nacisk grupy jest potężny, podobnie jak fanatyzm jej poszczególnych członków. Osadzeni już w areszcie członkowie pierwszego składu decydują się na protesty głodowe. Na „ofiara” systemu wybrany zostaje Holger Meins, który w wyniku kolejnej głodówki umiera. Daje to impet do wzmożonej aktywności „Komitetom przeciw torturowaniu więźniów politycznych w RFN”, które są oficjalnym lobby proterrorystycznym i punktami werbunku dla nowych bojowników.

Nie jest też tajemnicą, że za samobójstwem Meinhof w maju 1976 roku stały nie tylko cele polityczne, ale fakt zaszczucia jej przez grupę najbliższych współpracowników, w tym przede wszystkim przez Gudrun Ensslin, która czerpała wręcz sadystyczną satysfakcję z poniżania swojej niedawnej przyjaciółki.

Gudrun

Gudrun Ensslin była typową przedstawicielką dobrze prosperującej niemieckiej klasy średniej. Urodziła się w roku najazdu na Francję, ale pięć lat później, w 1945 roku, nadal była małą dziewczynką niepamiętającą czasów hitlerowskich. Jej główna motywacja, walka z faszyzmem, była tylko wymysłem bujnej wyobraźni. Nazizm znała co najwyżej z opowiadań rodziców i przeczytanej lektury.

Ensslin była czwartą z siedmiorga dzieci protestanckiego pastora. W wieku dziecięcym nic nie zapowiadało jej burzliwego życia. Często udzielała się w parafii, organizując wraz z innymi nastolatkami różnego rodzaju spotkania modlitewne. Uczyła się przez rok w Stanach Zjednoczonych i z wyróżnieniem ukończyła szkołę średnią. Za wyniki w nauce otrzymała nawet stypendium Narodowej Fundacji Naukowej. Podczas studiów w 1962 roku spotkała Bernwarda Vespera, późniejszego ojca jej dziecka, z którym zaręczyła się w 1965 roku. W tym samym roku dzięki młodszej siostrze trafiła na ludzi powiązanych ze skrajną lewicą. Sama miała podówczas poglądy socjaldemokratyczne i chętnie angażowała się w różnorakie protesty, w tym przeciwko wojnie w Wietnamie.

Kres jej dotychczasowego życia i związku z Bernwardem miał nastąpić dwa lata później, gdy na swej drodze spotkała Andreasa Baadera. W 1968 roku romans był na tyle gorący, że Gudrun zdecydowała się ostatecznie zerwać z rodziną, o czym telefonicznie poinformowała swojego narzeczonego. Podobno wpływ na jej decyzję miał fakt zastrzelenia podczas demonstracji w czerwcu 1967 roku jednego z uczestników.

Wtedy to para Gudrun – Andreas podjęła decyzję o zradykalizowaniu walki przeciwko burżuazyjnemu społeczeństwu.

Młodszy o trzy lata od Ensslin Baader intelektualnie nie dorastał swojej partnerce. Był typowym rozrabiaką poszukującym celu w życiu. Mogło to być cokolwiek, więc gdy zdarzyła się, opłacana przez wschodniemieckie służby specjalne, fucha, nie musiał się zapewne długo namyślać. Ze zwykłego bandyty mógł się stać ideologicznym bojownikiem. Schemat pozostał ten sam: rozboje, napady na banki, a wszystko to w rewolucyjnym już, nie przestępczym sosie.

Baader uważał się za szefa grupy, ale to dwie kobiety, Meinhof i Ensslin, były jej mózgiem i końmi pociągowymi. Andreas mógł co najwyżej

zaimponować obu intelektualistkom doświadczeniem w drobnych kradzieżach.

Pierwszy atak nowej grupy nie przyniósł, jak pisałem wcześniej, zamierzonych rezultatów. Wysadzenie domów handlowych być może było spektakularne, ale cała ekipa w kilka tygodni później znalazła się w więzieniu.

Liberalne prawo doprowadziło do wypuszczenia ich przed czasem, tak aby mogli nadal konspirować i wysadzać. Poszukiwany Baader został złapany w kwietniu 1970 roku. Dalsza historia jest znana. Kobięcie komando odbiło go z biblioteki i cała grupa ponownie była razem.

Po tych wyczynach związek Gudrun z Andreasem osiągał swoje apogeum.

Para szkoliła się w obozach terrorystycznych Jordani, gdzie budziła konsternację arabskich bojowników swoim wyuzdanym jak na tamte warunki zachowaniem.

Zresztą niewiele tygodni później po przyjeździe zostali odesłani do domu w związku z protestem dotyczącym segregacji kobiet i mężczyzn na terenie obozu.

Nawiązane tam przyjaźnie z OWP i LFWP miały już niebawem zaprocentować.

Po powrocie do Niemiec para wraz z innymi członkami siatki zaczęła regularnie napadać na banki, posterunki policji, koszary wojskowe i redakcje burżuazyjnych pism. Takie nasilenie działań partyzantki miejskiej zjednoczyło niemieckie służby specjalne i policyjne. Efekty tego przyszły dość szybko. Ensslin została rozpoznana i aresztowana w hamburskim sklepie z odzieżą w czerwcu 1972

roku. Kilka dni wcześniej, we Frankfurcie, po strzelaninie z siłami policyjnymi aresztowano Baadera i jego dwóch kolegów Jan-Carla Raspe'ego i Holgera Meinsa.

Wszyscy zostali osadzeni w nowo wybudowanym więzieniu w Stammheim. Tu kochankowie ponownie mogli się zobaczyć przy okazji spotkań z obroną i podczas sądowego procesu. Pozostający na wolności koledzy próbowali kilkakrotnie doprowadzić do ich uwolnienia. Jedną z najślawniejszych i najtragiczniejszych akcji było porwanie izraelskich sportowców podczas olimpiady w Monachium. Jednym z żądań terrorystów było właśnie uwolnienie ich kolegów z RAF-u. Jednak żadna akcja tego typu nie zakończyła się sukcesem.

Osadzeni postanowili swoim życiem zaświadczyć o wartości idei, o które walczyli.

Troje osadzonych – Meinhof uczyniła to wcześniej – w nocy z 17 na 18 października, popełniło samobójstwo, Ensslin powiesiła się w celi, a Baader strzelił sobie w głowę z pistoletu przemyconego przez swojego adwokata.

Nowe pokolenie

Po aresztowaniu przywódców organizacja bynajmniej się nie rozpadła. Na wolności znajdowało się nadal wielu chętnych do konspiracji młodych komunistów. Pośród nich była również Brigitte Mohnhaupt. Przy jej dokonaniach wyczyny Meinhof i Ensslin wydają się dziecinną zabawą.

Urodziła się w 1949 roku jako córka pracownika jednego z wydawnictw.

Piętnaście lat później jej rodzice się rozwiedli, a Brigitte została przy matce.

W 1968 roku rozpoczęła studia na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Monachijskiego. Tam zetknęła się z grupami zrewoltowanej młodzieży. Chętnie brała udział w akcjach protestacyjnych, głównie antyamerykańskich, i publikowała krótkie teksty w podziemnych pisemkach. Swój pierwszy kontakt z Frakcją Czerwonej Armii nawiązała w 1971 roku i stała się jedną z ważniejszych osób w tej organizacji. Odpowiadała za logistykę, między innymi za zdobywanie broni.

Na tle swoich starszych kolegów uchodziła za szczególną radykałkę. Uważała od początku, że należy uderzyć w samo serce systemu, czyli ludzi, którzy odpowiadają za politykę i gospodarkę Niemiec Zachodnich.

Była blondynką o owalnej twarzy, z wydatną szczęką, która upodabniała ją lekko do konia. Spojrzenia innych przyciągały jej oczy. Puste i fanatyczne.

Swoją pierwszą część kariery w RAF-ie zakończyła dość szybko. Została aresztowana w kilka miesięcy po wstąpieniu do organizacji w czerwcu 1972 roku.

Podstawą do zastosowania sankcji był jej udział w ataku na koszary wojsk amerykańskich. Została skazana łącznie za swoje przestępstwa jedynie na cztery lata i sześć miesięcy więzienia. Już po śmierci Meinhof poprosiła o przeniesienie do więzienia, gdzie wyroki odsiadywało przywództwo terrorystów. Władze zgodziły się na tę propozycję. Na miejscu poznała

pozostającą przy życiu trójkę terrorystów, którzy zaczęli ją szkolić politycznie i wojskowo. Po opuszczeniu murów Stammheim zimą 1977 roku była już pełnokrwistą terrorystką. Szybko nawiązała kontakty z pozostającymi na wolności członkami RAF-u i faktycznie stała się ich przywódczynią. Nareszcie mogła zrealizować swoje wcześniejsze koncepcje i uderzyć w serce systemu. Droga ta była krwawa.

Do pierwszego zabójstwa doszło niespełna dwa miesiące po opuszczenia więzienia 7 kwietnia 1977 roku przez Mohnhaupt. Celem był prokurator generalny RFN Siegfried Buback. Został zastrzelony w swoim samochodzie wraz z kierowcą i towarzyszącym mu prokuratorem Georgem Wursterem. Udana akcja zachęciła radykałów do dalszych działań. 30 lipca tego samego roku wraz z Christianem Klarem zabiła w jego własnym domu na oczach przerażonej rodziny Jürgena Ponto, prezesa Dresdner Banku. Operację przygotowała dwudziestosześcioletnia Susanne Albrecht, członkini RAF-u i przyjaciółka córki ofiary. 6 września został porwany Hanns Martin Schleyer, prezydent Niemieckiego Związku Pracodawców i wybitny działacz CDU. Podczas porwania zabito na miejscu czterech jego ochroniarzy i współpracowników. Podobny los spotkał też Schleyera, gdy nie powiodły się negocjacje o uwolnienie przywódców RAF-u. Zamordowany został dwa dni po tym jak Andreas Baader, Jan-Carl Raspe i Gudrun Ensslin popełnili samobójstwo w swoich celach.

Brigitte Mohnhaupt była w swoim żywiole. Podniecały ją ryzykowne akcje i krew ofiar. W ciągu sześciu miesięcy stała się najbardziej znaną i wpływową niemiecką terrorystką. Po ostatnim zabójstwie ścigały ją już jednak wszystkie służby państwa niemieckiego. Musiała uciekać. Schronienie znalazła w Bagdadzie, który to powoli wkraczał na arenę wspierania międzynarodowego terroryzmu.

Popełniła jednak poważny błąd. W początkach 1978 roku została zwabiona do Jugosławii i w maju aresztowana. Powodem tego kroku była chęć wymiany jaką rząd w Belgradzie zaproponował Niemcom. Chodziło o kilku jugosłowiańskich dysydentów w zamian za Brigitte i jej grupę w składzie: Sieglinde Hofmann, Rolf Clemens Wagner, Peter-Jürgen Boock. Choć rządowi w Bonn bardzo zależało na tym, aby wreszcie dopaść terrorystów, pod naciskiem opinii światowej nie zdecydowali się na ten krok. Członkowie RAF-u zostali uwolnieni i odesłani do Jemenu.

Mohnhaupt pomimo zagrożenia postanowiła nie przerywać walki. Na

terenie RFN warunki były skrajnie niekorzystne. Jednak pomoc STASI i przyjaciel z Bliskiego Wschodu pozwoliła jej na ponowne rozpoczęcie działalności z centralą w Paryżu. Stamtąd lepiej było planować i przeprowadzać ataki na terenie Niemiec.

W czerwcu 1979 roku jej ludzie podłożyli bombę na trasie konwoju, w którym znajdował się Aleksander Haig, podówczas naczelny dowódca Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie, a późniejszy sekretarz stanu u prezydenta Ronalda Reagana. Haig wyszedł z zamachu cało, rannych zostało tylko kilku jego ochroniarzy.

Nieudana akcja nie powstrzymała jej żądzy krwi. Gdy nie mogła dopaść wroga, swoje oczy zwracała w kierunku własnych towarzyszy. Tych, których podejrzewała o zdradę lub tylko ideologiczne odchylenia, po prostu likwidowała.

W 1981 roku, nie czując się spełniona, postanowiła zorganizować zamach na generała Fredericka Kroesena, dowódcę 7 Armii w Heidelbergu, i sama w tej akcji wzięła udział. Tym razem to ponownie generał miał więcej szczęścia i uszedł z życiem.

Nadaktywność Mohnhaupt połączona z mieszanką obsesji z fanatyzmem spowodowała, że po pięciu latach bezkarności 11 listopada została aresztowana i skazana na dożywocie. Mury więzienne opuściła w 2007 roku jako pięćdziesięcioośmioletnia, złamana kobieta. Bezdzienna, samotna, opuszczona.

Z miłości do...

We Frakcji Czerwonej Armii ilościowo dominują kobiety. Jest to ewenement w organizacjach terrorystycznych i niemiecka specyfika. Są bardziej fanatyczne i zdecydowane niż mężczyźni. Fakty mówią same za siebie. W pięcioosobowej grupie odbijającej Baadera aż cztery to kobiety. One też podkładają bomby 11 i 24

maja w koszarach armii amerykańskiej. Dziewiętnastoletnia Ilse Stachowiak wysadza biura koncernu prasowego Springera. Ingrid Siepmann specjalizuje się w napadach na banki. Gabriele Kröcher-Tiedemann współuczestniczy wraz z Carlosem w napadzie na obradujących ministrów krajów OPEC – trzy osoby zabite, siedem rannych. Irmgard Möller w maju 1972 roku wysadza komisariat policji w Augsburgu – siedmiu rannych. W kwietniu 1975 roku Hanna Krabbe współuczestniczy w zajęciu ambasady RFN w Sztokholmie. Ginie dwóch attaché: gospodarczy i wojskowy.

W lutym 1977 roku, zaraz po opuszczeniu więzienia, na czele RAF-u staje Brigitte Mohnhaupt. W kwietniu współuczestniczy w zastrzeleniu prokuratora generalnego Siegfrieda Bubacka i towarzyszących mu dwóch innym osób, w lipcu w zabiciu Jürgena Ponto, we wrześniu w uprowadzeniu i zabiciu Martina Schleyera - przewodniczącego Związku Pracodawców, we wrześniu 1981 roku uczestniczy w nieudanym zamachu na dowódcę amerykańskich sił lądowych w Europie generała Fredericka Kroesena – czterech rannych itd., itd. Lista jest bardzo długa.

Praktycznie nie ma ataku RAF-u, w którym by nie współuczestniczyły kobiety lub nawet były ich jedynymi wykonawcami.

Teorii, dlaczego taka sytuacja miała miejsce, jest wiele. Psychologów przytoczyłem na początku tekstu. Badacze społeczeństw twierdzą, że pokolenie urodzone w trakcie i niedługo po wojnie miało poczucie niezmazania win swoich ojców i matek. Sądzili, że dobrobyt i rozwój gospodarczy, którego byli świadkami, jest im nienależny, że naród niemiecki nie dokonał jeszcze właściwej pokuty.

W swoich przekonaniach politycznych kierowali się na lewo lub bardzo lewo, odrzucając świat „dorosłych”, którzy w ten czy inny sposób zaangażowani byli w życie codzienne nazistowskiego państwa. Zwykła socjaldemokracja była dla nich zbyt mało radykalna i nazbyt burżuazyjna. Odrzucali model społeczeństwa i próbowali znaleźć nowe rozwiązania, których, o zgrozo, poszukiwali w równie zbrodniczych reżymach jak ich własny.

Ponieważ w wyniku wojny zginęło bardzo wielu mężczyzn, ciężar odbudowy państwa i utrzymania rodzin spadał w większym stopniu na kobiety niż miało to miejsce przed wojną. Nowe pokolenie zbuntowanych dziewcząt czerpało doświadczenie z życia swoich matek i zauważyło, że mężczyźni niekoniecznie stanowią podstawę społeczeństwa. Do tego doszło typowe dla młodszych pokoleń zradyzalizowanie nastrojów, a tym samym i metod walki. Stąd pojawiły się właśnie młode kobiety, które rozbudzone politycznie na zawahałyby się użyć radykalnych środków. Manifestacje i starcia z policją już nie wystarczały. Trzeba było sięgnąć po broń. Tym samym pistolety, bomby i tak ukochane przez nie karabiny Kałasznikowa stały się partnerami ich losu, ich specyficznymi kochankami na dobre i złe.

ROZDZIAŁ XIII

Atomowa Dziewczyna

Największym koszmarem państwa izraelskiego jest świadomość, że wielu jej dalszych i bliższych sąsiadów mogłoby chcieć zbudować własną broń atomową.

A ponieważ wszyscy z nich są usposobieni do Izraela wrogo, to posiadanie broni masowej zagłady może równać się zniszczeniu państwa żydowskiego. Mossad i inne służby specjalne są szczególnie wyczulone na tę kwestię i zobligowane do tego, aby zrobić wszystko, dosłownie wszystko, aby powstrzymać nieprzyjaciół.

Marie-Claude Magal bardzo polubiła tego klienta. Spotykali się już wcześniej kilka razy i nie potrafiła ukryć zafascynowania nim. Urzekła ją jego otwartość, poczucie humoru i tak ubóstwiana przez francuskie kobiety szarmanckość. Nazywał się Jack Donovan i przedstawił się jako samotny biznesmen z angielsko-amerykańskimi korzeniami. W Paryżu bywał dość często, gdyż prowadził dużą firmę consultingową. Poszukiwał towarzystwa pięknych kobiet, a ponieważ pieniądze nie stanowiły problemu, często korzystał z usług agencji towarzyskich najwyższej klasy.

Już podczas trzeciego spotkania zapewnił Marie, że odtąd będzie spotykał się tylko z nią. Były to słowa, jakie chciała usłyszeć. Miała trzydzieści dwa lata i pełną świadomość, że okres jej największej świetności w tym zawodzie wkrótce przeminie. Przez te wszystkie lata uzbierała pewną sumę pieniędzy, ale w skrytości ducha marzyła jak każda kobieta o normalnym domu, dzieciach, mężu. Donovan w jej opinii doskonale się do tego nadawał i nie ukrywał tego, że jest nią poważnie zainteresowany. Wydawał się również być mało pruderyjny – raz nawet opłacił udział koleżanki Marie we wspólnych igraszkach – aby zaakceptować jej poprzedni zawód.

Marie urodziła się zaraz po wojnie, w 1946 roku, na przedmieściach Paryża zamieszkanym przez klasę średnią. Matka zajmowała się

wychowaniem trójki dzieci, ojciec zaś był urzędnikiem miejskiej prefektury. Już jako nastolatka Marie poszukiwała przygód i atrakcyjnego życia. Często wagarowała i nie była zamknięta na relacje z chłopcami. Ponieważ Bóg i natura dały jej wspaniałą urodę i niesamowitą figurę, szybko znalazła starszych od siebie adoratorów. Jeden z nich, gdy miała siedemnaście lat, zaproponował jej, aby wykorzystwała swoje wdzięki do zarabiania, jak to określił, poważnych pieniędzy. Odtąd, próbując bez szczęścia studiować na paryskiej akademii sztuk pięknych, stała się luksusową prostytutką.

Jej klientela była różnorodna, ale stanowili ją głównie bogaci Francuzi, zachodni biznesmeni i różnej profesji mężczyźni z Bliskiego Wschodu. Pod koniec 1977 roku poznała Jacka i na początku nic nie wskazywało, że relacja z nim może się pogłębić. Zaprosił ją do jednego z paryskich pięciogwiazdkowych hoteli i tam została zaskoczona, gdyż nowo poznany klient zorganizował w swoim wystawnym apartamencie kolację połączoną z szampanem i kawiozem. Rozmawiali i jedli bardzo długo, tak że nie starczyło już czasu na seks.

Mężczyzna stwierdził, że ma jeszcze dużo pracy i odprowadził swoją nową znajomą do taksówki.

Trudno byłoby zaprzeczyć, że Marie nie była pod wielkim wrażeniem. Nie spotkała nigdy wcześniej mężczyzny w tym wieku, z którym spędziłaby czas w taki sposób. Po raz pierwszy nie czuła się jak hotelowa dziwka. Na początku myślała, że może jej nowy znajomy jest impotentem, jednak podczas drugiego spotkania wątpliwości prysły i Jack wykazał się swoją męską sprawnością. Na koniec obiecał jej że oddzwoni, czemu Marie nie dała specjalnej wiary. Ale kolejne zlecenie przyszło za trzy tygodnie i obejmowało dwa dni weekendu. Para pojechała na północ Francji, której notabene Marie nie znosiła, ale Jack przekonał ją, że chciałby poznać zabytki tej części kraju.

Później spotkania odbywały się już regularnie w odstępach, dwu-, trzytygodniowych. Marie zaczęła tęsknić za Jackiem.

Ofiara I

Butrus ibn Halim miał czterdzieści dwa lata i uważał, że złapał Allaha za nogi. Już od ponad pół roku pracował w Paryżu. Rząd iracki zgodził się, aby

towarzyszyła mu żona, a warunki zarówno mieszkaniowe, jak i płacowe stały jak na warunki irackie na najwyższym poziomie. Halim był jednym z kilkunastu inżynierów, którzy mieli dla Saddama Husajna zbudować pierwszy reaktor atomowy i uczestniczyć w budowie broni atomowej. To z jego ukochanego kraju zrobiłoby mocarstwo, które nie tylko mogło zniszczyć Izrael, ale też odwiecznych wrogów ze Wschodu.

Irak rozpoczął program jądrowy w latach 60. XX wieku, a w 1975 roku planował go rozwinąć poprzez nabycie reaktora jądrowego. Po nieudanych zabiegach mających przekonać rząd francuski do sprzedaży reaktora gazowo-grafitowego (AGR) rząd iracki zgodził się na kupno reaktora badawczego typu „Ozyrys”, wraz z towarzyszącymi mu laboratoriami.

Budowa kompleksu dla reaktora chłodzonego wodą rozpoczęła się w 1979 roku w Ośrodku Badań Jądrowych im. 17 lipca, niedaleko Bagdadu. Irakijczycy nadali reaktorowi nazwę Tammuz 1, na cześć miesiąca w kalendarzu babilońskim, podczas którego partia Baas doszła do władzy w 1968 roku. Reaktor miał spełniać rolę wyłącznie badawczą, a nie militarną. Takie były zapisy umowy Iraku z Francuzami, którzy zaangażowali się w pomoc przy budowie. Pomimo wielu protestów izraelskich Paryż uznał, że reaktor nie stanowi zagrożenia, nie będzie go można wykorzystać do budowy bomby, i zaczął powołać go konstruować przy pomocy irakijskich specjalistów. Do jednych z nich należał Butrus ibn Halim.

Oczywiście, jak można podejrzewać, ani zapewnienia Bagdadu, Paryża czy Międzynarodowej Agencji Atomistyki nie przekonały rządu w Tel Awiwie, że będzie on dla nich niegroźny. Już od początku lat 60. ubiegłego stulecia służby izraelskie zajmowały się tropieniem i czasami zabijaniem naukowców, którzy mogli komukolwiek na Bliskim Wschodzie pomóc w budowie potencjału atomowego. Teraz numerem jeden stał się Irak i tam skoncentrowano swoje wysiłki.

Dlaczego właśnie za cel został obrany Butrus ibn Halim? Z bardzo prozaicznego powodu. Był to jedyny człowiek, którego paryski adres zamieszkania udało się ustalić. Zespoły operacyjne Mossadu przystąpiły do działania. Celem było zwerbowanie go, nakłonienie do współpracy, dostarczania dokumentów oraz w odpowiednim momencie przeprowadzenie sabotażu reaktora. Podczas całej operacji, która trwała w latach 1977–1978, wykorzystano aż piętnastu agentów do jego śledzenia i inwigilacji. M.in. pewna kobieta, podająca się za sprzedawczynię kosmetyków, odwiedziła pod

nieobecność w domu Halima jego żonę i podczas długiej, szczerzej rozmowy dowiedziała się, że nie są szczęśliwym małżeństwem, nie podoba jej się w Paryżu i niebawem wraca do Bagdadu spotkać się z rodziną. To była wiadomość, na którą szefostwo Mossadu czekało od dawna.

Czas było zapolować na pierwszą ofiarę.

Gra wstępna

To wieczorne spotkanie miało być inne niż wszystkie dotychczasowe. Jack zadzwonił do Marie po ponadmiesięcznym braku kontaktu. Już zaczęła się naprawdę niepokoić, czy nic mu się nie stało lub – co gorsza – stracił nią zainteresowanie. Gdy odebrała telefon w swoim paryskim mieszkanku, nie potrafiła ukryć radości, tak że kilka razy mimochodem zwróciła się do niego per „kochany”. Jack wyjaśnił, że był cały czas w podróży zajęty pracą, jednak nie na tyle, żeby sobie wszystko na spokojnie przemyśleć i chciałby jej złożyć pewną propozycję. Na miejsce spotkania wybrał małą ustronną knajpkę, w której, jak powiedział, często spotyka się w sprawach biznesowych.

Był już późny wieczór, gdy odbywali spotkanie. Jack opowiadał o swojej pracy, a Marie z zainteresowaniem słuchała. Miał właśnie wielkiego klienta z branży chemicznej, który chciałby bardzo nawiązać kontakty z przedstawicielami Iraku i innych państw Zatoki Perskiej. Oferował spore pieniądze, tak duże, że ustawiłoby to firmę Jacka na lata.

Mógłby wreszcie zrezygnować z szesnastogodzinnego dnia pracy, tych wszystkich męczących podróży i osiąść gdzieś w Europie, być może nawet w Paryżu. Gdy skończyli kolację, zniecierpliwiona i podekscytowana Marie zapytała, jaką ma dla niej propozycję, o której wspominał przez telefon.

Jack wygodnie rozparł się w fotelu i zamówił dwa kieliszki wykwintnych alkoholi:

– Posłuchaj – zaczął miękko głosem, a Marie przebiegł dreszcz – mówiłem ci o tym kontrakcie, o nowej szansie, o mojej potrzebie ustabilizowania się, tak?

– Tak. – Marie skinęła głową lekko zdezorientowana.

– No więc potrzebuję twojej współpracy.

– Mojej? – zapytała zdziwiona. Mam teraz pracować dla ciebie?

– Nie w taki sposób, w jaki myślisz. Nigdy bym cię o to nie poprosił,

jestem – zawiesił zdanie w pół słowa, by dodać po chwili – bardzo do ciebie przywiązany, chyba wiesz o tym?

– Też czuję podobnie. – Marie zaczęła nerwowo kręcić kosmyk długich ciemnoblonde włosów.

– No więc... – Jack pochylił się konfidencjonalnie w kierunku Marie. – Chciałbym zaproponować, abyś coś dla mnie zrobiła, właściwe to chciałbym, zaproponować ci pracę.

– Pracę? – spytała zdumiona. – Jaką pracę?

– Nie wiem, jak to dobrze nazwać. No może aktorki, to znaczy chciałbym, abyś wzięła udział w pewnej grze. Podniesie ona moje szanse, by otrzymać ten kontrakt, o którym ci mówiłem.

Następnie Jack wyjaśnił dokładnie, co miał na myśli i czego oczekuje. Marie stwierdziła, że akurat to może zrobić dla niego bezpłatnie, w ramach przyjaźni, ale on przekonał ją, że ma na takie działania odpowiednie fundusze, więc nawet będzie mu milej, jeżeli będzie wykonywać zadania dla niego niż swoje codzienne „obowiązki”.

Jack sięgnął do teczki i wyjął zdjęcie.

– To jest ten gość, o którego mi chodzi. Chcę, abyś zrobiła na nim niesamowite wrażenie. Ale tylko wrażenie i nic z innych rzeczy. – Uśmiechnął się znacząco. – To kluczowa postać w moim projekcie. Wydaje mi się, że tu, w Paryżu, czuje się samotny. Małżeństwo mu się sypie i na pewno zwróci uwagę na piękną kobietę. Jeżeli zrobisz to, o co proszę, na pewno nam się uda. Resztę zostaw mnie. To ja z nim przeprowadzę rozmowę.

Marie wzięła zdjęcie do ręki i uważnie obejrzała.

– Atrakcyjny – stwierdziła.

– No, bardzo cię proszę. – Uśmiechnął się Jack. – Bo będę zazdrosny.

Sidla

Halim był szkolony przez irackie służby specjalne. Przed wyjazdem wbijano mu do głowy, aby przypadkiem nie nawiązywał kontaktów z nieznanymi, zwłaszcza kobietami. Uczono go, jak zmieniać trasy dojazdu z pracy i do pracy.

Jak zauważyć obserwację wroga i jak się jej skutecznie pozbyć. Zawsze stosował się do tych wskazówek. Po pierwsze bał się utraty tak prestiżowego

zatrudnienia, po drugie, i to bardziej, bał się tajnej policji, która mogła spowodować, żeby po prostu zniknął.

Halim stosował się do wskazówek. Codziennie rano wsiadał do autobusu w Villejuif, na południowych przedmieściach Paryża, by udać się do swojego biura w Sarcelles. Codziennie zmieniał jednak trasę. Przesiadał się z autobusu do autobusu, korzystał z metra, rzadziej z taksówki. Tylko początkowy i ostatni przystanek zawsze pozostawały te same.

Pewnego sierpniowego poranka zauważył stojącą obok przystanku autobusowego przepiękną kobietę. Tylko chwilę zastanawiał się, skąd ona się wzięła w takim miejscu. Odpowiedź przyszła bardzo szybko. Niebawem podjechało po nią sportowe ferrari cabrio, kobieta wsiadła do niego i odjechała.

Halim tylko westchnął w duszy. Jednak następnego dnia sytuacja się powtórzyła.

Od tej pory miał okazję patrzeć ukradkiem na tę dziewczyną jeszcze przez kilkanaście dni. Zaczął nawet oczekiwać, że gdy znajdzie się na przystanku, ona już tam będzie. Stworzył się z tego swoisty rytuał. Dziewczyna fascynowała go coraz bardziej, ale nie miał śmiałości, aby z nią porozmawiać.

Pewnego poniedziałku dziewczyna wyraźnie poirytowana czekała na swojego przyjaciela, ale ten nie nadjeżdżał. W złości wsiadła do najbliższego autobusu. Niedługo potem ponownie pojawiło się ferrari. Mężczyzna nie spotkał jednak swojej partnerki. Rozglądał się bezradnie dookoła. Halim postanowił poinformować go, co się stało. Mężczyzna podziękował uprzejmie po angielsku i zaproponował podwózkę. Halim nie miał obiekcji i się zgodził. Mężczyzna przedstawił się jako Jack Donovan, amerykański biznesmen. Zaproponował kawę, ale Halim grzecznie odmówił. Poprosił tylko o podwiezienie do metra.

Przez następne kilka dni rytuał przebiegał niezmacony, z tą różnicą, że Jack, widząc stojącego na przystanku Halima, serdecznie pozdrawiał go kiwnięciem ręki.

Po pewnym czasie sytuacja się powtórzyła i młoda kobieta ponownie wsiadła do autobusu, gdy jej przyjaciel się spóźnił. I tym razem Jack zaproponował Halimowi podwózkę. Rozmowa poszła zdecydowanie lepiej. Amerykanin wyznał, że owa piękność, którą codziennie podwozi, to znajoma dziewczyna, która zaczyna go już denerwować swoimi wiecznymi żądaniem.

Panowie umówili się na wspólny wieczór.

Od tej pory ich znajomość powoli przeradzała się w przyjaźń. Wspólnie balowali po dyskotekach, pili najlepsze trunki i zabawiali dziewczyny. Oczywiście za wszystko płacił Jack. Halim głównie milczał, ale jego amerykańskiemu przyjacielowi nie zamykały się usta. Irakijczyk właśnie tak sobie wyobrażał Amerykanów; otwartych, pewnych siebie i swoich racji facetów. Jack przyznał mu się konfidencjonalnie do dwóch rzeczy. Po pierwsze zerwał z dziewczyną, miał już dość. Właściwie byli ze sobą tylko dla fanu i nie wiązało ich żadne uczucie. Jednak zauważył, że spodobała się Halimowi, i zaproponował, że może ją z nim umówić.

Po drugie, stwierdził, że właśnie ma podpisać wielki kontrakt na dostarczenie beczek do przewozu substancji radioaktywnych i być może Halim zna kogoś, kto mógłby mu doradzać.

Oczywiście odpowiedź na dwa pytania była twierdząca. Podpity Halim entuzjastycznie odniósł się do spotkania z wymarzoną kobietą oraz do zarobienia przy okazji sporej sumki.

Jackowi udało się przekonać Marie do nawiązania intymnych relacji z Halimem. Zapewnił ją, że to tylko ten jeden raz. Boi się, że utraci szansę na kontrakt, gdyż Halim jest bardzo oporny. Być może ona mogłaby go namówić, używając kobiecych sztuczek. Zakochana kobieta jest gotowa na wiele, a Marie właśnie taką była. To już nie miała być odstawiana scenka aktorska na przystanku autobusowym. Teraz musiała w całą akcję zaangażować się jeszcze bardziej. Nie mogła się spodziewać jednak jej tragicznego finału.

Jack zorganizował wystawne przyjęcie w swoim hotelowym pokoju.

Zaprosił Halima, Marie, jeszcze jedną kobietę, partnerującą mu agentkę wywiadu, która na ten czas miała udawać jego dziewczynę. Gdy towarzystwo mocno było już rozluźnione alkoholem, Jack i „jego dziewczyna” opuścili pokój. W ten sposób doszło do nawiązania płomiennego romansu pomiędzy irackim inżynierem a paryską prostytutką, nieświadomą, że bierze udział w wielkiej grze operacyjnej izraelskiego wywiadu pod nazwą kodową „Feniks”.

Od tej pory Halim spędzał upojne wieczory ze swoją kochanką, za dnia kserował i wnosił tajne materiały dotyczące projektu atomowego Bagdadu.

Podejrzewał, że wplątał się w aferę szpiegowską, ale nie sądził, że stoją za tym Żydzi. Był przekonany, że to CIA, a ilość gotówki i udany seks

zniechęcały go do zerwania tych relacji.

Jednak na horyzoncie zaczęły pojawiać się problemy. Jack naciskał coraz bardziej na dostarczenie nowych, supertajnych dokumentów. Gdy Halim tego nie robił, Marie nie odbierała od niego telefonu. Zaczął podejrzewać, że jego nowi przyjaciele są w zмовie. Sytuację komplikował dodatkowo fakt, że był po uszy zakochany. Planował nawet, że za zarobione pieniądze będzie mógł stworzyć nową rodzinę z Marie. Opuści żonę i nie powróci do Iraku. Oboje uciekną gdzieś, gdzie nikt ich nie znajdzie.

Naprawdę groźnie zrobiło się 5 kwietnia 1979 r. Dzięki uzyskanym od Halima informacjom agencji Mossadu wysadzili w powietrze zakłady Seynesur-Mer pod Tulonem, gdzie w wielkiej tajemnicy budowano dla Iraku zbiorniki ciśnieniowe dla reaktora atomowego. Halim był naprawdę przerażony i powątpiewał w tłumaczenia Jacka, że nikt go z tym nie powiąże. Jego kontakty z Marie ustały praktycznie i spanikowany rozwojem sytuacji postanowił przyznać się żonie do tego, czym się potajemnie zajmuje.

Jej reakcja była jednak inna, niż się spodziewał. Zamiast zrozumienia i współczucia spotkała go awantura i pytania, jak mógł być tak głupi.

Przecież to nie CIA, ale najprawdopodobniej Żydzi zwerbowali cię do pracy, ty idioto! – krzyczała na niego.

Zmusiła go też, aby wszystko wyznał w ambasadzie. Po tym incydencie Halim wsiadł w samolot i poleciał do Bagdadu. Tam został na miejscu zatrzymany przez Al-Muchabarat, iracką służbę bezpieczeństwa, i słuch po nim zaginął.

Ofiara II

Eksplozja i dekonspiracja Halima nie zatrzymała ani prac nad programem atomowym, ani działań wywiadu Izraela nad jego destrukcją. Jesienią 1979 roku pojawił się w Paryżu Yahya El Mashad, szef irackiego programu atomowego. Był Egipcjaninem, profesorem i wybitnej sławy specjalistą od energii atomowej. Jego zadaniem była nie tylko koordynacja prac, ale też nadzór nad ich właściwym przebiegiem. Po eksplozji w kwietniu miał osobiście zająć się nadzorowaniem budowy nowych zbiorników ciśnieniowych.

Oczywiście od razu znalazł się na celowniku operującej w stolicy Francji ekipy Mossadu. Do pierwszego kontaktu wykorzystano Halima. Jack umówił

się z nim w restauracji, którą chętnie odwiedzał El Mashad. Do spotkania doszło, ale było ono przelotne i niezobowiązujące. Cel nawet nie przysiadł się do stolika, zadowolając się jedynie zdawkową rozmową. Nie chciał spędzać ani chwili z nieznanym Amerykaninem i niskim w hierarchii służbowej irackim inżynierem.

Mossad w opałach. Nie było pomysłu, jak podejść profesora. Nie miał w jego otoczeniu żadnych agentów, a sam El Mashad stronił od towarzystwa.

Zdecydowano się więc na dość karkołomną operację. Tu ponownie pojawiła się Marie. Raz jeszcze zapewniona przez Jacka, że to będzie już ostatni raz, podjęła próbę uwiedzenia Yahyi. Była przekonana, że to wszystko dla dobra ich związku, jego wspaniałej, świetlanej przyszłości.

Poznała rozkład dnia profesora, jego ulubione miejsca i sposób zachowania.

Nawiązała z nim pierwszy raz kontakt wzrokowy na ulicy, niedaleko jego hotelu.

Podobna sytuacja miała miejsce jeszcze kilka razy. Następnie spotkali się w lobby hotelowym, gdzie doszło do pierwszej rozmowy. Marie przekonała go, że pracuje w agencji modelek – w co nietrudno było uwierzyć – i zaproponowała wspólny udział w pokazie mody. Po tym wydarzeniu Yahya był już jej. Od tej pory spędzali większość nocy razem, gdy tylko przebywał w Paryżu. Ale ani delikatne rozmowy na temat jego pracy, ani też skryte grzebanie w jego dokumentach nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Profesor wiedział, co to znaczy zachowanie tajemnicy, i nie dawał się podejść. Mossad podjął ostatnią, desperacką próbę dotarcia do Yahyi 13 czerwca 1980 r. Tego wieczoru był on umówiony z Marie. Usłyszał pukanie do drzwi, lecz gdy je otworzył, nie spotkał pięknej kobiety, lecz mężczyznę w średnim wieku.

Panie profesorze, mam dla pana wspaniałą ofertę – zaczął mówić nieznajomy.– Za pańskie informacje pewien kraj jest gotowy zapłacić górę pieniędzy.

Yahya zatrzasnął zdenerwowany drzwi. Kilkanaście minut później ponownie usłyszał pukanie. Tym razem ostrożniej zapytał, kto tam. To była umówiona Marie.

Nie wiedziała, dlaczego jej kochanek jest taki zdenerwowany i niespecjalnie się dopytywała. Wiedziała dobrze, że jest skryty i powie jej tylko to, co chce powiedzieć. Apartament opuściła w środku nocy po

gorącym seksie.

W tym samym czasie decydowały się losy profesora. Postanowiono wdrożyć plan B. W środku nocy dwóch agentów Kidonu, specjalnej jednostki Mossadu, otworzyło drzwi i poderżnęło gardło śpiącemu al.-Meshadowi. Według świadków sypialnia profesora przypominała rzeźnię, krew była wszędzie, na ścianach i suficie. Nie było jednak widać śladów walki. Zabójcy spisali się doskonale.

Ofiara III

Zabójstwo znanego Egipcjanina odbiło się szerokim echem w światowych mediach. Nikt nie miał wątpliwości, że stoją za tym izraelskie służby specjalne.

Opinia publiczna była oburzona, jak zwykle w tego typu sytuacjach. Rząd iracki z niemałym trudem i za duże pieniądze przekonał El Mashada do współpracy, a teraz musiał poszukiwać jego następcy.

Jack rozpoczął akcję ewakuacyjną. Zaczął likwidować fikcyjne biura swojej firmy i wysyłać ludzi w drogę powrotną do domu. Halim, który był już w tym czasie w Bagdadzie, mógł zdekonspirować przynajmniej dwóch lub trzech agentów Mossadu. W przypadku Marie-Claude Magal nie miało to specjalnego znaczenia, gdyż była nieświadoma swojej roli w całej sytuacji.

Mossad wiedział, że dzięki swoim działaniom zastopował na pewien czas rozwój programu atomowego. Miał teraz okazję się przegrupować i uderzyć na kolejne cele. Jednak jego działanie mogło zostać pokrzyżowane w nieoczekiwany sposób.

Marie dowiedziała się o zabójstwie z porannych wiadomości telewizyjnych.

Bardzo szybko skojarzyła fakty i doszła do wniosku, że była najpewniej ostatnią osobą, która widziała Yahyę żywego. Zakochana w Jacku nie powiązała go zupełnie z tą sprawą. Bojąc się jednak wizyty policjantów, postanowiła sama zgłosić się na posterunek. Tam przesłuchiwana przez doświadczonego inspektora zeznała, że nawiązała romans z profesorem na polecenie swojego amerykańskiego kochanka, biznesmena, którego firma znajduje się przy Łuku Triumfalnym.

Wyjaśniła sytuację i przyznała się również, że podobne rzeczy robiła w stosunku do pewnego irackiego inżyniera.

Policjant spisał zeznania, ale nim wysłał patrol na adres domniemanej firmy, Marie zdążyła zadzwonić do Jacka i wyznać mu całą prawdę. Był to ostatni moment, gdyż opuszczał on biuro, nie pozostawiając w nim żadnych istotnych dokumentów. Coś go tknęło, aby odebrać ostatni telefon. Był doświadczonym weteranem izraelskiego wywiadu, ale informacje Marie zmroziły mu krew żyłach.

Wiedział już, że policja posiadać będzie wiarygodnego świadka. Szykowało się nowe Lillehammer. Zdążył tylko przekazać, że spotkają się wieczorem.

Jego zapewnienia wyrażone podczas spotkania nie przekonały jej. Zaczęła podejrzewać, że brała udział w spisku. Cała prasa pisała o izraelskim Mossadzie, jego metodach działania i skrytobójstwach. Nadal jednak chciała wierzyć w wersję ukochanego. Nie wiedziała, że decyzje już zapadły.

Wieczorem 12 lipca, gdy spacerowała po Bulwarze Saint-Germain, po drugiej stronie ulicy zatrzymał się samochód. Zza okna kierowcy wyjrzał Jack, który zaprosił ją do auta. Była jednocześnie zaskoczona i szczęśliwa. Nie spodziewała się go ujrzeć jeszcze. Szybkim krokiem przemierzała ulicę, gdy zza zakrętu nadjechał czarny sportowy mercedes. Uderzenie było silne i skuteczne.

Marie-Claude Magal poniosła śmierć na miejscu. Oba wozy z piskiem opon odjechały natychmiast. Nigdy ich nie odnaleziono.

Ofiara IV – epilog

Działania wywiadowcze nie przyniosły oczekiwanych efektów, za to kilka ofiar. Program atomowy został powstrzymany, ale po pewnym czasie prace wznowiono. Rząd Izraela zdecydował się na akcję militarną.

W dniu 7 czerwca 1981 r. o godzinie 15.55 czasu lokalnego – w wigilię Szawuot, żydowskiego Święta Tygodni – rozpoczęła się operacja wojskowa.

Z bazy sił powietrznych w Etzion wystartowały samoloty, lecąc na wysokości około 100-150 metrów, skierowały się nad Ejlat i Akabę, następnie, nieznacznie zmieniły kurs na południe, lecąc wzdłuż granicy Jordanii z Arabią Saudyjską. Ta trasa była zaplanowana w taki sposób, aby myśliwce nie zbliżały się zbyt blisko do osad arabskich w obu państwach.

W początkowej fazie lotu, nad Morzem Czerwonym, samoloty przypadkowo przeleciały na wysokości około 100 metrów, bezpośrednio nad

prywatnym jachtem Husajna ibn Talala, króla Jordanii. Zaniepokojony król rozpoznał izraelskie oznaczenia, pojmując istotę ich misji, bezskutecznie próbował ostrzec Irakijczyków.

Po przekroczeniu granicy Arabii Saudyjskiej samoloty klucza uderzeniowego i eskorty kontynuowały lot nad pustynią aż do okolic Bagdadu.

Była to częściowo długa i okrężna trasa, która miała za zadanie zmniejszenie szansy wykrycia przez wrogie radary i naziemne stanowiska obrony przeciwlotniczej.

Po osiągnięciu irackiej przestrzeni powietrznej eskadra podzieliła się na dwa odrębne zespoły. Pierwszy składał się z dwóch F-15, stanowiących ścisłą eskortę dla reszty samolotów F-16, natomiast druga grupa, złożona tylko z myśliwców F-15, miała za zadanie przeprowadzić dywersję w przestrzeni powietrznej wroga oraz stanowić rezerwę podczas ataku.

Bezpośrednio przed atakiem myśliwce leciały na wysokości do 30 metrów nad ziemią, chroniąc się w ten sposób przed wykryciem przez radar zainstalowany w pobliżu reaktora. O godzinie 18.35 lokalnego czasu, gdy grupa samolotów F-16

znalazła się w odległości około 20 km na wschód do reaktora, myśliwce włączyły dopalacze i na pełnej mocy rozpoczęły wznoszenie się. Z chwilą osiągnięcia około 2130 m każdy z nich, lecący z prędkością około 1100 km/h, zaczął wchodzić w lot nurkowy pod kątem 35 stopni. F-16 zrzuciły bomby z wysokości 3500 stóp (ok.

1070 m), każdy samolot w 5-sekundowym odstępie. Razem w cel spadło osiem bomb, a pozostałe osiem w pobliżu celu ataku. Z chwilą wypowiedzenia hasła „Eshkol 8”: „Everybody Charlie!” ostatnie bomby zostały zrzucone. Każda była wyposażona w bezpiecznik opóźniający eksplozję. Opóźnienie miało na celu umożliwienie głębszej penetracji obiektu, zwiększając tym samym szkody spowodowane eksplozją. Reaktora bronił autonomiczny system obrony przeciwlotniczej, zintegrowany z armatkami przeciwlotniczymi, rakietami, systemem radarowym oraz naprowadzającym. Sam reaktor został otoczony wysokim wałem ziemi.

Po wykonanym nalocie myśliwce wzniosły się na pułap 12 200 m i pełną mocą silników skierowały się w stronę Izraela. Samoloty zostały wykryte przez radary i istniało niebezpieczeństwo pojawienia się irackich myśliwców. Pomimo tego zagrożenia samoloty nie niepokojone przez wroga powróciły

do bazy. Czas operacji wyniósł 2 godziny i 45 minut.

Reaktor atomowy został zniszczony. Komandosi, którzy podświetlili cel, odlecieli z Iraku, korzystając ze śmigłowca Bell 212. Podczas nalotu życie straciło 10 Irakijczyków oraz francuski naukowiec, agent Mossadu, który umieścił nadajnik wewnątrz instalacji. Miał ją opuścić wcześniej, ale z niewiadomych przyczyn został zatrzymany w budynku. Był ostatnią ofiarą operacji Sfinks.

ROZDZIAŁ XIV

Miłość z Kanady

Podwójna ucieczka pułkownika Witalija Jurczenki należy do najdziwniejszych historii szpiegowskich okresu zimnej wojny. Do dziś historycy i pracownicy służb specjalnych toczą zacięte spory o to, czy ten dezerterski był faktycznym czy też fałszywym uciekinierem z KGB, wysłanym na Zachód, aby dezinformować i poznać zakres wiedzy, jaką posiada Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA). W tle tej całej historii jest przepiękna rosyjska blondynka.

Ale czy na pewno w tle?

Rzymskie wakacje

Latem stolica Włoch pustoszeje, jeśli tak naprawdę duże miasta pustoszeją kiedykolwiek. Właściwie byłoby napisać „pustoszeje od Włochów”, którzy przynajmniej od czasu cesarstwa rzymskiego uciekają z miasta, by znaleźć odpoczynek od upałów wzdłuż długiej, włoskiej linii brzegowej. Ich miejsce zajmują turyści ściągający setkami tysięcy do Wiecznego Miasta. Rzym to obok Paryża najbardziej pożądana misja szpiegowska Centralnej Agencji Wywiadowczej. Oficerowie wydziału europejskiego prześcigają się w wysiłkach, by pracować właśnie tu. W Brukseli i Londynie nieustannie pada, Wiedeń jest mały i prowincjonalny, a w Berlinie góra roboty, której nie zmniejszy codzienne spożywanie kiełbasek i litrów piwa.

Włochy to kraj wspaniałej kultury, szykownej mody, wyśmienitego jedzenia i przyjaznego klimatu. Nic dziwnego, że tak wielu legendarnych oficerów wywiadu miało swój włoski epizod. To tu karierę zaczynał legendarny łowca szpiegów James Jesus Angleton, gdy jako szef sekcji kontrwywiadu X-2 OSS w 1944 roku tropił nazistowskie siatki szpiegowskie. Cztery lata później ustawił wybory parlamentarne, odsuwając od możliwości przejęcia władzy Komunistyczną Partię Włoch, drugą po francuskiej największą w zachodniej Europie. To w Rzymie w latach 1979–1981 szefem

rezydentury był Duane R. Clarridge, miłośnik białych garniturów, twórca i pierwszy szef Centrum Antyterrorystycznego CIA i oficer, którego skazano za udział w aferze Iran-Contras. Kilka lat później to właśnie w Rzymie pracować i spotykać się ze swoim oficerem prowadzącym będzie Aldrich Ames, największy zdrajca w całej historii CIA. To tu, w Wiecznym Mieście, zainkasuje ponad półtora miliona dolarów.

Gdy 24 lipca 1985 r. Jurczenko lądował w Rzymie, szefem misji CIA był pięćdziesięcioośmioletni Alan Wolfe. Była to legendarna postać bliskowschodnich operacji CIA. Słynął z powiedzenia, że „jego imperium rozciąga się od Bangladeszu do Marrakeszu”, bujnej grzywy blond włosów, nietypowych zachowań i twardego, męskiego języka. Była to jednak tylko poza. Wolfe ukończył najlepsze uniwersytety, a w wolnych chwilach cytował z pamięci Szekspira i Eliota. Miłośnik dobrych win, był jednocześnie zgryźliwym, agresywnym i niecierpliwym jegomościem, co nie zjednywało mu sympatii, a wrogowie za jego plecami nazywali go „wielbłądzim łajnem”, nawiązując do jego długiego pobytu na Bliskim Wschodzie. Włochy to była ostatnia placówka przed przejściem na emeryturę trzy lata później. Dokładnie rok później w Rzymie pojawi się Ames wraz ze swoją kolumbijską żoną-wariatką Rosario. Wolf pobyt nowego pracownika przypłaci, chyba jako jedyny w historii pracownik CIA, naganą, jaką otrzymał już na emeryturze od szefa Agencji za brak „czujności rewolucyjnej” w sprawie Amesa.

Zastępcą Wolfego był pięćdziesięcioletni weteran Dyrektoriatu Operacji John „Jack” Gower, oficer „o reputacji lojalnego człowieka, który wykonywał rozkazy bez zadawania zbędnych pytań”. Jurczenko jednak nie wybrał żadnego z nich do kontaktu. Osobą, której złożył propozycję przejścia, był David Shorer, stosunkowo młody pracownik CIA, który kilka lat wcześniej wpadł w Leningradzie podczas prowadzenia operacji wywiadowczej. Otrzymał solidny łomot od ludzi z II Zarządu KGB (kontrwywiad) i od tej pory pałał nienawiścią i chęcią rewanżu. Po godzinie czternastej 1 sierpnia nadarzyła się taka możliwość. Właśnie z budki telefonicznej obok ambasady dzwonił pułkownik KGB, który chciał się spotkać w trybie natychmiastowym. Umówili się przy głównym wejściu do ambasady.

Jurczenko powiedział Shorerowi, że zniechęcił się do komunizmu, zmarła mu matka na raka, a i on obserwuje u siebie symptomy tej choroby, a tak w ogóle to za niedługo ma zostać generałem, a teraz chciałby pomóc szefowi

CIA Williamowi Caseyowi w walce z ZSRS.

Gdy do Langley nadeszła pierwsza depesza o sowieckim zbiegu, strzeliły korki od szampana, dosłownie! W dniu 1 sierpnia obchodzono akurat uroczystość pożegnania jednego z wyższych oficerów wywiadu FBI. Plotka o Jurczence lotem błyskawicy rozniosła się po sali bankietowej i była najważniejszą informacją dnia.

To niezbyt dobrze wróżyło utrzymaniu dezercji pułkownika w ścisłej tajemnicy.

Ale co zrobić, kiedy wszyscy byli głodni sukcesu; oficerowie CIA, agenci FBI, szef Agencji Casey, który mógł udowodnić, że jego twarda polityka antykomunistyczna przynosi efekty, no i oczywiście prezydent Ronald Reagan.

Następna depesza była już bardziej ścisła i przynosiła sensacyjne informacje.

Jej treść cytuję za wspomnieniami Milta Beardena:

Miejsce: Rzym 22345 011405Z Sier. 85

Pilna Depesza do Centrali

Status: tajne, wiadomość specjalna

WNINTEL

Dotyczy: Rzym 22340

W nawiązaniu do przesłuchania pułkownika KGB Witalija Siergiejewicza Jurczenki, ur. w 1936 r. w Smoleńsku, ZSRR. Przesłuchania dokonano w jednym z pokoi tutejszego biura. Analiza treści zeznania Jurczenki dowodzi, że sprawa ta powinna mieć priorytet:

Z jego wypowiedzi wynika, że nie istnieją plany ataku na Stany Zjednoczone.

Jurczenko wie coś na temat amerykańskiego agenta o kryptonimie Pan Robert, pracującego dla KGB, opisuje go jako byłego oficera CIA oddelegowanego do pracy w Moskwie i zwolnionego z powodu braku postępów w pracy i niejasności podczas kontroli z użyciem poligrafu w latach 1983–1984. Jurczenko twierdzi, że to Pan Robert doprowadził do zidentyfikowania radzieckiego uczonego Adolfa Tołkaczewa jako szpiega amerykańskiego. Wspominał również o agencji CIA w Budapeszcie, najprawdopodobniej oficerze wywiadu, w kręgach CIA znanym jako „nerwowy pułkownik”. Jednostka kontrwywiadu KGB prowadzi zakrojone na szeroką skalę poszukiwania „nerwowego pułkownika”. Jak dotąd bez

powodzenia.

Jurczenko twierdzi, że Pan Robert ujawnił też jedną z technicznych operacji, które CIA prowadzi w Moskwie. Prawdopodobnie ujawnił on również jeszcze jedną operację techniczną prowadzoną przeciwko ZSRS gdzie indziej.

Pan Robert, jak twierdzi Jurczenko, miał w ciągu kilku ostatnich tygodni potajemnie się spotkać w Wiedniu z ludźmi z KGB.

Jurczenko informuje także, że KGB udało się zwerbować pracownika NSA, który przekazał informację o poufnych operacjach morskich skierowanych przeciwko radzieckiej flocie okrętów podwodnych na Morzu Północnym. Jurczenko nie umiał sobie przypomnieć nazwiska tego pracownika, ale pamięta, że spotkał go, gdy pracował w ambasadzie radzieckiej w Waszyngtonie.

Jurczenko informuje też, że zastępca rezydenta KGB w Londynie, którego nazwiska nie potrafi podać, został odwołany z rezydentury pod pretekstem prowadzonego rzekomo dochodzenia kontrwywiadu. Jurczenko dowiedział się, że KGB stosowało wykrywacz kłamstw w czasie przesłuchania tego człowieka. Nie otrzymaliśmy żadnych dalszych szczegółów.

Jurczenko podpisał oficjalne podanie o azyl polityczny (...)

Uważam, że najlepiej byłoby przetransportować Jurczenkę do rezydencji Conus. Jurczenko twierdzi, iż KGB najdalej w ciągu trzech lub czterech godzin rozpocznie jego poszukiwania. Najprawdopodobniej z pomocą włoskich służb bezpieczeństwa. Najlepiej do tego czasu ewakuować go drogą powietrzną. Proszę o instrukcje.

Miejsce rejestracji:teczka nr E21MPDET

Jurczenko „as” wywiadu

Kim był człowiek, który wydał szpiegów KGB w najważniejszych strukturach wywiadowczych Stanów Zjednoczonych? Jurczenko, zanim wstąpił do KGB w 1960 roku, był marynarzem sowieckiej floty. Podczas jednego z rejsów, w wyniku nieuwagi, stracił częściowo dwa palce. W KGB najpierw skierowany został do III Zarządu Głównego, zajmującego się kontrwywiadem wojskowym.

W specyficie funkcjonowania sowieckich służb specjalnych, z wyjątkiem krótkiego okresu II wojny światowej, nie istniał kontrwywiad wojskowy.

Bolszewicy decydenci zdecydowali, że armii nie można ufać i nadzór nad nią powierzyli Czeka. Od tej pory KGB jest najbardziej znienawidzoną strukturą Armii Czerwonej. Oficerowie II Zarządu chodzą w mundurach poszczególnych rodzajów wojsk i decydują o awansach lub końcu kariery kadr armijnych.

W czasie swojej służby w „trójce” Jurczenko był oficerem operacyjnym i zastępcą szefa specjalnego wydziału ochrony Floty Czarnomorskiej. W 1968 roku został sowieckim doradcą przy egipskiej flocie w Aleksandrii.

Jego związki z USA zaczęły się w 1975 roku, kiedy to został przydzielony do ambasady ZSRS w Waszyngtonie jako oficer Zarządu K I Zarządu Głównego KGB. Odpowiadał za ochronę kontrwywiadowczą placówki. Po swoim powrocie do Rosji w 1980 roku pełnił wysokie stanowiska w kontrwywiadzie, współpracując w tym czasie z takimi szpiegowskimi sławami, jak Kim Philby i George Blake.

Gdy w Rzymie opuszczał pokład samolotu Aerofłotu, był już zastępcą naczelnika I wydziału zarządu wywiadu (USA i Kanada). W Moskwie porzucił żonę i chorego psychicznie syna. Był dobrze ubranym, obytym i opalonym mężczyzną. Według Davida Wise, autora biografii Aldricha Amesa, przypominał bardziej mieszkańca słonecznej Kalifornii niż rodowitego Rosjanina.

Kończąc tę krótką notatkę biograficzną naszego bohatera, warto wspomnieć o tym, że podczas pracy w rezydenturze w Waszyngtonie zaliczył dość komiczną wpadkę. Otóż były pracownik CIA Edwin Moore za wszelką cenę chciał nawiązać kontakty z KGB i sprzedać posiadane informacje. Gdy list wysłany do Dmitrija Jakuszkina, rezydenta KGB w Waszyngtonie, pozostał bez odpowiedzi, Moore zapakował dokumenty, pośród których znajdował się spis telefonów pracowników Langley, ujawniający około 300 z nich i przerzucił ponad ogrodzeniem ambasady.

W dołączonym liście żądał 200 tys. USD. Sowieci nie mieli jednak okazji zapoznać się z zawartością przesyłki i pozostali bogatsi o żadaną kwotę, gdyż Witalij Jurczenko, myśląc, że to bomba, poinformował policję. Od tej pory stał się ofiarą niewybrednych żartów swoich kolegów, a Moore, który już wcześniej miał problemy z prawem – był oskarżony o podpalenie motelu oraz zdiagnozowano u niego paranoję – został skazany na 15 lat więzienia.

K jak kontrwywiad

Jurczenko był przez pewien czas pracownikiem Zarządu K jednostki funkcjonalnej I Zarządu Głównego (wywiad) KGB. Ponieważ w tej książce spotykamy się z innymi oficerami kontrwywiadu sowieckiego, poświęćmy trochę czasu omówieniu tej tajemniczej struktury.

Zarząd K powstał jesienią 1972 roku na bazie Służby nr 2, a odpowiedni dokument sygnował Jurij Andropow – ówczesny szef całej KGB. Dzięki wielu odtajnionym dokumentom w Federacji Rosyjskiej i Polsce możemy dowiedzieć się, że do zadań kontrwywiadu należało przede wszystkim:

- przenikanie agenturalne do obcych służb, werbowanie oraz łącznikowanie oficerów wywiadu i kontrwywiadu innych państw;
- przesłuchiwanie dezertersów z obcych wywiadów;
- prowadzenie gier operacyjnych ze służbami innych państw za pomocą podstawionej agentury;
- przenikanie agenturalne do zagranicznych organizacji terrorystycznych;
- ochrona kontrwywiadowcza KGB i GRU, personelu radzieckich przedstawicielstw dyplomatycznych i gospodarczych wszelkich typów;
- lokalizowanie i likwidacja przecieków tajnych informacji ze struktur państwa sowieckiego;
- poszukiwanie i lokalizowanie dezertersów.

Zarząd K podzielony był na dziesięć wydziałów i samodzielną sekcję specjalną (SSS). Do najważniejszych należały: wydział I - zajmujący się werbowaniem oficerów obcych służb specjalnych USA i Kanady; Wydział V – odpowiadający za ochronę kontrwywiadowczą pracowników wywiadu, przedstawicielstw dyplomatycznych i handlowych, ambasad, konsulatów itp.; wydział VII – analizował informacje ze wszystkich dostępnych źródeł na temat obcych służb specjalnych; wydział VIII – prowadził ochronę kontrwywiadowczą sowieckich przedsiębiorstw, instytutów badawczych itp.; SSS – koordynowała wszystkie gry operacyjne prowadzone z zagranicznymi służbami specjalnymi.

Dodatkowo „K” koordynował nieoficjalny kanał kontaktów pomiędzy CIA a KGB w latach 1983–1987 oraz 1989–1991 zwany „kanałem Gawriłowa”.

Jak można się domyślić z zakresu obowiązków, ludzie z „K” nie cieszyli się sympatią. To właśnie oni odpowiadali za inwigilację pracowników ambasad, ich niewłaściwe zainteresowania, kontakty czy zbyt małą czujność

rewolucyjną bądź zbyt słabo wyrażaną miłość do partii i państwa sowieckiego.

Tak na marginesie naszych rozważań – najciekawszym, z punktu widzenia historyka i badacza służb specjalnych, byłoby dotarcie do dokumentów Samodzielnej Sekcji Specjalnej. W jej archiwum znajduje się wiele odpowiedzi na dotychczas niezbadane problemy, w tym i o faktyczną rolę Jurczenki oraz prawdziwość jego dezercji w 1985 roku.

Według danych szacunkowych w 1983 roku w Zarządzie K pracowało około 700 oficerów i tym samym była to jedna z największych komórek wywiadu KGB. Prof. Leszek Pawlikowicz, autor znakomitej historii I Zarządu Głównego KGB, ocenia, że w latach 80. XX wieku „K” miał około 2000 osobowych źródeł informacji. Oczywiście nie wszyscy oni byli pracownikami zachodnich służb specjalnych. Tych była zdecydowana mniejszość. Na tak rozbudowaną agenturę składało się przede wszystkim liczne grono sowieckich obywateli, zwykłych „kapusiów” rozlokowanych jako personel ambasad, linii lotniczych, agencji prasowych, firm żeglugowych itp.

Na koniec tego krótkiego szkicu o Zarządzie K warto przybliżyć postać jego naczelnika w okresie, gdy Jurczenko pojawił się w ambasadzie USA w Rzymie.

Urząd ten sprawował już od sześciu lat gen. Anatolij Tichonowicz Kiriejew.

Urodził się w 1923 roku, do KGB wstąpił w roku 1951 i pracował w nim aż do swojej śmierci w czerwcu 1990 roku. Podczas tak wieloletniej służby był m.in.

oficerem rezydentury w Nowym Jorku, zastępcą rezydenta w Waszyngtonie, rezydentem w Bejrucie i Polsce (1987–1990), to jest w okresie transformacji ustrojowej prowadzonej pod kontrolą służb specjalnych. Był osobą najdłużej pełniącą funkcję naczelnika Zarządu K od listopada 1979 roku do lipca 1987 roku i jednym z nielicznych, którzy nie mieli doświadczenia kontrwywiadowczego. To podczas jego kadencji KGB odnosiło największe sukcesy, prowadząc tak wartościowych agentów jak Aldricha Amesa, Edwarda Lee Howarda z CIA oraz Roberta Hanssena z FBI.

Siwe włosy Amesa

Pojawienie się Jurczenki było nie lada gratką dla CIA. W 1985 roku traciła ona za sprawą zdrady Amesa kolejnych swoich agentów z KGB. Aresztowani i w większości zabici zostali m.in.: płk Władimir Piguzow, płk Boris Jużyn, ppłk Walerij Martynow, ppłk Giennadij Warienik, mjr Siergiej Motorin. Dlatego trzeba było zadbać o jak największe bezpieczeństwo nowego uciekiniera. W tym momencie różne źródła podają inne daty przylotu Jurczenki do USA. My zawierzmy Miltowi Beardenowi z sekcji sowieckiej CIA, że nastąpiło to już 2

sierpnia, czyli dzień po zgłoszeniu się pułkownika do ambasady w Rzymie.

Na płycie lotniska Andrews bazy sił powietrznych w stanie Maryland zebrało się kilkunastu oficjeli z CIA, FBI i Departamentu Stanu. Pośród nich dwie osoby będą kluczowe dla całej sprawy. Pierwszą z nich jest Chuck Medanich, główny psycholog Agencji, który ma obserwować Jurczenkę i udzielać mu wsparcia w tej nowej sytuacji. Drugą jest – gdyby to wymyślił jakiś scenarzysta, to widzowie uznaliby zapewne film za niewiarygodny – sowiecki kret w CIA, szef jednostki kontrwywiadu na ZSRS Aldrich Ames!

Gdy samolot kołował na miejsce postojowe, szefowie zauważyli, że Amesa nie ma pośród zebranych. Czy zapił, jak to miał w zwyczaju, czy walcząc z myślami zakładał, że nowy przybysz mógł coś wiedzieć na temat jego zdrady.

A może jedno i drugie. Ale Jurczenko, co za „szczęście”, na trzy miesiące przed zdradą Amesa został przeniesiony z Zarządu K, który prowadził jego sprawę, do Wydziału I „amerykańskiego”. W ten sposób ominęła go sensacja dekady.

Ames nie mógł jednak tego wiedzieć, więc to była najpewniej najcięższa z dotychczasowych nocy w jego życiu. Gdy już się pojawił, Jurczenko witał się na płycie lotniska z zebranymi. Aldrich precyzyjnie się przez tłumek, uściskał rękę pułkownika i oznajmił, że „wita go w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych”, co wzbudziło ogólną wesołość. Najwyraźniej nie wytrzeźwiał jeszcze.

To, co wydarzyło się później, należy do największych partactw, które miały miejsce przy przesiedlaniu uciekiniera z KGB. Jurczenkę zawieziono do „bezpiecznego” domu CIA znajdującego się w Oakton przy ulicy Shawn Leigh Drive. Wszystko można było powiedzieć o nowym domu pułkownika, z wyjątkiem tego, że był ustronny i nierzucający się w oczy. Gdy

z samochodów rządowych wysypało się kilkudziesięciu pracowników służb i ochrony, wzbudziło to szczere zainteresowanie okolicznych mieszkańców i sklepikarzy.

Medanich i Ames, który przesłuchiwał Jurczenkę, często narażeni byli na wizyty różnych oficerów służb, którzy przychodzili tu, by sobie po prostu popatrzeć na zbiega. Pewnego razu niezapowiedziany wpadł pewien agent FBI z pytaniem, czy Jurczenko nie wyskoczy z nim na drinka. Pułkownik spytał Medanicha, czy musi? Nie musiał.

Zbieg mógł czuć się naprawdę zdezorientowany, gdy po kolei trzech oficerów CIA wypowiedziało do niego formułkę, że „jeżeli ma pan jakąś szczególnie ważną informację, którą chciałby pan przekazać bezpośrednio dyrektorowi lub innemu wyższemu urzędnikowi administracji Stanów Zjednoczonych, proszę mi ją dać, a ja i tylko ja pana z nim skontaktuję”. Byli to w kolejności Ames, Medanich i Bearden. Najwyraźniej rozbawiony tym Jurczenko poprosił, aby przekazać prezydentowi Reaganowi, „że przybyłem tutaj, aby wspierać go w walce”. Medanich, jak każdy psycholog, potraktował to poważnie i ocenił, że Jurczenko ma zawyżoną samoocenę. Po latach Bearden zdobył się na sarkastyczną samokrytykę, stwierdzając, że „może należało to wszystko lepiej zorganizować”.

Pomimo tych niedogodności oferta złożona przez rząd amerykański była naprawdę hojna. Za udzielone informacje Jurczenko miał otrzymać w pełni wyposażony dom, milion dolarów premii i sześćdziesiąt tysięcy rocznie wynagrodzenia indeksowanego o inflację. A co za te pieniądze zaoferował?

Ostrzegł, że płk Oleg Gordijewski pełniący obowiązki szefa rezydentury w Londynie został zdemaskowany, a jego nagłe wezwanie do Moskwy związane jest z cyklem przesłuchań, jakim ma zostać poddany. O Gordijewskim raport przygotowywał Ames i nie będzie niespodzianką, że dostarczył go do KGB. Brytyjski wywiad MI-6 zareagował błyskawicznie i pomimo kilku perypetii udało się go wywieźć bezpiecznie via Finlandia do Zjednoczonego Królestwa.

Drugą informacją było potwierdzenie słów innych zbiegów, że kontrwywiad KGB używa do śledzenia dyplomatów zachodnich w ZSRS specjalnego proszku.

Jak wykazały badania laboratoryjne, był on rakotwórczy, co wywołało pewną panikę wśród pracowników CIA i Departamentu Stanu.

Jurczenko wskazał jako Pana Roberta byłego pracownika CIA Edwarda

Lee Howarda, który przeszedł na stronę sowiecką i stoi za ostatnimi dekonspiracjami amerykańskich szpiegów w strukturach komunistycznej Rosji. Howard został przyjęty do CIA, pomimo że wiadano, iż został zarejestrowany jako narkoman.

Dostał dostęp do ściśle tajnych informacji i gdy miał zostać wysłany na placówkę do Moskwy, poddano go badaniu na wariografie raz jeszcze. Wyszło z niego, że nie tylko nadal zażywa narkotyki, ale jest też drobnym złodziejaszkiem. Agencja zwolniła go z pracy, pozostawiając samemu sobie. Edward postanowił się zemścić i rozpoczął współpracę z KGB. Gdy Jurczenko potwierdził, że Howard jest zdrajcą, FBI rozpoczęła jego inwigilację. Jednak dobrze wyszkolony przez CIA Howard zauważył ją i zbiegł do ZSRS.

Dzięki zeznaniom Jurczenki udało się także, ostatecznie, zidentyfikować byłego pracownika NSA, sowieckiego kreta Ronalda Peltona, który dostarczył tysiące tajnych dokumentów dotyczących m.in. amerykańskiej inwigilacji sowieckich atomowych łodzi podwodnych oraz zdekonspirował bardzo kosztowną akcję podłączenia się do przewodów telefonicznych na dnie Morza Ochockiego, co umożliwiło podsłuchiwanie dowództwa sowieckiej floty.

Pelton został już nagrany w 1980 roku, gdy skontaktował się z ambasadą sowiecką w Waszyngtonie, jednak do momentu ucieczki Jurczenki nie udało się go zidentyfikować. Jurczenko poinformował, że odbył rozmowę z analitykiem NSA i był to człowiek o rudych włosach. Po analizie kilkuset zdjęć wytypowano kilku podejrzanych. Z czasem ograniczono się tylko do Peltona, ale założony podsłuch i inwigilacja nie przyniosły rezultatów. Dopiero prowokacja FBI, przeprowadzona przez dwóch agentów, którzy odtworzyli nagranie z 1980 roku, skłoniła podejrzanego do zaproponowania działania jako podwójny agent, od tej pory dezinformujący Sowietów. Agenci Biura nie przystali na tę propozycję. Pelton został skazany na potrójne dożywocie.

Jak na oficera z takim stażem, będącego w sercu systemu służb specjalnych, nie były to informacje oszałamiające. Gordijewski wszystko, co miał do powiedzenia Brytyjczykom, już powiedział, zdradził znane mu tajemnice, więc jego strata, choć może to zabrzmieć brutalnie, byłaby wyłącznie stratą moralną, a nie profesjonalną. Co do tajemniczego proszku, to Amerykanie wiedzieli o nim już od lat 60. ubiegłego stulecia od innego

kontrowersyjnego zbiega Jurija Nosenki.

Co do Howarda, podejrzewano go od dłuższego czasu, więc Jurczenko tylko to potwierdził. Jego informacje były na tyle ścisłe, że bez trudu wskazywały właśnie na H. Jediną wartościową informacją było zdekspirowanie Peltona, ale Jurczenko sam przyznał, że spotkał się z innym pracownikiem amerykańskiej marynarki we Włoszech, który dostarczać miał podobne wiadomości. Oznacza to, że był już przygotowany kolejny szpieg w miejsce Peltona.

Tajemnicza pani doktor

Jurczenko pozostawił w domu żonę, córkę i chorego psychicznie pasierba.

Oficerowie go przesłuchujący oraz psycholog zauważyli, że nie bardzo tęskni i martwi się pozostawioną w kraju rodziną. Jurczenko wielokrotnie podkreślał tylko, aby wiadomość o jego ucieczce wypłynęła jak najpóźniej, gdyż dopóki nie jest ona potwierdzona oficjalnie, dopóty rodzina nie będzie narażona na represje ze strony władz.

Jego stan psychiczny się pogarszał. Narzekał na intensywność przesłuchań (od 9.00 do 13. 00), rygorystyczny stosunek do zasad bezpieczeństwa, wielkie dłonie ochroniarzy (autentyczne!), zbyt krótki telefon od szefa CIA Caseya, bóle brzucha, których nie kojarzył z ilością wypitego alkoholu, lecz ewentualnie chorobą nowotworową leczoną na rosyjski sposób przez dania z ozorów wołowych.

Na samotność, wyalienowanie i niezrozumienia, jakoby jego gestu przejścia na stronę USA.

Po rozmowie z psychologiem sytuacja się wyjaśniła. Jurczenko był zakochany i to od wielu lat. Obiektem jego westchnień była Walentyna Jerskowska, piękna blondynka o subtelnej urodzie i długich nogach. Zakochali się w sobie, kiedy Jurczenko pełnił misję w ambasadzie w Waszyngtonie. Walentyna była w tym czasie lekarzem kolonii sowieckiej, zresztą wysoko ocenianym.

Szkopuł polegał na tym, że była zamężna z dyplomatą z tejże ambasady.

To jednak, jak wyjaśniał Jurczenko, nie przeszkadzało w nawiązaniu ognistego romansu. Para musiała się jednak rozstać, kiedy Jurczenko zakończył pracę w rezydenturze i wrócił do Moskwy. W tym czasie Walentyna urodziła swojemu mężowi drugą córkę, więc ich związek

najwyraźniej nie wygasł ostatecznie. Kolega pułkownika z rezydentury wspominał, że miłość miała charakter całkowicie platoniczny i wiedza o tym była powszechna w placówce dyplomatycznej. Jurczenko miał „chodzić z Walentyną na hamburgery, siadać w parku i rozmawiać”.

CIA tak bardzo chciała poprawić nastrój swojej zdobyczy, że uległa namowom Jurczenki i zgodziła się zorganizować jego potajemne spotkanie z ukochaną. Znajdowała się ona w tej chwili w Montrealu u boku swojego męża konsula. W ten sposób Agencja zaangażowała się w rozbitcie wieloletniego małżeństwa państwa Jereskowskich. Jurczenko przekonywał, że życia nie widzi poza Walentyną i ona na pewno, kiedy go zobaczy, zdecyduje się na ucieczkę i będą wiedli spokojne życie gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

Jednak aby doprowadzić do tego spotkania, trzeba było zorganizować całą akcję wywiadowczą, w którą zaangażowane zostały również służby wywiadowcze Kanady. Miały one inwigilować Jereskowskich, ustalić, o której mąż wychodzi i wraca z pracy, co robi w tym czasie Walentyna, kiedy pozostaje w domu sama bez dziewczynek. W wyprawie Jurczenko miał towarzyszyć Medanich i ewentualnie zaangażować się w nakłanianie Walentyny, aby porzuciła męża i dzieci. Wysłano go do fryzjera i zakupiono nowy garnitur, koszulę i buty.

Wszystko to, by mógł zaimponować swojej kochance.

CIA wycarterowała samolot wojskowy i przewiozła zbiegę z Waszyngtonu do Plattsburgha w stanie Nowy Jork. Resztę trasy do granicy, w towarzystwie jeszcze kilku oficerów, przebyto samochodem. Na granicy Jurczenkę powitał Colin Thompson, łącznik CIA w Kanadzie, i kilku oficerów, tym razem służb kanadyjskich.

Pułkownika przewieziono do bezpiecznego apartamentu w Montrealu, gdzie w dniu następnym miał się spotkać z ukochaną.

O godzinie „zero”, Jurczenko wykonał telefon do Walentyny z aparatu telefonicznego znajdującego się naprzeciw budynku, w którym mieszkała. Wokół rozmieszczonych było kilka punktów obserwacyjnych Kanadyjczyków, którzy w razie jakiegokolwiek zagrożenia mieli ewakuować Jurczenkę. Walentyna, gdy usłyszała głos pułkownika, odłożyła słuchawkę. On domyślił się, że telefon może być na podsłuchu, więc to normalne, że nie chciała rozmawiać. Podziękował Medanichowi za propozycję wspólnego spaceru i sam poszedł do mieszkania Walentyny.

Rozmowa pomiędzy nimi nie trwała dłużej niż trzy minuty i odbyła się w drzwiach mieszkania. Jurczenko zakomunikował, a nie zapytał:

– Idziesz ze mną.

– Gdzie? – zapytała Walentyna.

– Do Waszyngtonu, tam teraz mieszkam.

– Nie ma mowy – odpowiedziała zdecydowanie – nie zostawię męża i dziewczynek.

– Ale nasza miłość? – Zaczął się żalić Jurczenko.

– To przeszłość – odpowiedziała twardo. – Ja kochałam pułkownika KGB, a nie zdrającę i brudną szmatę. – I zatrzasnęła drzwi.

Medanich i oficerowie kanadyjscy byli zaskoczeni takim obrotem sprawy.

Wszak Jurczenko przekonywał, że Walentyna szaleje na jego punkcie i na pewno z nim ucieknie. Służby dwóch państw zaangażowane zostały w miłosne porwanie żony dyplomaty, które zakończyło się kompletną katastrofą. Przygotowany był cały plan ucieczki kochanków, w tym zablokowanie ulic przez policję, aby samochód ich wiozący mógł jak najszybciej opuścić Montreal. Towarzyszyć miał im Medanich, którego rola jako psychologa polegała na tym, by uspokoić na pewno zdenerwowaną niewiastę i przekonać ją, iż wybór, którego dokonała, jest słuszny.

Teraz w samochodzie siedział tylko Jurczenko, który zszokowany wybełkotał „nie udało się”.

Powtórna ucieczka

Powrót z Kanady zbiegł się z pierwszymi przeciekami prasowymi z ucieczki Jurczenki do Stanów. Stało się to, czego się obawiał najbardziej. Teraz także jego rodzina w Moskwie była zagrożona represjami. Jego stan psychiczny stale się pogarszał. Wpływ na to miało także niewykrycie raka, a przecież był przekonany, że go ma i niebawem dołączy do swojej matki w zaświatach. W jego opinii, doczesne życie wydawało się bezpowrotnie stracone. Nie miał rodziny, kochanka okazała się wiarołomna i do tego powód umartwiania się zniknął.

Medanich, cały czas czuwający nad samopoczuciem Jurczenki, zaproponował wycieczkę po Stanach. Pojechali zwiedzić kanion rzeki Kolorado, stan Arizona oraz Las Vegas. Tam Jurczenko zapragnął kobiety, ale podróżujący z nim agent FBI oświadczył, że urzędnik państwowy nie

może stręczyć prostytutek.

Jurczenko z wycieczki wrócił jeszcze bardziej rozeźlony – irytowała go nawet podawana na śniadanie owsianka.

2 października Jurczenko zapragnął spaceru po Waszyngtonie i posiłku we francuskiej restauracji. Wraz z ochroniarzem z CIA Tomem Hannahem odbył wycieczkę, a kolację zjedli w restauracji „Au Pied de Cochon”. Relacji z tego, co się tam stało, jest kilka, w tym i te, że: Jurczenko uciekł przez okno w toalecie; wyszedł niezauważony przez ochroniarza; wyszedł, ale zakomunikował mu, że już nie wróci; wyszedł, a ochroniarz poszedł zapłacić rachunek i zorientował się, że Jurczenko nawiał. Faktem jest, że Jurczenko zupełnie nie niepokojony udał się do pobliskiej ambasady sowieckiej.

Miałem okazję znaleźć się w restauracji, z której uciekł Jurczenko, gdy jeszcze istniała. Nie można z niej wyjść niezauważonym, chyba, że ochroniarz ma kłopoty ze wzrokiem. Jest teoria, że CIA pozwoliło „odejść” Jurczenke, wiedząc, że nie będzie już z niego pożytku.

Bardzo wielu oficerów do dzisiaj jest przekonanych o rzetelności Jurczenki i jego prawdziwej ucieczce, która nie miała nic wspólnego z zamaskowaniem działalności Aldricha Amesa i odwróceniem uwagi kontrwywiadu w stronę Howarda i Peltona. Nie można wykluczyć, że spotkanie z Walentyną nie było miłą próbą porwania ukochanej, lecz kontaktem z przedstawicielem KGB

i poinformowanie przez Jurczenkę, że sprawa załatwiona i może wracać. Wszak treść rozmowy kochanków znamy tylko z opowieści samego Jurczenki. Milt Bearden należy do tych ludzi, którzy przekonani są o wartości pułkownika, jednak jego wspomnienia pełne są alogicznych wniosków i zmanipulowanych historii.

Kilka dni później odbyła się konferencja prasowa w sowieckiej ambasadzie.

Jurczenko powiedział, że został odurzony narkotykami w Rzymie i porwany.

Opowiadał dużo o niekompetencji CIA, w tym i o tym, że jej szef podczas uroczystego obiadu cały czas gadał i był nieuczestny. Jurczenko powinien się cieszyć, gdyż znając abnegację Caseya, mógł zostać obłany winem lub pobrudzony sałatką.

Po tej konferencji pułkownik najspokojniej w świecie wsiadł w samolot Aeroflotu i poleciał do Moskwy, by kontynuować dalej karierę w szeregach KGB. Po rozpadzie ZSRS odszedł ze służby, by zostać szefem ochrony

jednego z banków. A Walentyna? No cóż, na ten temat nie mamy żadnych wieści. Nie była jednak widziana u jego boku.

* * *

Gdy kończę pisać ten rozdział, czuję na plecach dreszcz niepokoju. Jeżeli za bezpieczeństwo USA odpowiadać mają tacy ludzie jak alkoholik degenerat (Ames), posoborowy katolik wynajmujący sąsiadowi żonę do pornosesji filmowych (Hanssen), czy paranoik (Moore), to czy my również możemy czuć się bezpieczni?

ROZDZIAŁ XV

Wszystkie buty Rosario

– To jakaś pomyłka, to jakaś pomyłka – powtarzał pięćdziesięciodwulatek, kiedy kazano mu opuścić samochód. W jego ręce nadal dopalał się papieros, a słowa ludzi na zewnątrz słychać było jak przez mgłę. Pomyślał pewnie wtedy, że to jest „koniec” gry. Ten dzień, którego najbardziej się obawiał, właśnie nadszedł.

Kilka chwil wcześniej rozegrała się scena jak z dobrego filmu szpiegowskiego. Aldrich Ames, przez przyjaciół zwany Rickiem, wjechał w jednokierunkową uliczkę niedaleko swojego domu w Arlington w stanie Wirginia. Na najbliższym skrzyżowaniu światło zmieniło się na zielone, ale stojący wóz z przyciemnionymi szybami nie ruszył. Krótkie trąbienie nie pomogło, a sytuacja stała się jasna, gdy z tyłu jego samochodu zatrzymał się kolejny wóz, z włączonymi tym razem światłami policyjnymi. Kilku agentów Federalnego Biura Śledczego (FBI) w czarnych długich płaszczach, niczym komary, okrążyło jaguara XJ6, grzecznie prosząc, aby kierowca opuścił auto.

Była 10.30, 21 lutego 1994 roku, dzień wolny od pracy. Następnego dnia Ames miał lecieć do Moskwy z misją CIA, aby uzgodnić dalszą współpracę z rosyjskimi służbami na temat programu zwalczania gangów narkotykowych.

W FBI obawiano się, że wybierze „złotą rosyjską wolność” w państwie Borysa Jelcyna. Nie można było ryzykować.

W chwilę po tym jak Rick Ames odjechał spod swojego domu, na zewnętrznym parkingu zaparkowało rządowe auto. Drzwi otworzyła gosposia.

Zaniepokojona tym, że ktoś bez uprzedzenia odwiedza ich w świąteczny poranek, Rosario, żona Aldricha, wybiegła z łazienki. W holu domu spotkała ciężarną kobietę i barczystego mężczyznę. Byli z FBI i wręczyli jej nakaz aresztowania.

Matka Rosario, Cecil Dupuy de Casas, która odwiedzała córkę, wpadła

w histerię, grożąc, że poinformuje ambasadę i prezydenta Kolumbii. W takiej sytuacji dał znać jej nadpobudliwy i zmienny charakter. Była gotowa do walki o córkę, ale nie bardzo do obrony swojego pięcioletniego wnuczka Paula przerażonego całą sytuacją.

Gdy Rosario w kajdankach opuszczała swoją piękną willę i żegnała dotychczasowe życie, dziesiątki agentów przeszukiwały już jej dom, odnajdując niezbite dowody szpiegostwa jej męża. Mały Paul pod opieką ludzi z FBI musiał poczekać na swoją ciotkę, młodszą siostrę Aldricha – Nancy Everly.

Tak skończyła się historia sowieckiego szpiega w Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), ale nie historia jego miłości do kolumbijskiej żony Rosario.

Bardzo przeciętny funkcjonariusz

Aldrich Ames, rocznik 1941, szpiegostwo i alkohol miał we krwi. Jego ojciec, Carleton, był pracownikiem zespołu słynnego szefa kontrwywiadu CIA Jamesa Jesusa Angletona i opinię jednego z największych agencyjnych opojów.

Angleton, amerykański łowca szpiegów, miał obsesję na punkcie infiltracji Agencji przez komunistyczne KGB. Podczas swojej długoletniej kariery (zaczął pracę w poprzedniczce CIA OSS jeszcze w latach II wojny światowej) nie złapał ani jednego szpiega, za to zniszczył karierę wielu innym oficerom CIA. Do dziś pozostaje bardzo zagadkową, tajemniczą i kontrowersyjną postacią. Gdy Ames rozpoczynał swoją współpracę podwójnego agenta, Angleton już dawno opuścił służby specjalne. Jednak warto zauważyć, powołując się na słowa innego wysokiego rangą pracownika CIA Duane'a R. Clarridge'a, „może Angleton miał bzika, ale za jego czasów, takiej afery jak z Amesem być nie mogło”.

Rick pracę dla CIA rozpoczął dość wcześnie, bo już w wieku szesnastu lat jako pracownik techniczny – ktoś, kogo w Polsce nazywamy „przynieś, wynieś, pozamiataj”. Jego kariera na tym etapie zakończyła się w 1959 roku, gdyż postanowił rozpocząć studia w Chicago. Kochał teatr i poezję, sądził więc, że w tej branży, tak często podobnej do szpiegowskiej, odnajdzie swoje powołanie. Nic z tego. Ames nie palił się do nauki lub też nie miał predyspozycji aktorskich. Słabo mu szło na Uniwersytecie Chicagowskim,

a ze szkoły został zapamiętany jako przeciętny aktor teatralny i klasowy dowcipniś. Z pomocą przyszedł ojciec, który najwyraźniej uznając, że syn nie jest w stanie wybrać żadnej z dróg kariery, zgłosił młodego Amesa jako analityka do Records Integration Division – Dział Dokumentacji Archiwalnej (RID), gdzie ten segregował i czytał dokumenty, lecz większość czasu spędzał przepisując dane na zwykłej maszynie do pisania.

Był rok 1962, Ames miał dwadzieścia jeden lat. Trzeba przyznać, że praca w RID nie mogła być szczytem marzeń dla młodego i ambitnego człowieka.

Pozwalała jednak mieć nadzieję, że kiedyś, po sprawdzeniu umiejętności i lojalności, zaproponują mu pracę w „prawdziwej” CIA.

W tym czasie Centralna Agencja Wywiadowcza była podzielona na pionry: Dyrektoriat Wywiadu – zajmujący się analizą wszelkich danych dostępnych ze źródeł otwartych oraz stricte wywiadowczych – największą tego typu instytucję na świecie; Dyrektoriat Naukowo-Techniczny, grupujący najtęższe umysły ściśle odpowiadające za tworzenie i wdrażanie tak różnych wynalazków jak trucizny i narkotyki z jednej strony, z drugiej samoloty i satelity szpiegowskie. Jednak legendą CIA i jego tajnym bractwem jest Dyrektoriat Operacji, serce i mięśnie tej służby. Ludzie z tej struktury to prawdziwi agenci wywiadu, organizatorzy tajnych akcji i zlecniodawcy lub czasami wykonawcy zamachów politycznych. To właśnie do tego elitarnego towarzystwa trafił Ames i dostał jakby na zniechęcenie swoją pierwszą placówkę wywiadowczą w Ankarze, stolicy Turcji.

Wspominany tu wcześniej Clarridge był w tym czasie zastępcą szefa rezydentury CIA w Ankarze i bez ogródek w swoich wspomnieniach pisał, że Turcja była najmniej pociągającą placówką dla pracowników służb specjalnych.

Miała opinię zsyłki dla mniej inteligentnych, pracowitych lub zdolnych oficerów operacyjnych. Taka diagnoza może dziwić, gdyż Turcja od końca II wojny światowej była jednym z najbliższych i najważniejszych sojuszników USA w tym regionie. Graniczyła w tym czasie z ZSRS, a na jej terenie znajdowały się tajne amerykańskie bazy podsłuchowe. O roli tego kraju w walce wywiadów przekonany był i sam Hans Kloss, który w odcinku serialu pod tytułem „Cafe Roze” walczył na śmierć i życie z Abwehrą pod niebem przepięknego Istanbuhu.

Clarridge w niczym jednak nie przypominał „naszego” dzielnego szpiega z NKWD. Ten absolwent najlepszych z amerykańskich uniwersytetów,

doktor nauk humanistycznych znany był z gburowatości, ciętego języka i rubasznych dowcipów. Gustował w białych garniturach, z nieodłączną chusteczką w kieszonce marynarki. Jednak o ile w Rzymie, gdzie był rezydentem CIA w latach 1979–1981, uchodził za wzór mody, o tyle w centrali w Langley wyglądał jak obwoźny lodziarz.

To właśnie w październiku 1969 roku pod jego skrzydłami wylądował Ames.

Niestety, nie było to miękkie lądowanie. Clarridge wspominał:

Brakowało mu niezbędnych podstawowych cech osobowości (...) znalazł się w nieodpowiedniej profesji, a przynajmniej po złej stronie wywiadowczego rzemiosła. Był introwertykiem pozbawionym umiejętności nawiązywania kontaktów interpersonalnych. Jego kontakty z cudzoziemcami nigdy nie były efektywne, ponieważ nie był w stanie ich nawiązać, a tym bardziej zwerbować. Nawet rola agenta zalegalizowanego przekraczała jego możliwości. Prawdopodobnie z tych wszystkich powodów i towarzyszącej im frustracji Ames przybrał postawę obojętności wobec własnej pracy.

Żeby jednak nie być do końca krytycznym, należy dodać, że przełożony Ricka bardzo komplementował jego... żonę Nan, opisując ją jako zrównoważoną młodą damę, znacznie przewyższającą swojego męża i zapewniającą pomoc w środowisku towarzyskim. Po przeczytaniu obu opinii trudno nie mieć wątpliwości, która z nich jest bardziej krytycznie miażdżąca dla naszego przyszłego „króla szpiegów”.

Całe przyszłe życie Rica, Rosario i tych, którzy rozstali się z tym światem w wyniku ich zdrady, mogło potoczyć się już inaczej w 1972 roku, kiedy to Ames chciał zrezygnować z pracy w CIA. Powodem tego kroku miała być bardzo nieprzychylna opinia, którą wystawił mu jego ankarcki szef. Clarridge w raporcie pisał, że nie nadaje się on do pracy oficera operacyjnego, brak mu talentu i zdolności, wolał „zadania, które nie wymagały bezpośredniej konfrontacji z nieznanymi osobami, którymi trzeba manipulować” i ogólnie, pisząc w dużym skrócie, jest on cymbałem, który resztę kariery powinien spędzić za biurkiem w Centrali. No, taka opinia musiała zboleć. Ale jeżeli nie CIA, to co? Ames został, a Clarridge pluł sobie latami w brodę, że jego wnioski nie były zbyt radykalne i nie zasugerował, aby Rica z Agencji po prostu wykopać. Na marginesie warto zaznaczyć, że Aldrich odniósł jednak jakiś sukces. Przez trzy lata pracy w Ankarze zwerbował słownie jednego agenta!

Kto nie pije, ten nie żyje

Po tak „udanej” pierwszej misji zagranicznej nic dziwnego, że Ames zaczął coraz częściej zaglądać do kieliszka. O „entuzjastycznej” opinii rozeszły się plotki po całym Dyrektoriacie Operacji, ale ponownie z uwagi na zasługi taty w tajnych służbach pozwolono Amesowi na kontynuowanie kariery.

Skoro nie sprawdził się w Turcji, to może chłopina sprawdzi się na kierunku sowieckim i w 1973 roku skierowano naszego bohatera na roczny kurs języka rosyjskiego. W tym czasie wypełniał i przekładał papiery w wydziale sowieckim, co – jak się wydaje – było jego miejscem na ziemi, gdyż otrzymywał same pochlebne opinie.

Nan Ames, która była analityczką CIA i towarzyszyła mężowi w Ankarze, postanowiła definitywnie rozstać się z Agencją. Wielokrotnie skarżyła się wszystkim chcącym słuchać, że „firma” pełna jest barier uniemożliwiających karierę młodym kobietom. Fakt, były to jeszcze czasy, kiedy wewnątrz CIA panował męski seksizm, nie obchodzono tak hucznie „CIA gay pride day” (dnia dumy pederastów), a polityka poprawności politycznej nie awansowała na wyższe stanowiska czarnych, niewykształconych lesbijek. W tym środowisku ambitna Nan mogła się czuć naprawdę źle!

Nie lepiej też było z Rickiem. Sądził, że jego kariera osiadła na mieliźnie i nie znajduje się na ścieżce szybkiego awansu. Frustrację zaczął topić w alkoholu, a jego przypadłość zauważono także w Agencji. W 1973 roku podczas wigilii świąt Bożego Narodzenia tak się upił w biurach CIA, że musiał go eskortować do domu specjalny oddział z Biura Bezpieczeństwa Agencji. Sytuacja powtórzyła się rok później, tyle że zaangażowana w nią była koleżanka Ricka i oboje zostali nakryci w niedwuznacznej sytuacji.

Na zewnątrz wiódł jednak spokojne i ustatkowane życie urzędnika państwowego. Jedna z koleżanek Nan wspominała:

Wyglądało na to, że nie przejmują się rzeczami materialnymi. Bardzo dużo czytali i słuchali muzyki. Rick był interesującym, pełnym ciepła i humoru człowiekiem. Jego dom, samochód, ubrania i styl życia były bardzo skromne. (...)

Byli ludźmi o przyjacielskim usposobieniu, otwartymi i skłaniającymi się ku poglądom liberalnym.

(...) Mój trzyletni syn chodził patrzeć, jak Nancy pracuje w ogródku.

Chodziliśmy do ich domu na kolację, oni zaś przychodzili do nas (...).

No po prostu idylla, do której należy dodać jeszcze zaangażowanie Ricka w budowę tanich czynszowych osiedli dla Murzynów, a jego żony w udaną kampanię liberalnego demokrata Joela Broyhilla do Kongresu.

W 1976 roku przełożeni Amesa docenili jego pracę biurową i skierowali go do bazy CIA w Nowym Jorku. Na tym przykładzie widać doskonale sekciarstwo ludzi ze służb specjalnych. Ames zebrał bardzo negatywne opinie w rezydenturze w Ankarze, wykluczające go jako pracownika operacyjnego. Dodatkowo podczas swojej pracy w Centrali zgubił w metrze teczkę z tajnymi dokumentami i fotografiami. Szczęśliwie została odnaleziona przez nauczyciela polskiego pochodzenia i oddana do FBI. Pomimo tak ewidentnych wpadek Ames wylądował w Nowym Jorku jako agent operacyjny pod przykryciem biznesmena.

Tu się zaczęło dla niego prawdziwe eldorado. Otrzymał opłacony z funduszy CIA wielki apartament na Manhattanie oraz kartę kredytową na bieżące operacyjne wydatki. Grał biznesmena i to z wyższej półki. Nowy Jork to miejsce siedziby Konsulatu Generalnego ZSRS oraz ONZ. To właśnie w tej drugiej organizacji Rick miał próbować sił jako tajny agent pod przykryciem. Nie trzeba dodawać, że żadnego Rosjanina nie zwerbował do współpracy, ale też innym się to również nie udało. Odniósł kilka sukcesów w postaci „agentów wspomagających”, to jest tych, którzy pomagają w pracy bazy CIA, zapraszając, na przykład, na bankiety interesujących Agencję dyplomatów.

Życie Amesa upływało w chodzeniu na koktajle, przesiadywaniu w holach ONZ-tu, zapraszaniu na obiady i kolacje osób mogących zainteresować CIA. Nie wymagano od niego wielkich sukcesów werbowniczych, więc pędził spokojny żywot agenta znajdującego czas na broadwayowskie premiery i wernisaże sztuki.

Jeden z jego kolegów z pracy po latach wspominał:

Wyglądał na kogoś po elitarnym uniwersytecie, zamożnego, dobrze się ubierał. Posiadał nienaganne maniery. Przyjemnie się z nim rozmawiało.

Trzeba przyznać, że Rick dokonał dużego skoku jakościowego pomiędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Pobyt w tym mieście służył też Nan. Związała się z lewicowym skrzydłem partii demokratycznej i była na dobrej drodze do rozpoczęcia samodzielnej kariery politycznej.

To, czego nie mógł dokonać zawodowo Ames, zrobili jego koledzy.

W pewnym momencie swojego pobytu w NY otrzymał zadanie prowadzenia Arkadija N. Szewczenko, osoby numer dwa w ONZ, zastępcy sekretarza do spraw politycznych. Szewczenko nawiązał kontakt z CIA w 1975 roku, twierdząc, że chce poprosić o azyl polityczny. Oficerom Agencji udało się przekonać go, aby pozostał jeszcze w dotychczasowym miejscu pracy. W ten sposób najwyższy rangą dyplomata sowiecki, jaki kiedykolwiek przeszedł na stronę Zachodu, został szpiegiem CIA przez kolejne trzy lata. W tym czasie jednym z oficerów prowadzących był Ames, którego Szewczenko wspominał:

Pamiętam, że dużo pił. Ja także dużo piłem. Był dobrym towarzyszem zabawy. Był to jedyny sposób na rozładowanie stresu. Ja piłem wódkę i sądzę, że on też pił wódkę i być może whisky. (...) zrobił więc na mnie dobre wrażenie. Był przyjaźnie usposobiony i zachowywał się normalnie.

Ostateczna ucieczka Szewczenki na Zachód stała się czasem świętowania i awansów. Nie ominęły one również Ricka, który także był zaangażowany w całą operację. Jednak sukcesy zawodowe nie szły w parze z rodzinnymi. Już od pewnego czasu drogi Aldricha i Nancy zaczęły się rozchodzić. Konflikty powodowały notoryczna absencja w domu i ciągłe pijaństwo. Gdy otrzymał propozycję wyjazdu na placówkę do Meksyku, Nan powiedziała zdecydowanie „nie”. Jej kariera kwitła w Nowym Jorku i nie zamierzała rezygnować z pozycji wywalczonej z takim trudem. Rick bardziej pogodził się z odmową wyjazdu żony niż z faktem, że od tego momentu będzie musiał opłacać w całości apartament na Manhattanie, który do tej pory był finansowany z pieniędzy CIA. Tak rozpoczęły się jego pierwsze poważne kłopoty finansowe.

„Ale Meksyk”

Drugi zagraniczny przydział Amesa był równie nieszczęśliwy jak pierwszy.

W październiku 1981 roku wylądował w stolicy Meksyku. Od czasu, kiedy Santa Anna zburzył Alamo, a następnie ze zmiennym szczęściem ścigał po spalonej ziemi Teksasu gen. Zachary’ego Taylora, aż ten doczekał się amerykańskiej kontrofensywy, Meksyk był krajem przyjaznym w stosunku do USA.

Stanowił on bazę spotkań dla oficerów KGB, którzy w bezpieczny sposób nie mogli zadaniować swojej agentury na terenie samych Stanów Zjednoczonych.

CIA blisko współpracowała ze służbami meksykańskimi, miała pełny wgląd w pocztę, łączność radiową i telefoniczną ambasad państw komunistycznych, a na życzenie większych braci za Rio Grande dokonywali również obserwacji ambasady sowieckiej.

Rick miał tu pełnić rolę szefa komórki kontrwywiadu sowieckiego, to znaczy chronić agencję przed obcą infiltracją i samemu pozyskiwać źródła z KGB. Miał gabinet na czwartym piętrze ambasady, czteroosobowy zespół pracowników i zaszeregowanie jako GS-13 z pensją 36 320 USD rocznie.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że to ciepła posadka dla wycieńczonych pracą w Centrali oficerów operacyjnych, w kraju słynącym z zabytków, słońca i pięknych plaż. I tak było, do czasu. W 1981 roku urząd objął Ronald Reagan, najbardziej antykomunistyczny prezydent w historii Stanów Zjednoczonych. Na szefa CIA powołał weterana OSS, multimilionera i szefa swojej kampanii Williama Caseya, który postulatu walki z komunizmem nie uważał tylko za hasło wyborcze.

Casey w momencie objęcia kierownictwa Agencji był jej najstarszym w historii szefem, ale energii mógłby mu pozazdrościć niejedyn trzdziestolatek.

Był oryginałem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jako milioner nosił wiecznie wygniecione marynarki, poplamiony krawat, siorbał przy stole oraz mówił cicho i mało zrozumiale. Drzemał też czasami na posiedzeniach rządu, a pierwsza dama Nancy Reagan nie znosiła go chronicznie.

Dużą część czasu spędzał w podróży lotniczych, objeżdżając zagraniczne misje CIA i planując kolejne wywiadowcze operacje antysowieckie. To za jego kadencji ruszyła faktyczna pomoc wojskowa dla afgańskich mudżahedinów i szerokie wsparcie dla polskiego podziemia solidarnościowego po stanie wojennym. Każdy front zimnej wojny był dogodny, aby zaatakować Sowietów, a kraje Trzeciego Świata w szczególności. Wkrótce nowa agresywna polityka wywiadowcza zaczęła przynosić wymierne efekty. W sprawozdaniu za 1985 rok KGB szacowała, że od stycznia do kwietnia 1984 roku CIA dokonała 580

prowokacji (czytaj: prób werbunku – przyp. aut.). W analogicznym okresie roku następnego podobnych sytuacji wydarzyło się 780.

KGB oceniało, że za ten stan rzeczy odpowiedzialne są dwa czynniki:

– do (krajów – przyp. aut.) NATO kierowana jest nasza najlepsza kadra i w obliczu stale rozwijającej się współpracy z krajami Trzeciego Świata nie stać

nas na to, aby wszystkie stanowiska były obsadzone dobrymi, ideowo oddanymi pracownikami;

– nasi przedstawiciele w Trzecim Świecie zachowują się luźniej i swobodniej, co zachęca służby przeciwnika do aktywniejszej pracy w zakresie podejść werbunkowych (...).

CIA szło na wojnę, Casey bezpodstawnie obawiał się przewrotu komunistycznego w Meksyku, a misja Agencji nie była przygotowana na nowe wyzwania. Jej szefem był podówczas pięćdziesięcioletni Francis Cote MacDonald nazywany popularnie „Mac”, a jego zastępcą Lawrence M. Wright.

Obaj praktycznie całe swoje życie przepracowali w sekcji latynoskiej CIA, z tym że ten drugi był również szefem misji w Madrycie, a na ścianach mieszkania miał zdjęcia z autografami gen. Franco. Obaj solidnie popijali, lubili życie nocne, a „Mac” niedawno rozwiedziony oszalał na punkcie nowej dwudziestoletniej przyjaciółki.

Cała misja CIA liczyła dwadzieścia cztery osoby, z czego dwunastu było pracownikami operacyjnymi, w tym i nasz Aldrich. Trzeba przyznać, że nie było mu łatwo. Po pierwsze nadal był zatrudniony w sekcji sowieckiej, a wszyscy pozostali pracownicy w latynoskiej i znali się od lat. Ames był tu ciałem obcym i szczęście, że znalazł sobie nowego przyjaciela w osobie Davida T. Samsona, byłego oficera operacyjnego w Turcji. To wspólne doświadczenia z tego kraju oraz rozbite życie małżeńskie – Samson rozwiódł się w 1980 roku, a Ames praktycznie przestał utrzymywać kontakty z Nan – zbliżyły ich do siebie. Panowie wspólnie balowali i wspólnie pracowali. Chodzili na dziewczyny i zwiedzali zabytki.

W Meksyku podobnie jak wcześniej w Ankarze powrócił problem z samooceną Aldricha. Była ona wielka. Jego poprzedni szef misji w Turcji wspominał:

Pamiętam, jak siedział naprzeciwko i oczami krótkowidza wpatrywał się we mnie zza grubych szkieł swoich okularów, a na twarzy błąkał mu się śliski, butny półśmieszek, który mówił „Jesteś prawdziwym osłem Clarridge. Jestem o całe niebo sprytniejszy niż ty”.

Podobna sytuacja powtórzyła się w kolejnej rezydenturze. Z tego powodu był człowiekiem nielubianym i unikano jego towarzystwa. Być może wszyscy tam nadmiernie pili i bawili się, ale nie z Rickiem. L.M. Wright po latach wspominał:

On uważał, że jest bardziej inteligentny niż cała reszta. Jako agent operacyjny był mierny. Nie wydawał mi się człowiekiem obdarzonym szczególną wyobraźnią. Przypuszczam, że pod względem intelektualnym wyrastał ponad przeciętność. Działał jednak na granicy lenistwa.

W tym miejscu należy dodać, że jak większość. CIA nie musiała się starać za bardzo. Funkcjonowała w zaprzyjaźnionym kraju, w którym służby spełniały jej wszelkie prośby. Inwigilacją ewentualnych powiązań obywateli amerykańskich z ambasadą sowiecką zajmowała się rozbudowana komórka FBI. Całą bytność Agencji na tym terenie można potraktować jako ćwiczenia w miłym i przyjaznym terenie.

Tyle wynika z opisów badaczy tematu i byłych pracowników CIA w Meksyku. A jak tę sytuację widzieli oficerowie sowieckich służb specjalnych?

W wyciągu z raportu z 1985 roku z rozmów pomiędzy przedstawicielami wywiadów państw socjalistycznych KGB oceniało, że:

Do niedawna Meksyk oceniany był jako dogodny kraj do prowadzenia operacji wywiadowczych. Obywatele USA nie potrzebowali wizy, nie prowadzono żadnej kontroli na granicy, wystarczało tylko prawo jazdy (...).

Służby specjalne Meksyku poza rutynową obserwacją nie prowadziły ścisłej kontroli, ich nastawienie (do Sowietów – przyp. aut.) było przyjazne.

Meksykańscy (tak w oryginale – przyp. aut.) wiedzieli, że PR (Przyjaciele Radzieccy) nic od nich nie potrzebują i nie było potrzeby specjalnej ochrony tajemnic.

Dogodne były warunki do odbywania spotkań z agenturą z USA, nie biorąc pod uwagę oczywiście CIA, której aktywność w Meksyku była i jest znaczna.

Tow. radzieccy spotykali się na terenie Meksyku z agenturą przyjeżdżającą z USA, która przekazywała informacje i dostarczała dokumenty.

CIA w Meksyku miała swoją obserwację w urzędach telekomunikacyjnych, posiadała agenturę kontrolującą rozmowy naszych przedstawicieli, dokonywali werbunków w otoczeniu kolonii polskiej i radzieckiej. Często podstawiali swoich oferentów. W sumie CIA była tam bardzo aktywna przeciwko KS (Krajom Socjalistycznym).

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat były przykłady aresztów pracowników ZSRR przez policję meksykańską, za którą stała rezydentura CIA i tzw. pododdział(radziecki).

Na koniec anonimowej notatki sporządzający ją oficer konkluduje, że

największym dobrodziejstwem tego kraju jest brak adnotacji paszportowych o wjeździe i wyjeździe i że „Meksyk podobnie jak Austrię trzeba chronić” (sic!)

KGB zanalizowała też główne kierunki pracy CIA w krajach Trzeciego Świata, do których zaliczano również Meksyk. W kolejnym dokumencie z wyżej wymienionej narady wywiad sowiecki opisuje cele CIA, do których należą:

1. *Ustalanie pracowników wywiadu PR i innych KS, ich agentury i przeciwdziałanie podejmowanym przez te służby akcjom.*

2. *Werbunek obywateli radzieckich. Szczegółowo badają zachowanie się kolektywów pracowniczych i później w drodze selekcji nastawiają się na rozpracowywanie werbunkowe. Najwyższy sukces dla nich to:*

- *werbunek pracowników wywiadu,*
- *dyplomatów wyższej rangi,*
- *specjalistów, w tym wojskowych,*
- *perspektywicznych młodych ludzi (z wpływowymi krewnymi mogącymi im pomóc w zrobieniu kariery).*

3. *Przenikanie z techniką operacyjną do naszych placówek (...).*

4. *Organizowanie akcji terrorystycznych i dywersyjnych przeciwko placówkom i obywatelom.*

Wynikające z powyższej analizy sposoby prowadzenia działań przez CIA nie wydają się jakoś diametralnie odbiegać od akcji podejmowanych przez KGB. Równie dobrze mógłby ten dokument być sygnowany przez dowolnego pracownika Agencji zajmującego się sprawami sowieckimi.

Rosario

Maria Del Rosario Casas urodziła się 1952 roku i była młodsza od Aldricha o jedenaście lat. W Meksyku pełniła funkcję attaché kulturalnego od wiosny 1982

roku. Nie była typową latynoską pięknoscią i tylko kolorem włosów przypominała z wyglądu Salmę Hayek. Szczupła, dość wysoka, z zapadniętymi kośćmi policzkowymi i dużym nosem, a jeszcze większymi pretensjami do życia.

Pochodziła z bardzo wpływowej, lecz ubogiej kolumbijskiej rodziny. Ojciec, profesor matematyki, był rektorem jednego z uniwersytetów,

członkiem partii liberalnej, senatorem i gubernatorem stanu Tolima. Matka pochodząca z arystokratycznej rodziny prowadziła w swoim domu salon artystyczny, gdzie zbierali się malarze, poeci i pisarze. Często gościem w tym gronie był noblista Gabriel Garcia Marquez.

Wychowując się w takim środowisku, Rosario już jako nastolatka przejawiała zainteresowanie literaturą i powszechnie uważana była za młodą intelektualistkę. Przyjaciel Amesa z pracy i od kieliszka, Samson, wspomina ją w następujący sposób:

Ludzie lubili przebywać w jej towarzystwie. Zupełnie nie pasowała do stereotypów (...). Przeczytała więcej książek niż dziesięciu facetów razem wziętych (...).

Chciała studiować na Uniwersytecie w Princeton, ale po jednym semestrze zrezygnowała i dokończyła studia na wydziale filozofii i literatury Uniwersytetu w Bogocie. Tytuł pracy magisterskiej brzmiał „Pojęcie czasu wolnego u Baudelaire’a, Eliota i Lorki”. Po obronie podjęła pracę na uniwersytecie i jednocześnie pracowała nad doktoratem. Była uważana za surowego pedagoga.

Władza biegle czterema językami: francuskim, niemieckim, angielskim i klasyczną greką. Niejeden mężczyzna w takiej sytuacji mógł się czuć przy niej nieswojo. I tak było. Rosario z trudem nawiązywała relacje damsko-męskie i notorycznie niezadowolona była z ich aspektów seksualnych.

Miała duże potrzeby i olbrzymi potencjał erotyczny, ale po odbytych stosunku zwykła rozprawiać na przykład o filozofii Hegla w stosunku do literatury.

To skutecznie płoszyło wielu z jej kochanków. Mało kto wie, ale udając się do Meksyku – dzięki protekcji swojego ojca bezpośrednio u prezydenta Kolumbii – Rosario jechała tam ze złamanym sercem. Podczas pracy na uniwersytecie zakochała się w jednym ze starszych wykładowców, typowym łamaczu niewieścich serc. Porzucił on Rosario dla kolejnej jeszcze młodszej ulubienicy.

Tyle lat po tych wydarzeniach wydaje się, że Rosario miała kilka istotnych mankamentów psychologicznych, w tym trzy, które bezpośrednio rzutowały na jej życie z Aldrichem Amesem.

Po pierwsze przejawiała wielki kompleks niższości. Pomimo że pochodziła z dobrej, arystokratycznej rodziny, nie była osobą majątną. Ojciec był jak na warunki kolumbijskie człowiekiem uczciwym i na żadnej ze swoich posad

nie został skorumpowany, więc rodzinie przyszło żyć za pensję ze środków publicznych. Zwłaszcza po jego śmierci sytuacja dramatycznie się pogorszyła, gdyż matka Rosario w krótkim czasie roztrwożyła nawet te niewielkie kwoty, które pozostawił ojciec. W Bogocie nie posiadała własnego samochodu, a do podróży z przyjaciółmi pożyczła od matki zdezelowanego grata. Nie było jej stać na modne ciuchy i buty, na których punkcie miała prawdziwą obsesję. Z tego powodu czuła się nie tylko mniej atrakcyjna, ale również mniej wartościowa.

Po drugie łączył ją patologiczny związek z matką. Jedną z osób z rodziny wspominała, że Rosario spędzała z nią więcej czasu niż z rówieśnikami. Gdy poszła na studia, matka zapisała się z nią na ten sam kierunek. Sytuacja się pogorszyła, gdy wyszła za Ricka. Matka kierowała nadal jej życiem, twierdząc, że Ames jest złym mężem, działającym poniżej swoich możliwości, a Rosario nie potrafi nim właściwie kierować. Pomimo że miała jeszcze dwójkę młodszych od Rosario dzieci, to jej oczkiem w głowie zawsze zostawała najstarsza córka. Matka była gorącą zwolenniczką Fidela Castro i udzielała się w wielu stowarzyszeniach na rzecz komunistycznej Kuby. Na szczęście nie zaszczepiła ona córce tych poglądów, choć Rosario wyznawała typowy dla Ameryki Południowej antyamerykanizm.

Po trzecie kompleks wieku. W okresie studiów doktoranckich polegał na przywdziewaniu białych koszulek, kraciastych minispódniczek i upinaniu włosów w kucyki, tak by wyglądać jak nie przymierzając, japońska nastolatka. Później elementy wiotczającej urody pokrywały najlepsze kosmetyki i najdroższe wyszukane ciuchy, jak choćby płaszcz, w którym wyszła podczas aresztowania, zrobiony z wielbłądziej skóry.

Pojawiając się w Mexico City wczesną wiosną, już jesienią wpadła dosłownie w ramiona Samsona. Zaczęło się bardzo niewinnie od spotkań w AMCOSAD, typowym klubie dla dyplomatów. Samson, choć sam temu zaprzecza, uwiódł Rosario – zaprzecza też, że był w CIA. Postanowił z niej zrobić swoją agentkę. Pożyczył jej pieniądze i zorganizował wysokiej jakości sprzęt grający po preferencyjnych cenach. Ot drobne przysługi, jakie świadczą sobie kochankowie – powie ktoś. Otóż nie, bo od drobnych przysług zaczyna się współpraca z obcym wywiadem. Rosario wpadła w zastawioną sieć jak śliwka w kompot. Przysługa za przysługę. Samson zażądał, aby mógł do tajnych spotkań wykorzystywać mieszkanie swojej kochanki. Kwota za wynajem nie była duża – 200 USD, ale zawsze starczało

to na nową parę eleganckich butów.

Następnie przyszła prośba o relacjonowanie spotkań z Kubańczykami, Wenezuelczykami i tak dalej. Kolejnym stopniem było awansowanie Rosario do zarządu klubu AMCOSAD. To był dopiero początek wielkiej gry. Tam miała się zaprzyjaźnić z Igorem Szuraginem. Rosario zrobiła więcej, niż tylko się zaprzyjaźniła, została jego kochanką.

W ten sposób doszło do sytuacji, która nadal pozostaje w sferze cienia.

Dopóki nie otworzą się szerzej drzwi archiwum CIA, możemy tylko snuć przypuszczenia. Generalnie obraz relacji Rosario wyglądał następująco. Była kochanką Samsona, który zwerbował ją do pracy w Agencji. Następnie podsunął jej pomysł z Szuraginem, a ona przeszła płynnie do jego łóżka. Następnie Samson przedstawił Rosario Rickowi i po pół roku również oni byli kochankami. Nie wiemy, jak czasowo nakładały się te związki, ale Rosario była jednocześnie lub w bardzo niedługim czasie kochanką dwóch oficerów CIA i jednego z KGB!

Dochodzi do tego jeszcze jeden sensacyjny aspekt.

Szuragin, szef kontrwywiadu KGB na Meksyk, był serdecznym przyjacielem Amesa. Rick po przyjeździe do Meksyku postawił sobie bardzo ambitny cel. Być może wpływ na to miała wojownicza polityka Caseya lub lenistwo Amesa, który jako osobę do werbunku wskazał właśnie Szuragina. To był naprawdę duży zwierz.

Zwerbowanie oficera kontrwywiadu ofensywnego przeciwnika to marzenie każdej ze służb. Rick ze swoimi dotychczasowymi osiągnięciami kwalifikował się raczej do werbunku boyów hotelowych, Szuragin był poza jego zasięgiem. Ale wyznaczając sobie taką zdobycz, mógł być pewny, że czas będzie płynął, on nie uzyska znaczących rezultatów, no ale przecież się starał, a że nie wyszło. A komu wyszło zwerbowanie oficera linii K?

Oczywiście Szuragin wiedział, kim naprawdę jest Ames, a Rick, kim Szuragin. Taka zabawa w podchody pomiędzy oficerami służb specjalnych. Obaj chcieli się najpewniej zwerbować i na tym etapie im się to nie udało. Ale dni i noce spędzone na wspólnym picciu zbliżyły do siebie obu wywiadowców. Rick zaczął po przyjacielsku traktować Igora, zwierzał mu się z problemów małżeńskich, codziennych kłopotów, planów na przyszłość. Czy robił to Szuragin? Trudno powiedzieć. Na pewno Aldrich, tak jak wcześniej w Nowym Jorku, gdzie zaprzyjaźnił się z korespondentem „Prawdy”, centralnego dziennika komunistycznej partii ZSRS, sądził, że

Rosjanie to jego bratnie dusze. Doszedł do przekonania, że ich rozumie. Utwierdzała go w tym lektura Dostojewskiego, Tołstoja, Czechowa, no i właśnie popijawy z sowieckimi oficerami i dziennikarzami.

Mgła tajemnicy okrywa również informacje, czy Aldrich wiedział, jakie są prawdziwe relacje pomiędzy Samsonem, Szuraginem a Rosario. Bez względu jednak na to, czy był świadomy, czy nie, zadurzył się w niej po uszy. Spędzał z nią większość wieczorów i poranków, wspólnie zwiedzali Meksyk, przesiadywali w sympatycznych restauracjach do późna w nocy, by wczesnym popołudniem wybierać się na zakupy. Rick nie szczędził pieniędzy na zachcianki przyszłej żony.

Mieszkał skromnie, otrzymywał w miarę wysoką pensję, poza tym zawsze można było coś „skręcić” z funduszu operacyjnego. Rosario stała się jego oczkiem w głowie. Seksualnie niewyżyta intelektualistka, to wydaje się być szczyt oczekiwań Amesa.

A Rosario? Na pewno traktowała Ricka jako przyszłościową inwestycję. Był wszakże I sekretarzem ambasady, nieszczędzącym pieniędzy na jej zachcianki – stosunkowo tanie w Meksyku w porównaniu do Stanów Zjednoczonych. Gdy zaprosił ją pierwszy raz do siebie, zauważyła olbrzymią bibliotekę: taki człowiek nie mógł być, jak powiedziała później, „typowym amerykańskim prymitywem”.

Wiele lat później, już po udowodnieniu zdrady Amesa, biblioteka jak większość jego majątku została zlicytowana. W pewnym antykwariacie pod Waszyngtonem udało mi się zakupić trzy książki z jego prywatnej kolekcji. To moje największe, potwierdzone pisemnie trofea.

Powracając jednak do Amesa, to w szybkim tempie kończył się jego przydział do misji w Mexico City. Czas było wracać, a romans nie gasł, wręcz odwrotnie, rozpalony był do czerwoności. Rick i Rosario postanowili, że on wyjedzie do Stanów i przygotuje nowe gniazdko dla swojej ukochanej.

Zatrudniony przez FBI psycholog wiele lat później napisał:

To rzeczywiście jakaś tajemnica, ponieważ dynamika, siła napędowa ich wzajemnych stosunków nie zapowiadały takiego rozwoju sytuacji. On jest pod wieloma względami pozbawiony uczuć, gdy w grę wchodzi jednak ona, wszystko się zmienia. Potrzebował jej w sposób perwersyjny, a ona jego potrzeby spełniała. Na myśl o tej kobiecie odczuwa emocje i tylko na nią reaguje emocjonalnie.

Oczywiście, gdy ją poznał, była fizycznie bardziej atrakcyjna. On bardzo

cierpiał z powodu wiary w siebie, do czego przyczynił się rozpad małżeństwa, a ze względu na wiek przeżywał kryzys typowy dla tego okresu życia. (...) Tchnęła w niego nowe życie, pod względem seksualnym, jak i intelektualnym. Człowiek pogrążony w pijaństwie i żalu po odejściu żony, człowiek, który utracił poczucie własnej wartości, dzięki Rosario znów poczuł się kimś. Pojawiła się cudzoziemka, z którą mógł spędzać pasjonujące chwile i zrobić wielką karierę.

Ona miała także własne plany. Tam, w Meksyku, żyli jak gdyby w nierealnym świecie. (...) Pojawiła się ekscytująca perspektywa przeniesienia do Ameryki, uczęszczania na amerykańskie uniwersytety i zamieszkania w Waszyngtonie. (...)

Rick ukrywał swą prawdziwą sytuację finansową. Tymczasem Rosario zapragnęła różnych kosztownych rzeczy, podróży i tak dalej. A co znalazła? Skromnie umeblowaną kawalerkę obok handlowej arterii w północnej Wirginii i dziesięcioletnie volvo. Nie o to przecież jej chodziło. On zachował się jak szczeniak, który robi wszystko, by tylko zadowolić swojego pana.

Czy tylko ja mam wrażenie, że powyższy profil psychologiczny nakreśliła kobieta????

Śmierć u twych stóp

Ten „szczeniak” zakochany był po uszy, miał już wieloletnie doświadczenie wywiadowcze, pracował w pionie kontrwywiadu, był przekonany o swojej wyższości intelektualnej i politycznie plasował się na pozycjach lewicowego liberała. Skończyło się już tylko formalne małżeństwo z Nan. Po czternastu latach było ono zamknięte. Nadchodził nowy czas.

Gdy dołączyła Rosario, trudno jej było ukryć rozczarowanie. Rick podjął jednak rękawicę. Zaciągnął kredyt na remont mieszkania i zamianę starego volvo na nową hondę accord. Rosario podjęła z jego karty trzynaście tysięcy dolarów, aby urządzić nowe gniazdko. Rick nie oponował. Świat się do nich uśmiechał. Rick został awansowany w zespole kontrwywiadu w sekcji sowieckiej CIA.

Jednak rozgrzana latynoska żona zachowywała się jak mały pisklak, który z otwartym wiecznym dziobem żąda wciąż więcej i więcej. Jak widać, ta Kolumbijka znalazła sposób na to, by ściągnąć uzdę swojemu gringo.

Nie minęły dwa lata, gdy Rick przekonany o swojej wielkości

i bezkarności zgłosił się do KGB o pomoc finansową. Wypił kilka drinków i poszedł do ambasady ZSRS w Waszyngtonie, omijając punkty obserwacji FBI. Nie owijał w bawełnę. Zaproponował zdradzanie sowieckich zdrajców za 50 tys. USD. Oferta została przyjęta. W następnych latach za zniweczenie, według samej CIA, ponad stu operacji, zainkasował prawie trzy miliony. Kontakty z KGB stały się dziecinnie proste, gdy Ames zgłosił się na ochotnika do pracy w terenie. Miał to robić po godzinach. Taka sytuacja wówczas nie była niczym niezwykłym. Wielu oficerów operacyjnych po misjach zagranicznych zgłaszało się do pracy w terenie. Mieli dość siedzenia za swoimi biurkami w Centrali. Rick otrzymał zadanie werbowania ludzi z KGB. W ten sposób, praktycznie oficjalnie, spotykał się ze swoim kontaktem z sowieckich specsłużb i przekazywał kolejne dokumenty.

Pojawił się jednak pewien problem. KGB wbrew zasadom zaczęła sukcesywnie aresztować zdrajców i ich rozstrzeliwać. To mogło zdekspirować ich agenta i ostatecznie po dziesięciu latach zdekspirowało. Ludzie w Langley zaskoczeni likwidacją swoich źródeł z początku szukali wytłumaczenia tego faktu wszędzie, tylko nie pośród swoich kolegów. Zakładano, że może nastąpiło to poprzez podsłuch w ambasadzie USA w Moskwie, rozkodowanie tajnych depeesz.

W pewnym momencie założono, że za wsypami stoją dwaj zdrajcy ujawnieni przez kontrwywiad: Edward Lee Howard – pracownik sekcji sowieckiej CIA, lub Clayton Lonetree, strażnik z ambasady w Moskwie, żołnierz piechoty morskiej.

Jednak lista wpadek zwiększała się każdego roku i nie można już było wytłumaczyć tego poprzednimi zradami. A Rick pracował cały czas, nawet gdy wyjechał po raz kolejny na misję do Rzymu w latach 1987–1989. Po powrocie krótko pracował w sekcji czechosłowackiej, by zostać przeniesiony do Centrum Kontrwywiadu, to jest nowej komórki odpowiedzialnej za wykrywanie sowieckich wtyczek w CIA!

Po powrocie z Włoch Ames przestał się kryć ze swoim zdobytym na zdradzie majątkiem. Jeszcze przed wyjazdem był w ogromnych kłopotach finansowych. Po rozwodzie z Nan sąd zdecydował, że ma pokryć wszystkie długi małżeńskie. Było tego ponad 30 tys. USD i dodatkowo miał wypłacać byłej żonie rentę. W 1989 roku mógł już kupić za gotówkę dom o wartości 560 tys. dolarów, jaguara XJ6 za prawie pięćdziesiąt tysięcy oraz trzy nieruchomości w Kolumbii.

Milt Bearden, szef Ricka w wydziale Rosji sowieckiej, nie mógł uwierzyć w metamorfozę swojego podwładnego. Wspominał, że Ames, wyjeżdżając, był zaniedbanym mężczyzną, po powrocie błyszczał nowymi zębami za 1000 USD za koronkę oraz świetnymi włoskimi garniturami i butami. Przyjaciel z Meksyku, Dawid Samson był zszokowany bogactwem Amesów. Na stwierdzenie, że to kolumbijski spadek Rosario, nie bardzo mógł uwierzyć, wiedząc, że rodzina żony Ricka nie była majątna, wytłumaczył to sobie jednak, że być może ojciec Rosario, jako polityk „zadołował” gdzieś większą gotówkę. W notatce przygotowanej dla Amesa KGB wyszczególniało, że na dzień 1 maja 1989 r. zarobił już 2 705 000

dolarów, z czego przekazano mu 1 535 077,28. Przy tych dochodach roczna pensja z CIA w wysokości 69 843 USD faktycznie była tylko na „waciki”.

A jak w tym wszystkim odnajdywała się Rosario? No, nie była ona naszą Danutą Wałęsową, której mąż mógł wmówić, że otrzymana od SB kasa pochodzi z kilkakrotnej wygranej w Totolotka. Kolumbijka szybko domyśliła się pochodzenia pieniędzy, a Rick nie zaprzeczył. W Rzymie oboje byli już współnikami w zbrodni. Do procederu dołączyła też i mamusia, na której nazwisko Rick otworzył konto w szwajcarskim banku. Dostęp do takiej gotówki potrafił ukoić ból związany z ciągłym pijaństwem Ricka i brakiem zadowolenia seksualnego. Liczyły się tylko pieniądze. W nagranej przez FBI rozmowie Rosario nawet nie ukrywa swych głównych zainteresowań:

Aldrich: – Tak, słuchaj. Jest... wiadomość. Nie jadę.

Rosario: – Och...

A.: – Tak... nie jadę.

R.: – Och...

(...)

R.: – Tak... Czy to oznacza, że coś dostaniesz?

A.: – Tak, hm. Tak.

R.: – Finansowo też?

A.: – Tak, tak. Poczekaj, aż tam się zjawię.

Rosario dbała też, aby Rick przez swoje pijaństwo nie zawałał spotkań, co miało już miejsce kilkakrotnie wcześniej, gdy był umówiony na odbiór pieniędzy, ale był zbyt pijany, aby udać się na spotkanie. Kolejny fragment podsłuchanej rozmowy:

A.: – Jeszcze jedną rzecz muszę zrobić... Muszę wstać wcześniej, by

umieścić sygnał.

R.: – Co musisz?

A.: – Chcę mieć potwierdzenie, że przyjadę, że (fragment nierozszyfrowany).

R.: – Kto?

A.: – (fragment nierozszyfrowany).

R.: – Ale jak. Czy musisz coś zostawić po południu?

A.: – Hm... tylko zrobić znak.

R.: – Dlaczego, u licha, nie zrobiłeś tego dzisiaj?

A.: – Przecież padało jak diabli.

(...)

R.: – No, kochanie, mam nadzieję, że tego nie zawałiłeś.

Trudno się dziwić zapobiegliwości Rosario. Jej kolekcja butów, jak stwierdzą po aresztowaniu śledczy z FBI, jedna z największych w Stanach Zjednoczonych, była warta ponad sto tysięcy dolarów! Buty za życie kilkunastu ludzi to cena, jaką małżeństwo Amesów nie zawahało się zapłacić.

Koniec balu

W 1991 roku CIA poinformowało wreszcie Federalne Biuro Śledcze o tym, że ma problem z przeciekiem i możliwe jest, że stoi za tym pracownik Agencji.

W czerwcu 1992 roku FBI otrzymało zgodę na inwigilację Amesów. Zainstalowało podsłuch w domu, pracy i telefonach. Sprawdzano pocztę i śmieci. Po dwóch latach śledztwa zebrano tyle kompromitującego materiału, że sąd, bez zbędnych pytań, wydał nakaz aresztowania Ricka i Rosario.

Aldrich lekceważył wszystkie zasady bezpieczeństwa. Myślał, że oszukał system, że jest ponad podejrzeniami, że jego inteligencja przyćmiewa wszystkich innych i tym samym wyprowadza ich w pole. Założył, że może zostać wydany tylko przez dezertera z szeregów KGB. Dlatego sam wcześniej wydał ich wszystkich w ręce kata. Przeszedł na sowiecką stronę, bo oszalał na punkcie swojej nowej żony. Już po uwięzieniu zgodził się współpracować ze śledczymi, pod warunkiem drastycznego obniżenia kary dla Rosario. Nawet w tak ciężkiej sytuacji myślał tylko o niej. Został skazany na dożywocie bez prawa wcześniejszego wyjścia. Rosario dzięki Rickowi

miała spędzić za kratami 63 miesiące. Czy myślała o Ricku? Tak, nawet chyba bardzo. W wywiadzie udzielonym w jednej ze stacji telewizyjnych powiedziała:

W głębi duszy nie sądzę, by on tak naprawdę wiedział, co to znaczy kogoś kochać. Nie wydaje mi się, by rzeczywiście troszczył się o kogoś prócz Paula.

Sugerowane lektury

Albrecht Julia, Ponto Corinna, *Córki chrzestne. Rozmowy w cieniu terroryzmu RAF*, Warszawa 2013

Baker Carlos, Ernest Hemingway. *Historia życia*, Warszawa 1999

Bar-Zochar Michael, Mishal Nissim, *Mossad. Najważniejsze misje izraelskich służb specjalnych*, Poznań 2012

Bearden Milt, James Risen, *KGB kontra CIA*, Warszawa 2008

Brown Cave Anthony, *Philby H.St. John Philby, Kim Philby. Szpiegowska afera stulecia*, Warszawa 1997

Clarridge R. Duane, *Po prostu szpieg*, Warszawa 2001

Draitser Emil, *Szpieg Stalina. Zdumiewająca kariera na Zachodzie i dramatyczny upadek na Wschodzie rosyjskiego superszpiega*, Warszawa 2014

Epstein Edward J., *Podstęp. Niewidzialna wojna między KGB a CIA*, Krosno 1993

Gellhorn Martha, *Podróże z nim i samotnie. Pięć piekieł na ziemi*, Poznań 2013

Gordijewski Oleg, Christopher Andrew, *KGB*, Warszawa 1997

Johnson Paul, *Intelektualiści*, Warszawa 1998

Judt Tony, *Historia niedokończona. Francuscy intelektualiści 1944–1956*, Warszawa 2012

Knight Amy, *Jak zaczęła się zimna wojna. Sprawa Guzenki i polowanie na radzieckich szpiegów*, Warszawa 2005

Koch Egmont R., *Licencja na zabijanie. Komanda śmierci tajnych służb*, Warszawa 2015

Koestler Artur, *Płomień i lód. Przygody mojego życia*, Warszawa 2009

Kowalski Andrzej, *Rosyjski sztylet. Działalność wywiadu nielegalnego*, Warszawa 2013

De Marenches Alexandre, Christine Ockrent, *Sekrety szpiegów i książąt*.

Relacje szefa francuskich służb specjalnych, Warszawa 1992

Mass Peter, *Szpieg zabójca. Kulisy ścigania i ujęcia przez FBI Aldricha Amesa, najgroźniejszego szpiega KGB w historii amerykańskiego wywiadu*,

Warszawa 1996

Mitrochin Wasilij, Andrew Christopher , *Archiwum Mitrochina. Tom 1. KGB*

w Europie i na Zachodzie, Poznań 2009

Modin Jurij, *Moja piątka z Cambridge, Philby, Burgess, Maclean, Blunt i Cairncross w oczach ich oficera prowadzącego*, Warszawa 2015

Pawlikowicz Leszek, *Aparat centralny 1. Zarządu Głównego KGB jako instrument realizacji globalnej strategii Kremla 1954–1991*, Warszawa 2013

Philby Kim, *Moja cicha wojna*, Warszawa 1994

Polmar Norman, Allen B. T homas, *Księga szpiegów. Encyklopedia. Ludzie, organizacje, operacje, sprzęt. Historia i współczesność*, Warszawa 2000

Raviv Dan, Yossi Melman, *...A każdy szpieg to książkę. Pełna historia wywiadu izraelskiego*, Warszawa 1993

Riebling Mark, *Tajna wojna między FBI a CIA*, Warszawa 1996

Słowiński Przemysław, Uhl-Herkoperec Danuta, *Ulrike Meinhof. Terror, seks i polityka*, Chorzów 2013

Stafford David, *Churchill i tajne służby*, Kraków 2000

Weiner Tim, *Dziedzictwo popiołów. Historia CIA*, Poznań 2009

Weiner Tim, *Wrogowie. Historia FBI*, Poznań 2012

West Nigel, *MI-5*, Warszawa 1999

West Nigel, *MI-6: operacje brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadu 1909–1945*, Warszawa 2000

Wise David, *Kryptonim „Nightmover”*, Warszawa 1995

Wright Peter, *Łowca szpiegów. Autobiografia oficera brytyjskiego kontrwywiadu*, Warszawa 1991

Projekt okładki

Anna Kierzkowska

Zdjęcie na okładce

Konrad Bąk, Depositos

Szef Projektów Wydawniczych

Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja

Bożena Hałuszyczyńska

Skład i łamanie

Point Plus

© Sebastian Rybarczyk, 2015

© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2015

ISBN 978-83-8079-008-7

WYDAWCA

Frona PL, Sp. z o.o.

Ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofrona.pl

www.facebook.com/FronaWydawnictwo

Skład wersji elektronicznej

Marcin Kapusta

virtualo

konwersja.virtualo.pl